

PIERWSZA KOMUNIA
Coraz więcej rodziców
samemu przygotowuje dzieci

PATRYK JAKI
Warszawę chce
rządzić szeryf

HERBERT ODKRYWANY
Andrzej Franaszek:
biograf się nie wzrusza

BOB MARLEY W AFRYCE
Wojciech Jagielski o guru reggae
i jego niespełnionej miłości

Kraków 13 maja 2018 nr 20 (3592)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Polska: dom niespokojnej starości

ROZMOWA Z EWĄ WOYDYŁO



W NUMERZE
DODATKI:

**COPERNICUS FESTIVAL
NAGRODA SILESII**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



XIV OGÓLNOPOLSKI KONKURS FOTOGRAFII PRASOWEJ



Przewodniczący jury

STEFANO DE LUIGI

VII AGENCY

Nagrody zostaną przyznane w kategoriach:

WYDARZENIA • ŻYCIE CODZIENNE • LUDZIE • SPORT • ŚRODOWISKO
• KULTURA I ROZRYWKA • PORTRET • PROJEKT DOKUMENTALNY

Nowa kategoria: YOUNG POLAND • Osobny konkurs: PHOTO BOOK

Ogłoszenie wyników odbędzie się **17 maja 2018 roku** w Kinie Praha w Warszawie.

ORGANIZATOR

press



MECENAS



PARTNERZY KONKURSU I GALI



PARTNER WYSTAW



PATRONI MEDIALNI



KS. ADAM

Boniecki: Groźny rok 2050

PROGNOZY NIE SĄ WESOŁE. DEMOGRAFOWIE PRZYPOMINAJĄ, że w związku ze starzeniem się polskiego społeczeństwa będzie u nas przybywać ludzi niepracujących, zmniejszy się zaś liczba tych, którzy pracują (utrzymując przy okazji, że składki i podatki, tych pierwszych). Z czasem te proporcje zostaną tak zachwiane, że np. ok. 2050 roku, aby utrzymać cały system, wydajność pracy będzie musiała podnieść się o ok. 50 procent...



Starzejącą się społeczność można zobaczyć w miniaturze, obserwując starzejące się zakony. Widziałem w Rzymie klasztory świadczące o dawnej żywotności, budowane z rozmachem dzieła, np. szkoły (często nadal czynne, dzięki pracownikom z zewnątrz), a w samym klasztorze – kilka sędziwych i czcigodnych zakonnic. Są zakony, które wymierają, są takie, które się ratują przed wymarciem sprowadzając młode kandydatki z Azji i Afryki.

Starzejemy się i tego nie da się w krótkim terminie zmienić, podobnie jak nie da się w ciągu pięciu lat wyhodować starego lasu. Obawiam się, że nawet program 500 plus nas nie uratuje. Wprawdzie w 2017 roku było w Polsce o 402 tys. więcej urodzeń niż w roku poprzednim i to może się powtórzyć również w tym roku (niestety, dane z systemu PESEL – w grudniu ubiegłego i w styczniu tego roku – pokazały spadek rejestracji urodzeń), bo pieniądze płyną do ponad 2,5 mln rodzin. Jednak doświadczenie pokazuje, że by zachęcić do rodzenia dzieci, potrzeba obok (ważnego!) bezpieczeństwa finansowego jeszcze kilku czynników, np. uelastycznienia czasu pracy matki, łatwego dostępu do opieki nad dziećmi do siódmego roku życia, możliwości wykonywania części pracy w domu oraz wydłużenia urlopu macierzyńskiego. Tak więc mamy przed sobą groźny rok 2050 i następne lata demograficznej depresji. Nie ma też widoków

na poważną poprawę rent i emerytur, więc co zaradniejsi już pracują za granicą na lepsze świadczenia w starości. Nie wiadomo też, co zrobią ci, którzy są w rozkwicie wieku produkcyjnego, lecz zaczynają się niepokoić o swoją starość.

Eksperti pocieszają nas, że dzięki starzeniu się społeczeństwa powstaje – według określenia prof. Piotra Szukalskiego – „srebrna gospodarka”, czyli produkty i usługi tworzone z myślą o srebrnowłosych starszych.

To prawda: już w 2010 roku na japońskim rynku sprzedano więcej pieluch dla dorosłych niż dla dzieci. Ale to problemu nie rozwiąże. Tym bardziej że kiepskie perspektywy dla jutrzejszych „srebrnych” nie ograniczają się do rent i emerytur. Niedobory w służbie zdrowia (wyjazdy) każą pytać, kto na starość będzie nas (was), w razie konieczności, pielęgnował po roku 2050.

Cała nadzieja w naszych dzisiejszych politykach i tzw. decydentach – tych dzielnych, energicznych ludziach, których starcza niewydolność czy nawet niedołęstwo dopadną właśnie w najgorszych latach po 2050 roku. Spodziewam się więc, że w dobrze pojętym własnym i pokoleniowym interesie zrobią wszystko, żeby starość w Polsce dało się znośnie przeżyć. Żeby się to udało, muszą zbudować godne i wygodne domy dla ludzi starych, wyszkolić kadrę geriatrów oraz personelu gotowego do opieki nad ludźmi starymi. Kto wie, może już o to zabiegają, jak i o łatwy dostęp do niebywałych osiągnięć techniki w tej dziedzinie, a także o prestiż zawodów wspierających ludzi starych – by urosł pod niebiosy, również dzięki systemowi wynagrodzeń.

Dodam, że tu niczego nie trzeba wymyślać. Demograficzny kryzys, który dziś dotyka Europę i Stany Zjednoczone, już zmobilizował część państw, które z poczuciem realizmu poszły w tym kierunku.

© P

TP

Chwalimy się!

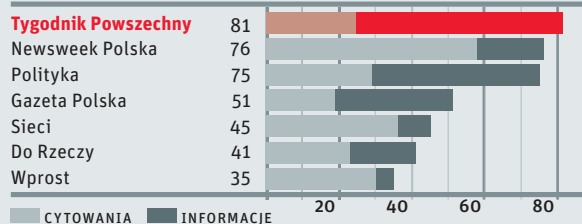
NAGRODA DZIENNIKARZY MAŁOPOLSKI. Wśród nominowanych dziennikarki „Tygodnika”: Anna Goc (wyróżniona aż w trzech kategoriach: wywiad, reportaż i dziennikarstwo specjalistyczne) oraz Katarzyna Kubisiowska – za wywiad z Adamem Zagajewskim. Wyniki poznamy 19 maja.

MEDALE HONOROWE. Za Zasługi dla Województwa Małopolskiego. Złoty otrzyma m.in. Kazimierz Tischner, prezes fundacji Drogami Tischnera. Srebrny trafi m.in. do ks. Adama Bonieckiego.

GRATULUJEMY NOMINOWANYM I LAUREATOM,
DZIĘKUJEMY CZYTELNIKOM!

Cytowania i informacje na temat tygodników ogólnopolskich

marzec 2018



RANKING CYTOWAŃ NEWTON MEDIA. „Tygodnik” na pierwszym miejscu! W kategorii cytowań i informacji tygodników ogólnopolskich wyprzedzamy „Newsweek Polska” i „Politykę”.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Lekarze pod przegierzem
S. BARBARA CHYROWICZ**6-10 Wiadomości / Komentarze****20 Czytania / Widzenia**ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Szeryf z OpolaJACEK GĄDEK: *Patryk Jaki ma małe szanse na prezydenturę Warszawy***26 Nie umiemy być realistami**PIOTR STANKIEWICZ: *Rzeczpospolita gubi coś, co mają jej obywatele***29 Gdy państwo śpi**MAREK RABJI: *Ciągi dalsze skandalu w Fundacji Czarotaryskich*

■ ■ WIARA

32 Mniej mój, bardziej Boga

Przygotowanie dziecka do Pierwszej Komunii przyniosło nam większą jedność w rodzinie. Jedność – czyli komunie. ROZMOWA Z RODZICAMI

36 Jezus w prezenzieMARIUSZ SEPIŃKO: *Pierwsza Komunia indywidualna – dlaczego nie jest popularna?***38 Czy tata jest w niebie?**

ARTUR SPORNIK o zbawieniu poza Kościołem

40 Przeczność JezusaPIOTR SIKORA:
(5) *Medytacje Wielkanocne***42 Usłysz, czego nie przeczytasz**EWELINA BURDA: *„Biblia Audio” to największy audiobook na świecie*

■ ■ ŚWIAT

48 Ziemia obiecana, raj utraconyAGNIESZKA ROSTKOWSKA: *Czy afrykańscy migranci porzucą szlak libijski na rzecz bezpieczniejszej drogi Maroko-Hiszpania?*

JASMIN MERDAN / GETTY IMAGES

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Starość gorszego sortu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nie wtargną do Sejmu, nie zrobią demonstracji, nie pojawiają się w telewizji. Nie posłużą nawet za znak ostrzegawczy starzejącego się społeczeństwa. Niesamodzielnymi seniorzy: zamknięci wraz z opiekunami w ścianach swoich domów.

16 Wiek to nie data ważności

ROZMOWA Z EWA WOYDYŁŁO:

W Polsce jest ponad 6 mln osób po 60. roku życia. Za parę lat okaże się, że zabraknie młodych, którzy gotowi będą podać przysłowiową szklankę wody.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

46 SZYMON HOŁOWNIA

57 WOJCIECH BONOWICZ

92 JAN KLATA

93 PAWEŁ BRAVO

98 STANISŁAW MANCEWICZ

98 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATKI SPECJALNE ■

Copernicus Festival
Nagroda Silesius

Okładka: EWA WOYDYŁŁO

Fotografia: MACIEJ ZIENKIEWICZ dla „TP”

Redaktorzy prowadzący: ANNA GOC i MARCIN ŻYŁA

52 Nuklearny pokerROMAN HUSARSKI: *Otwartość Kim Dzong Una nie oznacza słabości Korei Północnej***54 Wojenne dzieci Sarajewa**

JUSTYNA GÓRNIK o Muzeum Wojennego Dzieciństwa

■ ■ HISTORIA

58 Cisi Sprawiedliwi

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

■ ■ NAUKA

62 Złote jabłka HesperydSZYMON DROBNIK
o udomowieniu cytrusów**65 Odlamki nieznanej przyszłości**ŁUKASZ ŁAMŻA:
Cykl „Czytamy Naturę”

■ ■ KULTURA

80 Porządkowanie życiaROZMOWA Z ANDRZEM FRANSZKIEM, AUTOREM BIOGRAFII HERBERTA: *Biografia nie jest od tego, żeby się wzruszał***85 Tajemne formy człowieczeństwa**

PIOTR KOSIEWSKI o rzeźbach Henry'ego Moore'a

88 Bob Marley wraca do ZimbabweWOJCIECH JAGIELSKI: *Guru muzyki reggae i rastafarian będzie miał pomnik w Harare***90 Polityka w pierwszej osobie**ANITA PIOTROWSKA
o filmie „I 20 uderzeń serca”**91 Warto zobaczyć w TV****92 Żarty i głębsze znaczenie**

LEKTOR o książce „Kroniki beskidzkie i światowe”

■ ■ ZMYŚŁY

94 Łoś jak zombie

ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Spornik (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabi, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Maciej Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

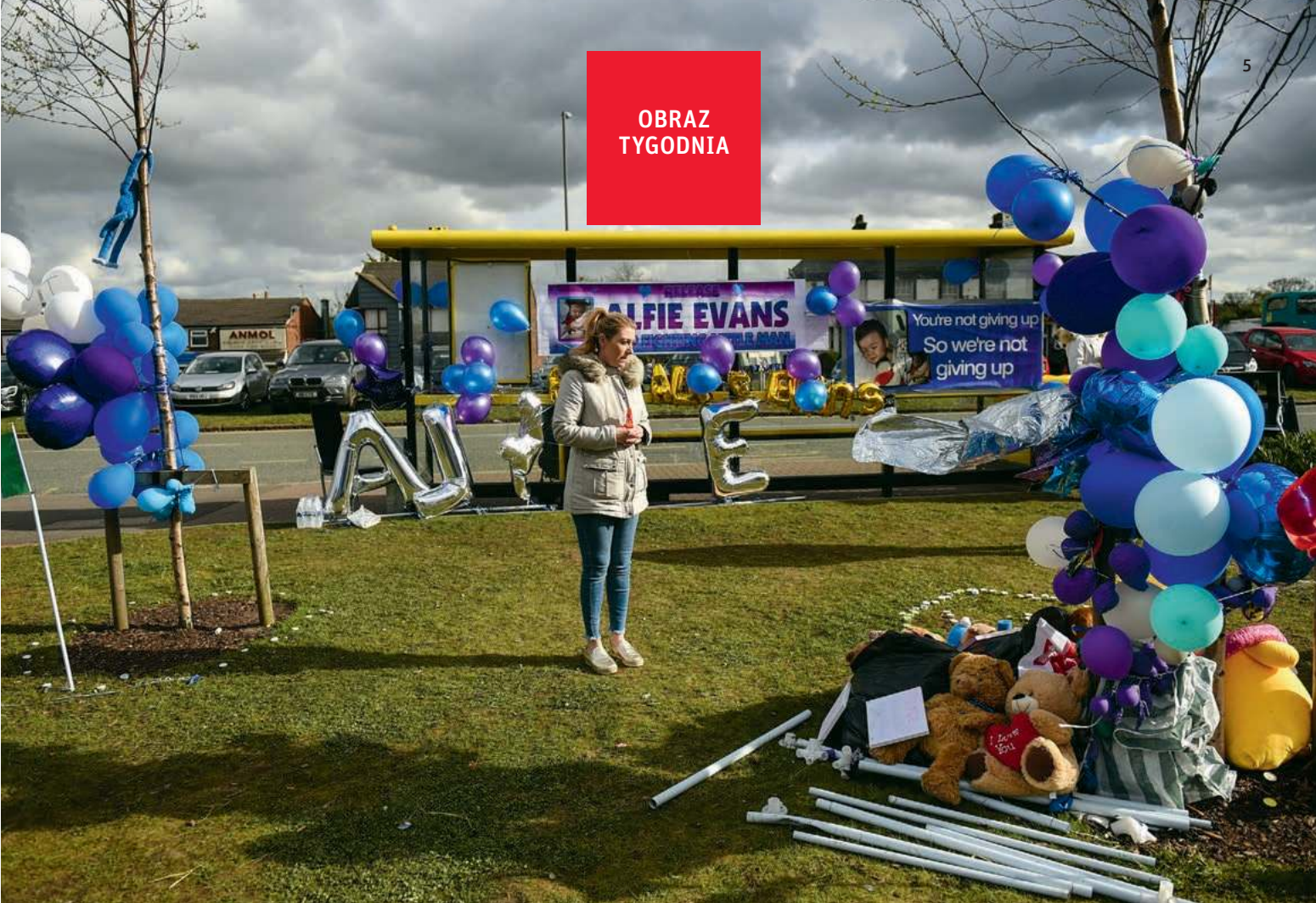
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



LEKARZE NA FRONCIE

Rodzice chorego dziecka są skłonni poruszyć niebo i ziemię. Przypadek Alfiego Evansa pokazuje, że lekarze nie zawsze mogą postępować zgodnie z ich życzeniami.

S. BARBARA CHYROWICZ

ZAKŁADAMY, ŻE TO LEKARZE POTRAFIĄ OCENIĆ stan dziecka, a zatem i ostatecznie zdecydować, czy kontynuować terapię, czy też ograniczyć się jedynie do opieki paliatywnej. Z faktu, że życie ludzkie jest bezcenne, nie wynika bowiem, że należy je ratować za wszelką cenę. To teoretycznie proste, ale praktycznie niezmiernie trudne, co uświadomił nam przypadek dwuletniego angielskiego chłopca – Alfiego Evansa.

Poruszeni emocjonalnym apelem ojca dziecka o ratowanie synka, mielibyśmy ochotę wyciągać stąd od razu wnioszek, że ktoś tutaj ratować dziecka nie chce. Warto jednak powstrzymać się od przedwczesnych sądów – w tego typu przypadkach kluczowe dla osądu będzie zweryfikowanie lekarskiej diagnozy. Leka-

rze nie potrafili ani określić choroby Alfiego, ani jej zapobiec. Uznali, że odłączenie dziecka od aparatury skróci jego cierpienie. Rodzice dziecka nie zgadzali się na odłączenie chłopca od respiratora. Szpital odwołał się do sądu i postąpił zgodnie z jego wyrokiem, uznając, że dalsze próby leczenia chłopca mają charakter uporczywej terapii. Do apelu o ratowanie życia chłopca włączył się papież Franciszek, prosząc o umożliwienie rodzicom „nowych form leczenia” – pod uwagę brane było przewiezienie dziecka do szpitala w Rzymie, w czym miało pomóc otrzymanie przez Alfiego włoskiego obywatelstwa. Brytyjski szpital nie wyraził zgody na transport dziecka do Włoch – gotowość dalszego leczenia Alfiego zgłosił rzymski szpital Bambino Gesù,

*Przed szpitalem
w Liverpoolu,
w którym
leczono
Alfiego Evansa,
26 kwietnia
2018 r.*

→ nie określając jednak sposobu oferowanej terapii. Po odłączeniu od aparatury Alfie zaczął oddychać samodzielnie, zmarł po pięciu dniach, 28 kwietnia.

Decyzja lekarzy w Liverpoolu, pod opieką których Alfie przebywał przez 17 miesięcy, nie została jednoznacznie oceniona. To, że komentujący ją internauci nie byli zgodni, nie jest zaskoczeniem, brak jedności okazali jednak również hierarchowie Kościoła rzymskokatolickiego. Podczas gdy m.in. kard. Vincent Nichols, prymas Anglii i Walii, i arcybiskup Liverpoolu Malcolm McMahon OP uznali, że zrobiono wszystko, żeby pomóc Alfemu, Zespół Ekspertów ds. Bioetycznych polskiego Episkopatu uznał odłączenie dziecka od aparatury wspomagającej pracę płuc za zabójstwo ze względu na przewidywany skutek. Opowiedział się też za poszukiwaniem w tego rodzaju sytuacjach alternatywnych rozwiązań terapeutycznych.

Rozbieżność ocen bioetycznych kazusów stawiała zwykle ostatnimi laty po jednej stronie barykady autorów mających liberalne nastawienie do wartości ludzkiego życia, po drugiej zaś jej zdecydowanych obrońców, do których należeli przedstawiciele rzymskokatolickiego Kościoła – tymczasem w przypadku Alfiego jedni hierarchowie nazywają odłączenie chłopczyka od respiratora zabójstwem, a drudzy rezygnacją z uporczywej terapii. Uczestnicy dyskusji podkreślają, że wypracowanie w tego typu sytuacjach sposobu postępowania jest ważne, bo odnosić się będzie do innych pacjentów, którzy znajdują się w analogicznej sytuacji jak Alfie. Może warto jednak zastanowić się, w jak trudnej sytuacji ta rozbieżność ocen stawia lekarzy. Ostatecznie to oni są „na froncie” i ponoszą pełną odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Zazwyczaj podkreślają, że w medycynie nie ma pewników, teraz już wiedzą, że nawet w katolickiej bioetyce nie jest z tym najlepiej.

Słowa Franciszka o potrzebie mądrości w podejmowaniu decyzji na podstawie najpełniejszych informacji mobilizują do wnikliwego analizowania przypadków. Niezwykle ważna ta mądrość, bo wielość detali nie sprawi, że będą to decyzje łatwiejsze.

© S. BARBARA CHYROWICZ

Autorka jest kierownikiem Katedry Etyki Szczęgółowej KUL.



KRZYSZTOF RADZKI / EAST NEWS

Podczas finału Pucharu Polski na Stadionie Narodowym, Warszawa, 2 maja 2018 r.

Stadion Narodowy straszy

TRUDNO POWIEDZIEĆ, CO BARDZIEJ PRZERAŻA:

czy kibolska pirotechniczna orgia podczas rozgrywanego 2 maja finału piłkarskiego Pucharu Polski, w efekcie której zagrożone było życie ludzi, czy sposób, w jaki tłumaczył się po incydencie gospodarz imprezy. Na początku drugiej połowy meczu Legia Warszawa–Arka Gdynia sędzia przerwał mecz, bo obiekt został zadymiony. Po tem jedna z rac wystrzelonych przez kiboli Arki spadła na boisko, a inna spowodowała zapłon kawałka dachu. Zniszczone teledymy, powyrywane krzeselka – to tylko niektóre pomeczowe szkody.

Organizatorem rozgrywek jest Polski Związek Piłki Nożnej, ale to PGE Narodowemu powierzył on finał wraz z logistycz-

nym „pakietem”, w tym ochroną. Tymczasem rzeczniczka PGEN tłumaczyła w wywiadach, że niszczycielski plon nie jest tak wielki: zdemolowano „tylko” kilkadziesiąt krzesełek, kibice wnieśli na stadion „tylko 400 rac z 2,5 tys., które zamierzali wnieść”, a było to możliwe, bo zorganizowane grupy kibiców „nie dotrzymały umowy”, gdyż „ich oprawa miała wjechać pod skaner, a wjechała tylko w części” (czytaj: pojedynczy kibole wtopili się w „zwykły” tłum).

Te tłumaczenia będą teraz odstraszać od podobnych imprez tzw. zwykłych kibiców z dziećmi równie skutecznie jak świstające nad głowami race. Ostała się na szczęście konstrukcja najbardziej reprezentacyjnego polskiego obiektu. Ale pracownicy od lat budowany mit „bezpiecznych stadionów” runął z hukiem.

© © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Groźna choroba wraca, Polska w grupie ryzyka

POZIOM WYSZCZEPIALNOŚCI przeciw odrze spadł poniżej 95-procentowej granicy gwarantującej tzw. odporność zbiorowiskową – zaalarmował Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego. Z podobnym problemem boryka się wiele państw. W 2017 r. na odrę – chorobę groźącą poważnymi powikłaniami, dotychczas uważaną za niemal wyeliminowaną – zachorowało w Regionie Europejskim WHO 21 tys. osób, kilkadziesiąt zmarło.

W Serbii zachorowało 4 tys. osób. Przyczyna: drastyczny spadek szczepień niemowląt (w 2013 r. 93 proc., w 2016 r. – 81 proc.). Na Ukrainie tylko przy granicy z Polską odnotowano od początku 2018 r. przynajmniej 2 tys. zachorowań. Zwiększoną liczbę infekcji zgłaszają także Grecja, Rumunia, Francja, Włochy i Czechy (gdzie do pomocy w walce z epidemią skierowano lekarzy wojskowych; wskaźnik wyszczepialności wynosi tam 90 proc.).

Niedawno pisaliśmy w „Tygodniku” o „cyklu antyszczepionkowym”, który przerywa dopiero wystąpienie epidemii (powszech.net/epidemia). Czy Polsce uda się uniknąć tego scenariusza? © © MaM

Nadzwyczajnie niepoważni

MARCIN MATCZAK



ROZMOWY PROWADZONE PRZEZ RZĄD z Komisją Europejską doprowadziły do kolejnej już nowelizacji ustaw dotyczących sądownictwa. Dotyczy ona tzw. skargi nadzwyczajnej – narzędzia pozwalającego ponownie rozpatrzyć prawie każdą sprawę sądową prawomocnie zakończoną w czasie ostatnich 20 lat. Skarga podważa kluczową wartość państwa prawa, jaką jest pewność rozstrzygnięć sądowych. Dzięki niej polityk, jakim jest Prokurator Generalny, może na przykład na nowo otworzyć spór wygrany przez zagranicznego inwestora kilkanaście lat temu.

Kształt nowelizacji wskazuje, że Komisja naciskała na zmianę, która zwiększy pewność prawa. W odpowiedzi posłowie PiS zmniejszyli grupę podmiotów, które mogą występować ze skargą, usuwając z listy np. Rzecznika Praw Dziecka, ale pozostawiając oczywiście Prokuratora Generalnego.

Druga zmiana polega na pozornym ograniczeniu zasięgu skargi – w sprawach starszych niż pięć lat sąd nie będzie mógł zmienić wyroku, a tylko stwierdzić, że naruszał prawo (to może dać podstawę do odszkodowania). Kluczowy fragment nowelizacji to ten, w którym posłowie wskazują, że zmiana wyroku nie będzie także możliwa, jeśli naruszałoby to zobowiązania międzynarodowe Polski. Dla uszu Komisji brzmiałoby to nieźle, gdyby nie ostatnie zdanie poprawki – chyba że wyrok narusza polską Konstytucję. Starym zwyczajem Wojaka Szwajka mówimy zatem: nie wolno, ale można. Zostawiamy sobie furtkę, żeby ostatecznie móc zmienić wyrok, nawet jeśli będzie to destabilizowało prawo i nawet jeśli będzie naruszało międzynarodowe zobowiązania. Bo przecież o tym, czy niewygodny dla władzy wyrok narusza Konstytucję, będą decydować kontrolowane przez tę władzę Trybunał Konstytucyjny albo Izba Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego.

Poważni negocjatorzy wiedzą, że sposobem negocjowania budują swoją pozycję przed następnymi negocjacjami. Niepoważni negocjatorzy liczą na to, że nikt się nie zorientuje, jacy są sprytni. ©

Autor jest prawnikiem, profesorem UW.

W SKRÓCIE

PROTEST. „My o chlebie, oni o niebie” – skomentowała rządowe reakcje na sejmowy protest niepełnosprawnych i ich opiekunów Iwona Hartwich, mama 25-letniego Jakuba. PiS zgodził się na realizację pierwszego postulatu: zrównania renty socjalnej z ZUS-owską, ale sprawą sporną pozostaje drugi – wprowadzenia 500-złotowego comiesięcznego dodatku dla niepełnosprawnych. Rząd chce, by był on realizowany w formie rzeczowej, protestujący tę propozycję odrzucają. Gdy w poniedziałek zamykaliśmy ten numer „TP”, trwał 20. dzień protestu.

REFERENDUM. Andrzej Duda zapowiedział złożenie w Senacie wniosku o przeprowadzenie referendum konstytucyjnego. Prezydent chce, by Polacy 10 i 11 listopada wypowiedzieli się w sprawie ewentualnych zmian w ustawie zasadniczej. „Chciałbym, żeby to właśnie naród, polskie społeczeństwo zostało zapytane przez rządzących o to, w jakim kierunku chce, żeby podążały polskie zmiany ustrojowe” – mówił 3 maja, podczas uroczystości na placu Zamkowym Andrzej Duda, nie zdradzając jednak, o co chciałby zapytać Polaków w referendum.

TRAGICZNA MAJÓWKA. 850 wypadków, ponad tysiąc rannych, 72 zabitych, ponad 3,5 tysiąca kierowców prowadzących pod wpływem alkoholu – to sporządzony przez policję bilans na polskich drogach między 27 kwietnia a 6 maja. Najtragiczniejsza była ostatnia doba tego okresu – zginęło wówczas 11 osób.



ALBERT ZAWADA / AG

POŻEGNANIE. W wieku 60 lat, po ciężkiej walce z chorobą, zmarła Ewa Dyakowska-Berbeka, artystka, graficzka i wieloletnia scenografka w Teatrze Witkacego w Zakopanem. Była żoną himalaisty Macieja Berbeka, który zginął w 2013 r. podczas zimowej wyprawy na Broad Peak.

Dane osobowe w Kościele lepiej chronione

ZGODNIE Z WYTYCZNYMI UNII EUROPEJSKIEJ (tzw. RODO) do 25 maja Kościół musi dostosować swoje przepisy w dziedzinie ochrony danych osobowych do prawa unijnego. Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski na spotkaniu na Jasnej Górze 2 maja powołała Kościelnego Inspektora Danych Osobowych. Został nim ks. Piotr Kroczek, kanonista z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Instytucja ta to niezależny od biskupów diecezjalnych centralny organ kontrolny i odwoławczy – do KIDO będą m.in. trafiały skargi za naruszenia w ochronie danych osobowych. Gdyby jej zabrakło, nadzór nad ochroną kościelnych danych osobowych przejąłoby państwo. Biskupi ogłosili także „Dekret ogólny w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych w Kościele katolickim”. Obowiązek ochrony danych od teraz spoczywa na publicznych kościelnych osobach prawnych – diecezjach, parafiach i domach zakonnych, czyli w praktyce na biskupach, proboszczach i przełożonych zakonnych. Dekret m.in. określa prawo do informowania o przetwarzaniu danych, do żądania sprostowania danych, ich uzupełnienia lub usunięcia („do bycia zapomnianym”). To ostatnie prawo jednak nie dotyczy danych na temat udzielonych sakramentów lub gdy w inny sposób odnoszą się do kanonicznego statusu danej osoby. Możemy zatem poprosić proboszcza o wgląd do informacji na nasz temat w kartotece parafialnej, ale nie możemy żądać wykreślenia z księgi chrztów.

© P ARTUR SPORNIK

W „Zofiówce” trwa wyścig z czasem

RATOWNICY przeszukujący zasypany chodnik kopalni „Zofiówka” w Jastrzębiu-Zdroju przeciskają się prześwitami, które miejscami mierzą jedynie po 60 centymetrów. W grę wchodzi życie trzech górników, których nie udało się odnaleźć.

5 maja podziemny wstrząs o sile 3,4 stopnia w skali Richtera doprowadził do zawalenia się części wyrobiska, w której trwały właśnie przygotowania do odpalenia ładunków wybuchowych. Ratownicy wydobyli do tej pory na powierzchnię ciała dwóch górników, dwaj inni trafili do szpitala. Gdy zamykaliśmy to wydanie, ekipom poszukiwawczym pozostało do przeszukania jeszcze około dwustu metrów zawalonego chodnika. © P MR

Armenia: po prostu rewolucja

WOJCIECH JAGIELSKI



NA ROZLEGŁYM OBSZARZE UZNANYM nigdy za wyłączną strefę wpływów Rosji uliczna rewolucja w Armenii jest pierwszą, której nie nadano żadnego imienia. Jej przywódcy nazywają ją czasami „aksamitną”, ale mają na myśli jedynie pokojowy sposób, w jaki się dokonała.

Serbska, która w 2000 r. położyła kres rządowi Slobodana Miloševića i pośrednio wywołała lawinę „kolorowych rewolucji” w b. Związku Sowieckim, została nazwana „buldożerową” (od ciągników, którymi zbuntowani robotnicy wjechali do Belgradu). Gruzińska z 2003 r. ochrzczono „rewolucją róż”. Po nich przyszła kolej na „pomarańczową” z Ukrainy z przełomu lat 2004-2005, „tulipanową” z Kirgistanu z 2005 r. Przepowiadano kolejne – miały poobalać starych, niechętnych postępowi, często skorumpowanych i zwykle prorosyjskich prezydentów i premierów, a na ich miejsce wynieść nowych, zapatrzonych w Zachód. Na Wschodzie, zwłaszcza w jego stolicy, Moskwie, uznano „kolorowe rewolucje” niemal za wypowiedzenie wojny.

Niepowodzenia Zachodu w Afganistanie i Iraku, Arabska Wiosna, wojna z dżihadystami i napływ uchodźców do Europy sprawiły, że zachodni przywódcy zapomnieli o „kolorowych rewolucjach”. Po kirgiskiej doszło jeszcze tylko do ukraińskiego Euromajdanu z 2013 r., krwawego, zakończonego wojną.

Podczas erywańskiej rewolucji poza ormiańskimi nie powiewają żadne inne sztandary, a z wiecowych trybun nikt nie mówi o światowej polityce, z kim trzymać ani przeciwko komu. Ormianie zbuntowali się przeciwko własnemu rządzącym, którzy powierzoną władzę uznali za łup. Zawłaszczyli państwo, a wykoślawiając demokratyczne reguły i instytucje, przerobili je w mechanizm mający im zapewnić rządy po wsze czasy. Armenia, otoczona przez wroga Azerbejdżan i Turcję, nieprzychylną Gruzję i życzliwą, lecz zajęty swoimi sprawami Iran, nie ma innego wyjścia jak szukać obrony i wsparcia w Rosji. Rosja o tym wie. I Zachód też. ©©



RAMI AL SAYED / AFP / EAST NEWS

MILIONY SYRYJCZYKÓW MOGĄ STRACIĆ DOMY I MIESZKANIA. Zgodnie nowym prawem własności właściciele mają jeszcze kilka dni, aby stawić się w swoich rodzinnych miejscowościach i ponownie zarejestrować w urzędzie nieruchomości. Wielu spośród 10 mln ludzi, którzy uciekli z domów przed wojną i prześladowaniami, nie może lub nie chce (bojąc się o swoje życie) tego zrobić; obawy, że przepisy wprowadzono po to, aby państwo mogło przejąć własność przeciwników prezydenta Asada, są więc uzasadnione. Na zdjęciu: ewakuacja południowych przedmieść Damaszku, efekt porozumienia podpisanego z jedną z opozycyjnych grup zbrojnych, 3 maja 2018 r. ©© ŻYM

Serbia: niemożliwe jest możliwe

CZY BELGRAD UZNA NIEPODLEGŁOŚĆ Kosowa, swojej b. prowincji – i to jeszcze w tym roku? Nie wyklucza tego prezydent Serbii Aleksandar Vučić, który w rozmowie z brytyjskim dziennikiem „The Guardian” uznał, że jest gotowy rozmawiać „o każdej możliwości” rozwiązania tego największego politycznego problemu na Bałkanach. Dał też do zrozumienia, że jego kraj chciałby w zamian m.in. przyspieszenia negocjacji członkowskich z Unią Europejską. To coś więcej niż deklaracja dobrej woli, bo choć Vučić jest oskarżany o zapędy autorytarne i „flirtowanie” z Rosją, jest też politykiem konsekwentnym i przewidywalnym, jego rządy zaś przypadły na czas wyjątkowej (jak na historię Serbii ostatnich lat) stabilizacji. W podobnym tonie o możliwym kompromisie wypowiedział się zresztą prezydent Kosowa. Czy obaj politycy otworzą niedługo w stolicy Serbii ambasadę Kosowa? ©© ŻYM

Nastolatki kontra Kreml

ANTYPUTINOWSKIE PROTESTY, zwołane przez opozycjonistę Aleksieja Nawalnego na 5 maja – dwa dni przed inauguracją prezydenta na nową kadencję – miały pokazać, że nie wszyscy z entuzjazmem przyjmują wizję jego dalszych rządów. Protestujący szli pod hasłem „On nie jest dla nas carem”. Świat obiegły zdjęcia, na których młodych ludzi zatrzymuje policja: wlecze, bije, wrzuca do suk (zatrzymano 1600 osób). W protestach biorą udział ludzie coraz młodsi: teraz były to nastolatki z pokolenia urodzonego już w putinowskiej Rosji, które chcą odmienić oblicze kraju. Uwagę zwraca też skład tych, którzy nastolatków rozganiali: były to nie tylko oddziały OMON-u, ale też „kozacy Putina” (organizacje odwołujące się do kozackiej tradycji, finansowane przez władze i wykonujące ich zlecenia), którzy atakowali nahajkami. Państwo wydało licencję na użycie przemocy rosyjskim „tituszkom”, a to znaczy, że samo straciło monopol na stosowanie siły. To klasyczny chwyt propagandy: „to nie my”, to nie państwo bije demonstrantów, lecz przedstawiciele społeczeństwa, którzy są z rządów zadowoleni. © ANNA LABUSZEWSKA Więcej na blogu autorki: labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Ewangelia według sekretarza generalnego



PIXABAY.COM

„**BRAK WYNIKÓW**” – taki komunikat zaczęły wyświetlać chińskie księgarnie internetowe na hasło „Biblia” wkrótce po tym, gdy pod koniec marca chiński Urząd ds. Religii wydał dokument zapowiadający nowe sposoby „promowania chrześcijaństwa”. Rząd chce, by wszystkie praktykowane w Chinach wyznania wspierały ideologię komunistyczną. Fakt, że kupno Pisma Świętego zaczęło graniczyć z cudem, eksperci wiążą z zapowiedzianą w dokumencie „ponowną interpretacją i tłumaczeniem” Biblii. W listopadzie 2017 roku media donosiły, że funkcjonariusze partii zmuszają chrześcijan, by zdejmowali ze ścian wizerunki Chrystusa i zastępowali je portretami przewodniczącego Xi Jinpinga. Tłumaczyli, że w biedzie pomoże im nie Bóg, tylko partia.

© P. MAM

Papież do chilijskich ofiar nadużyć seksualnych: „Byłem częścią problemu”

NA ZAPROSZENIE PAPIEŻA w Watykanie przez tydzień gościły trzy ofiary chilijskiego pedofila ks. Fernanda Karadimy – Juan Carlos Cruz, James Hamilton i José Andrés Murillo. To dzięki ich determinacji wpływowy duchowny został osądzony przez Watykan i odbywa pokutę, a Kościół chilijski przeżywa istne trzęsienie ziemi. Karadima był bowiem przez lata chroniony przez najwyższych hierarchów. Pokrzywdzeni mężczyźni mówią o „patologicznym i nieograniczonym korzystaniu z władzy” przez biskupów. Według nich w proceder tuszowania przypadków nadużyć seksualnych zaangażowani byli nuncjusz apostolski w Chile abp Ivo Scapolo, obecny arcybiskup stolicy tego kraju kard. Ricardo Ezzati, jego poprzednik oraz członek Rady Kardynałów kard. Francisco Errázuriz, a także wychowankowie Karadimy – biskupi Tomislav Koljatic, Horacio Valenzuela Abarca, Andrés Arteaga i Juan Barros. W obronę tego ostatniego z powodu fałszywych informacji zaangażował się sam papież, za co publicznie przeproszał. „Byłem częścią problemu” – miał powiedzieć Franciszek podczas osobistego spotkania z Cruzem.

Franciszek: mediator, a nie instancja rozstrzygająca

W SIEDZIBIE KONGREGACJI NAUKI WIARY przedstawiciele niemieckiego Episkopatu dyskutowali o spornym projekcie „Pomocy duszpasterskiej”, który proponuje dostęp do komunii protestantom w małżeństwach mieszanych. Papież podziękował niemieckim biskupom za ekumeniczne zaangażowanie, zachęcając do wypracowania możliwie jednomyślnego stanowiska. Rozmowy dotyczyły m.in. relacji wiary i duszpasterstwa, znaczenia ewentualnych rozstrzygnięć dla całego Kościoła i ich prawnych konsekwencji. Papież potwierdza swoje stanowisko w sprawie decentralizacji kościelnej władzy, uświadamiając biskupom ich rzeczywistą odpowiedzialność za wiarę i Kościół. Przyjął bowiem rolę nie ostatecznej instancji, ale wspomagającego mediatora. Zapowiada się długa debata z udziałem mediów. Przeciwnicy otwarcia mówią o „ekumenicznej fuszerce”. obrońcy zauważają, że zaprzepaszczenie aktualnej szansy „byłoby czymś makabrycznym i haniebnym” (bp Gerhard Feige).

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

W SKRÓCIE

TAIZÉ WE LWOWIE. W majowy weekend ponad 3 tys. młodych chrześcijan zebrało się we Lwowie na regionalnym spotkaniu organizowanym przez Wspólnotę z Taizé. Modlili się tam o pokój, zwłaszcza na Ukrainie. Tuż po spotkaniu przeor wspólnoty brat Alois razem z 15-osobową grupą młodzieży wyjechał do Donbasu.

KRZYŻ TO NIE LOGO. Kard. Reinhard Marx skrytykował rozporządzenie władz Bawarii, by od 1 czerwca w każdym urzędzie wieszać krzyż. Rząd tego niemieckiego kraju związkowego tłumaczył, że „krzyż jest fundamentalnym symbolem chrześcijańskiej tożsamości kulturowej”. Kard. Marx podkreśla z kolei, że „cieszy się z obecności krzyża w przestrzeni publicznej”, ale tym razem jego wieszanie nie jest wyrazem woli wiernych, lecz efektem dekretu. – Kto traktuje krzyż jedynie jako symbol kultury, ten krzyża nie rozumia.

POGOŃ W GDAŃSKU.

„Początkowo dzielił nas spory dystans, który na szczęście dość szybko nadrobiłem. Codzienna gimnastyka, ćwiczenia i bieganie nie poszły na marne” – podsumował ks. Ludwik Kowalski, proboszcz bazyliki św. Brygidy w Gdańsku, który 1 maja w swoim kościele przytąpał złodzieja na gorącym uczynku. 36-latek rozbił szklaną skarbonkę, do której parafianie zbierali pieniądze na odbudowę ołtarza, i zabrał z niej kilkaset złotych i biżuterię. Po kilkuminutowym pościgu proboszcz złapał złodzieja i zawiadomił policję.

PAPIEŻ SPRZEDA

LAMBORGHINI. „Samochód jest praktycznie nowy i nieużywany” – możemy przeczytać w zapowiedzi domu aukcyjnego Sotheby's, który zajmie się licytacją papieskiego lamborghini. 12 maja samochód, który Franciszek dostał w ubiegłym roku, zostanie sprzedany, a dochód wesprze budowę domu dla kobiet – ofiar handlu ludźmi w Iraku. Chodzi o model lamborghini huracan RWD coupe, którego wartość szacuje się na sumę 300 tys. euro. Na co dzień Franciszek używa kompaktowego forda focusa.



ALESSANDRA TARANTINO / AP / EAST NEWS

Można spodziewać się zdecydowanych posunięć papieża – pod koniec maja chilijski Episkopat przyjeżdża do Rzymu. Ponieważ „częścią problemu” pedofilii w Kościele okazują się biskupi, być może Franciszek zdecyduje się powołać postulowany od dawna przez watykańską Komisję Ochrony Małoletnich osobny trybunał do sądenia nadużyć władzy przez biskupów.

© ARTUR SPORNIAC



ISTOCK / GETTY IMAGES

Lustereczko, powiedz przecie

O TYM, ŻE MAŁPY CZŁOWIEKOWATE, takie jak szympansy, potrafią rozpoznawać własne odbicie w lustrze, wiemy od 1970 r., gdy Gordon Gallup przedstawił słynny „test kropki” – zwierzętom mającym dostęp do luster maluje się na czole kolorową plamę i sprawdza, czy wykażą nią zainteresowanie (małpy zwierzękształtne, takie jak makaki japońskie – na zdj. – nie robią tego spontanicznie). Wielu innych badaczy sprawdzało od tego czasu, jak małpy radzą sobie z rozróżnianiem rzeczywistych przedmiotów i ich lustrzanych odbić lub zniekształceń za pomocą szkieł powiększających. Jeden z takich eksperymentów, opisany niedawno na łamach „Animal Cognition”, przeprowadzili Christoph J. Völter i Joseph Call.

W kompleksowym, złożonym z pięciu etapów badaniu Völter i Call wykazali m.in., że człowiekowate potrafią odczytywać informacje o położeniu pożywienia korzystając z luster. Np. widząc kawałek banana w lustrze, potrafią ocenić, czy znajduje się on blisko, czy daleko, a na podstawie ustawienia lustra domyślają się, z której strony względem ich ciała zlokalizowane jest odbijane w lustrze pożywienie. To oznacza, że świetnie zdają sobie sprawę z tego, czym obraz w lustrze różni się od rzeczywistości, i potrafią przekuć tę intuicję na użyteczną dla nich wiedzę. © © ŁK



Pierwsze
Radio
Informacyjne

WOJCIECH JAGIELSKI

będzie gościem

Agnieszki Lichnerowicz

w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę

9 maja o godz. 15.40

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Literacki Nobel: kryzys sztokholmski

TOMASZ FIAŁKOWSKI



NAGRODY NOBLA W DZIEDZINIE LITERATURY tej jesieni nie będzie! Laureata poznamy dopiero w przyszłym roku. Akademia Szwedzka nie zdołała na czas uporać się ze skandalem, który wybuchł w listopadzie 2017 roku, kiedy grupa kobiet oskarżyła o molestowanie fotografa Jeana-Claude’a Arnaulta. Arnault jest mężem poetki Katariny Frostenson, członkini Akademii. Prowadzi Forum – prestiżowy ośrodek kulturalny, współfinansowany przez Akademię na niejasnych warunkach. Pojawił się więc także zarzut korupcji, a potem – cennych dla bukmacherów przecieków z obrad jury; ich źródłem miała być Frostenson. Sara Danius, stała sekretarz Akademii, wstrzymała wypłaty dla Forum, jednak próba szybkiego wyjaśnienia sprawy napotkała na opór w akademijnym gremium. Publiczny skandal narastał, wewnętrzny spór również, w rezultacie z 18 członków Akademii pozostało dziesięcioro (odeszły m.in. Frostenson i Danius), a wedle regulaminu człon-

kostwo jest dożywotnie i pustych foteli nikt zająć nie może.

Akademia Szwedzka powstała w XVIII w., literackie Noble przyznaje od początku ich istnienia. Jej werdykty bywały krytykowane, czasem też nagradzała własnych członków. W 1974 r. nawet dwóch – Eyvinda Johnsona i Harry’ego Martinsona, autorów wybitnych, tyle że wśród kandydatów byli wtedy Bellow (nagrodzony dwa lata później), Borges, Greene i Nabokov (Nobla się nie doczekali). Największy jak dotąd kryzys przeżyła w roku 1989, gdy ajatollah Chomeini obłożył fatwą Salmana Rushdiego, Akademia zaś milczała – w proteście opuścili ją pisarze Werner Aspenström, Kerstin Ekman i Lars Gyllenstein. Jak będzie teraz? Zaniepokojony król Szwecji zmienia regulamin (kto przez dwa lata nie uczestniczy w pracach Akademii, może zostać zastąpiony). Sprawą oskarżeń wobec Arnaulta zajmie się, mam nadzieję, sąd. Prestiż Akademii został jednak poważnie nadszarpięty. © ©

Polskie kino na Zachodzie: nie tylko Pawlikowski

BRYTYJSKA PRASA DONOSI o coraz większej popularności, jaką cieszą się na Wyspach filmy określone niedawno przez dziennik „The Guardian” mianem *Polish gangster films „on steroids”* – popularności, która powoli zaczyna wykraczać poza polską diasporę. „Pitbull. Ostatni pies” (reż. Władysław Pasikowski) znalazł się w minionym tygodniu na liście 10 najchętniej oglądanych filmów w Wielkiej Brytanii; „Kobiety mafii” Patryka Vegi od początku roku przyniosły już 900 tys. funtów wpływów (poprzedni film tego reżysera, „Botoks”, zajął w 2017 r. trzecie miejsce na liście hitów nieanglojęzycznych; na zdjęciu: kadr z filmu). Największy udział w komercyjnym sukcesie tych filmów mają oczywiście mieszkający



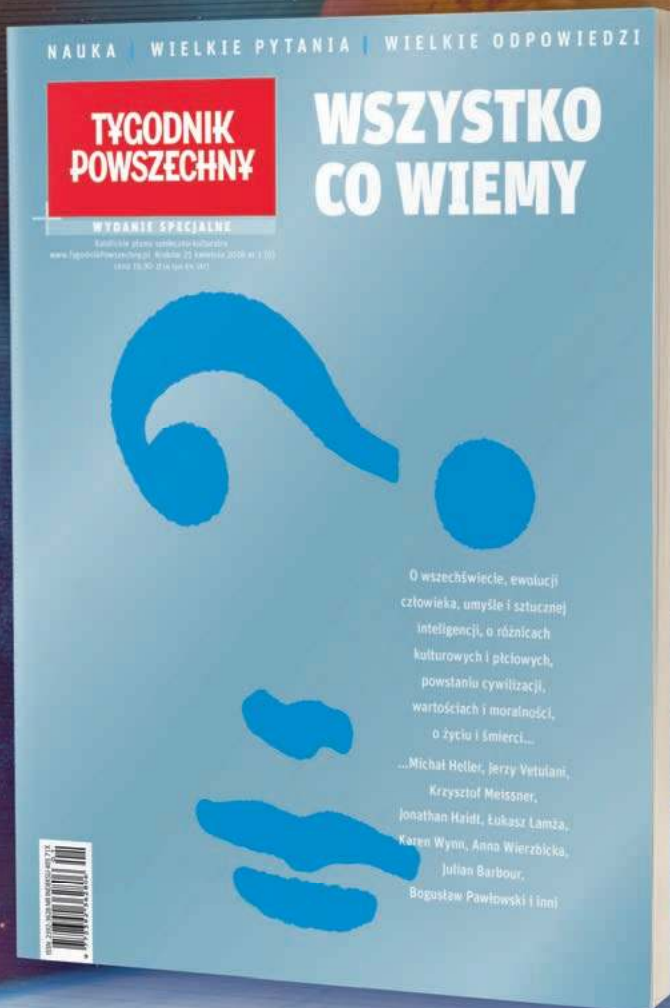
MATERIAŁY PRASOWE

na Wyspach Polacy („lubią w filmach oglądać swój kraj” – tak wyjaśniała to w rozmowie z „Guardianem” przedstawicielka dystrybutora), dla wielu zaskakujący jest jednak fakt, że sukces „polskiego kina gangsterskiego” przyszedł bez udziału brytyjskiej prasy. A także to, że nowe filmy znad Wisły nie przypominają wysmakowanych artystycznie dzieł sprzed lat. „Botoksu”, piszą recenzenci, raczej nie da się pomylić z „Idą”. © © ŻYM

PREMIERA

Już w sprzedaży

wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”



Niezastąpiona

lektura na lato!

Ponad 160 stron

przewodnika po tajemnicach

wszechświata.

O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest

Już od 25 kwietnia

O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać
w salonach prasowych,

O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym

na powszech.net/cowiemy

O cywilizacji – jak zmienia nas, nasze umysły i naszą planetę
i podczas

O wielkich ideach naukowych i moralnych

Copernicus Festival!

piszą: Heller, Lamża, Vetulani, Lynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych



STAROŚĆ GORSZEGO SORTU

Nie wtargną do Sejmu, nie zrobią demonstracji, nie pojawią się w telewizji. Nie posłużą nawet za znak ostrzegawczy starzejącego się społeczeństwa. Niesamodzielni seniorzy: zamknęci wraz z opiekunami w ścianach swoich domów.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

LIDIA OCHYRA MOŻE BY I NAWET DO SEJMU wtargnęła, tylko co potem? – Najdalej po dwóch godzinach musiałabym z niego wyjść – wzdycha.

Przyjmuje w dwupokojowym warszawskim mieszkaniu. Zza otwartych drzwi balkonu dochodzi do salonu zgiełk jednej z najbardziej ruchliwych ulic Pragi – Targowej. Po przeciwległej stronie pokój przechodzi w hol, dalej jest niewielkie pomieszczenie. Zamiast drzwi kotara, zza której słychać niewyraźne odgłosy włączonego telewizora.

– Teoretycznie mogłabym wtargnąć do Sejmu razem z łóżkiem i mamą, tak jak protestujący w Sejmie – kontynuuje przysiadając na kanapie pani Lidia. – Tyle że łóżko mamy stoi w tym samym miejscu od sześciu lat.

13 maja 2012 r., pierwsza w nocy: Lidia Ochyra słyszy dźwięk komórki. – Mama mieszkała na Pradze Południe, ja tutaj – opowiada. – Usłyszałam ją, ale bardzo niewyraźnie. Wiedziałam, że stało się coś złego. Zadzwoiłam po pogotowie, a że nie miałam kluczy do mamy mieszkania, oni wezwali straż i policję. Wybili okno na wysokim parterze. Mama leżała na podłodze – nie wiadomo jak długo. Pogotowie zabrało ją na Szaserów. Stwierdzili udar. Przez kilkanaście dni leżała na intensywnej terapii. Lekarz zapytał: „Oddaje pani

mamę do DPS?”. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Sześć ostatnich lat Lidii Ochyry i jej mamy Stanisławy Kwiatkowskiej (dziś lat 83) to ponad dwa tysiące podobnych do siebie dni.

Lubię, gdy przychodzi dwudziesta

Piąta trzydziści: pobudka. – Zmiana pampersów, mycie i balsamowanie ciała – wylicza pani Lidia. – Później przewracam mamę na bok, bo jej plecy nie wytrzymałyby ciągłego leżenia. Robią się stany zapalne, grzybice, odleżyny. A mama od udaru ani razu sama nie usiadła, ani razu nie przekręciła się na bok. W dodatku rozwinęła się u niej choroba Parkinsona, więc jedna teoretycznie sprawna ręka jest niemal ciągle rozdygotana. Udar uszkodził mózg i tzw. mózdzek. Głównym objawem są ciągle zawroty głowy: mama nie może nawet usiąść na wózku. Jest z nią w miarę normalny kontakt, więc może mi powiedzieć, co ją boli albo czego potrzebuje.

Godzina siódma, czasem ósma: śniadanie, leki, rehabilitacja. Lidia Ochyra: – Mama może pić tylko z kubka „niekapka”, takiego, z jakiego poi się dzieci. Inaczej by się zachłysnęła. Rzadko też jest w stanie sama jeść, więc śniadanie muszę jej podawać. Po jedzeniu zwykle rehabilitujemy jej powyginaną rękę.

Dziesiąta: krótki oddech. Lidia Ochyra zostawia mamę i wychodzi na szybkie zakupy. Po powrocie gotowanie i miksowanie obiadu. – Jeść zaczynamy około trzy-nastej. Czasami pół godziny, czasami godzinę, bo trzeba też w międzyczasie podawać płyny.

Popołudnie: znowu rehabilitacja i przewracanie na bok. – Jakiś podwieczorek, ponowne zmienianie pampersów. Poza usprawnianiem ręki trzeba też mamę naklepywać, bo przez to leżenie nie oddycha już normalnie.

– Lubię, gdy przychodzi godzina dwudziesta – uśmiecha się Lidia Ochyra. – Wtedy mam trochę czasu na telewizor i książkę. Czytam ostatnio „Północ-Południe”, a z gazet te plotkarskie, których kiedyś nie lubiłam. Dowiem się z nich przy najmniej, co słychać na świecie. Bo ja, proszę pana, świata w ogóle nie oglądam.

Świat Stanisławy Kwiatkowskiej, która – zagadnięta – lekko się uśmiecha, odpowiadając na pytania skinieniem głowy. Pokoik może dwa metry na trzy – większą jego część zajmuje łóżko. Po lewej ręce otwarte akurat okno (jest końcówka słonecznego kwietnia) – za nim gwar typowej praskiej „studni”, czyli podwórka, w którego mury wałą piłką miejscowe dzieciaki. Przed łóżkiem włączony telewizor. Bardziej do słuchania niż oglądania: ➔

→ pani Stanisława ciągle leży, więc obraz jest poza zasięgiem jej wzroku...

Wykluczeni opiekunowie

Jeśli wierzyć Spisowi Powszechnemu z 2011 r., w Polsce jest niemal pięć milionów niepełnosprawnych. – Nawet jeśli ta liczba, oparta na deklaracjach, jest nieco zawyżona, można mówić realnie o czterech milionach – uważa prof. Piotr Szukałski, demograf z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego.

Te cztery miliony to grupa zróżnicowana: pracujący, jeżdżący samodzielnie na wózkach, ale też sporo osób całkowicie zależnych od opiekunów. „Niesamodzielni” – mówi się o nich, bo nie są w stanie przygotować sobie posiłku, umyć się, ubrać. Jest ich w Polsce ok. 1,5 mln. Co najmniej połowa to osoby po osiemdziesiątce.

Z pojęciem niesamodzielnosci jest jednak problem: nie ma prawnych ram, zapisanej w ustawie definicji. Po co ją tworzyć, skoro jest już termin „niepełnosprawność”? – To pojęcie odnosi się do sfery ekonomii: określamy stopień sprawności człowieka głównie z punktu widzenia jego zdolności do wykonywania pracy – tłumaczy prof. Szukałski. – W określeniu niesamodzielnosci chodzi o to, czy są potrzebne usługi opiekuńcze.

„Wykluczeni Opiekunowie” – tak nazwali się ci, którzy są na co dzień przy dorosłych niesamodzielnym. Chodzi nie tylko o zajmujących się seniorami, ale wszystkimi, których niepełnosprawność powstała po 18. roku życia.

Wykluczeni, bo kolejne fale protestów z ostatnich lat w zasadzie ich pomijały. Włącznie z obecnym, w którym postulaty okupujących Sejm dotyczą „dorosłych dzieci” – osób, które są już pełnoletnie, ale ich niepełnosprawność powstała przed 18. rokiem życia.

Wykluczeni, bo – w odróżnieniu od opiekunów niepełnosprawnych dzieci, otrzymujących około 1500 zł świadczenia pielęgnacyjnego – większość z nich dostaje od państwa tylko 520 zł. Mimo wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2014 roku, który orzekł, że różnicowanie świadczenia dla opiekunów ze względu na moment powstania niepełnosprawności podopiecznych jest niezgodne z ustawą zasadniczą. Co z tego, skoro prawa do dziś nie zmieniono – tylko nieliczni opiekunowie wywalczyli wyższe świadczenie dzięki rozstrzygnięciom sądowo-administracyjnym.

System pomocy niesamodzielnym seniorom

jest skostniały:
na papierze oferuje wiele
form wsparcia, w praktyce
– opiera się na tradycyjnych.

Wykluczeni, bo nie mają ogólnopolskiej reprezentacji. Jedyny wyraźny znak ich publicznej obecności to profil na Facebooku. Nie liczą się z nimi politycy. Chyba że trwa akurat kampania wyborcza.

Prezydent o nas zapomniał

Lidia Ochyra pokazuje wydruk z listem. Data: 5 maja 2015 r. Nadawca: Andrzej Duda, kandydat na prezydenta RP. „Szanowni państwo, osoby z niepełnosprawnością oraz opiekunowie, 5 maja to wyjątkowa data – dzień walki z dyskryminacją niepełnosprawnych” – pisze kandydat. Później powołuje się na konstytucję, równe traktowanie, przywołuje śp. Lecha Kaczyńskiego i jego empatyczne podejście do niepełnosprawnych.

Odczytuję kolejne fragmenty listu, a Lidia Ochyra je komentuje.

„Zasługujecie na godne życie”. – Mama ma wypracowane 35 lat i nie należy jej się prawie nic.

„Nie możecie być wykluczani w żadnej sferze”. – Jesteśmy wykluczeni w niemal każdej sferze.

„Odczuwacie to sami, jak państwo za czasów rządów PO-PSL odwróciło się od was”. – Teraz nie jest nic lepiej. A może nawet gorzej.

„Zdaję sobie sprawę, jak odpowiedzialna i trudna jest praca opiekuna (...) Wiem, że to determinacja i poświęcenie. To oddanie swojego życia, swojej kariery, swojego rozwoju dla drugiej osoby. Dlatego uważam, że świadczenia dla wszystkich powinny być równe”. – Prezydent poszedł do protestujących w Sejmie, ale o nas nie powiedział słowa. Nie jesteśmy przeciw temu protestowi, a nawet go popieramy. Tyle że jest rok 2018, kandydat na prezydenta jest prezydentem, a w naszej sprawie nic się nie zmieniło.

Pani Lidia i pani Stanisława utrzymują się z 1330 zł emerytury i 520 zł świadczenia pielęgnacyjnego. – Jedzenie, ubranie, rachunki, pielęgnacja – wylicza pani Li-

dia. – Ogrzewanie jest na gaz, więc w sezonie dochodzi kilkaset złotych miesięcznie.

– Nie mogłaby pani iść do pracy? – pytam.

– Bardzo bym chciała: pracowałam do 2010 r., potem byłam na bezrobociu. W 2012 r. miałam już załatwione zatrudnienie, tyle że w maju mama dostała udaru. Gdybym wróciła teraz, moja pensja nie starczyłaby nawet na opłacenie samej opieki. Życzę panu prezydentowi albo ministrowi Gowinowi, któremu trudno było związać koniec z końcem za kilkanaście tysięcy złotych, by przeżyli w dwie osoby za 1800 zł. W Warszawie.

– Darmowa rehabilitacja?

– Teoretycznie 80 godzin rocznie. W praktyce dostajemy może dziesięć.

– Opiekunka z pomocy społecznej?

– Powiedziano mi, że nie przysługuje. Z ośrodka pomocy przychodzi tylko raz w roku kontrola. Sprawdzają, czy na pewno opiekują się mamą...

Rodzina jest najważniejsza

Polski system pomocy niesamodzielnym seniorom jest skostniały: na papierze oferuje wiele form wsparcia, w praktyce – nadal opiera się na tych tradycyjnych. Głównie na opiece w miejscu zamieszkania i całodobowych instytucjach. Jakość usług domowych jest różna, a instytucje pękają w szwach. I to wcale nie w pierwszej kolejności publiczne domy pomocy społecznej. Jak wykazał ogłoszony dwa lata temu raport NIK, najbardziej oblegane są oferujące pomoc przewlekłym chorym zakłady opiekuńczo-lecznicze. To pokłosie wadliwego systemu, który działa w dwóch oddzielnych światach: pomocy społecznej i ochrony zdrowia. Ciężar opłat za DPS ponosi przynajmniej w części rodzina, za pobyt w ZOL-u płaci NFZ. Efekt? Na miejsce w ZOL-u czeka się miesiącami.

Niewiele dzieje się w przestrzeni pomiędzy opieką domową a tą całodobową w instytucjach: „Samorządy nie są zainteresowane rozwijaniem innych form pomocy (...), chociaż liczba seniorów wciąż rośnie, a ustalenia kontroli (...) wskazują, że najskuteczniejszą formą opieki nad osobami starszymi są usługi środowiskowe (np. mieszkania chronione, rodzinne domy pomocy, domy dziennego pobytu)”.

Jest jeszcze problem dotyczący bezpośrednio opiekunów rodzinnych. – Dommowe usługi w ramach pomocy społecznej są przeznaczane głównie dla osób samotnych – mówi dr Rafał Bakalarczyk,

członek redakcji kwartalnika „Polityka Senioralna”. – W przepisach jest zastrzeżenie, że wsparcie przysługuje też osobie niemieszkającej samotnie, której rodzina nie może zapewnić opieki, ale z powodu niedoborów kadr i środków usługi są w takich sytuacjach przyznawane rzadko. W efekcie duża część ciężaru pieczy spoczywa na barkach rodzin. A wsparcie finansowe związane z opieką jest i skromne, i trudno dostępne, bo wypłata 520 zł dla opiekuna zależy od progu dochodowego w wysokości 764 zł netto na osobę.

Zmieniać to chciał w poprzedniej kadencji parlamentu senator PO Mieczysław Augustyn, przewodniczący zespołu ds. osób starszych. Współtworzył ustawę, która wprowadzała pojęcie niesamodzielności, a dla rodzin niepełnosprawnych przewidywała specjalne czeki opiekuńcze oraz tzw. opiekę wytnieniową (np. urlopy). Ale te prace zakończyły się fiaskiem.

Nad wprowadzeniem do polskiego prawa terminu „niesamodzielność” prace trwają i teraz. Powstała też rządowa strategia polityki społecznej wobec osób starszych do roku 2030. Ale na razie to ogólny dokument – bez szczegółowych rozwiązań, zobowiązań i wyliczeń.

Stają się automatem

– Próbowaliśmy kiedyś położyć bezwładne ciało na boku? Albo unieść ważącego 80 kg człowieka? – pyta Lidia Ochrya. – Pewnego razu trzej faceci z pogotowia, którzy zostali wezwani do mamy, powiedzieli mi, że oni tego zrobić nie są w stanie. A od jednego usłyszałam, że nie po to kończył studia, żeby dźwigać „takie osoby”...

Lidia Ochrya choruje na nadciśnienie. Cierpi też na zwyrodnienie kręgosłupa. – Neurolog nie bardzo chce mnie już le-

czyć. Mówi, że nie wolno mi się schylać ani dźwigać. Tylko kto za mnie wykona pracę przy mamie? – pyta.

Tak, słyszała o „opiece wytnieniowej”: – Pracuję na kilku „etatach”: jestem mamy opiekunką, rehabilitantką, gospodynią, a na dodatek przyjaciółką. Ale na razie urlop to tylko marzenie. Nieraz sobie człowiek popłaczę, porozczuła się nad sobą. Choć coraz rzadziej: staję się powoli automatem zaprogramowanym do tych samych czynności na co dzień.

Podobne historie można usłyszeć od wielu „wykluczonych opiekunów”.

Danuta Janoszka z Rudy Śląskiej: – Opiekuję się 62-letnim mężem, który cierpi na chorobę Alzheimera i Parkinsona. Z pracy zrezygnowałam dziesięć lat temu. Mam poważne problemy z kręgosłupem, jestem świeżo po zawale. Nam, opiekunom, sypie się zdrowie, bo musimy dźwigać, szarpać, nosić. I jesteśmy więźniami własnych domów, bo nikt nas nie wspiera. Czasem myślę, że więźniowie pod pewnymi względami mają lepiej: wychodzą na spacer, przepustki, mają swoje prawa. My nie mamy nawet tego.

Marzena Kaczmarek z Łodzi: – Mama cierpi od 2005 r. na alzheimera, ma 73 lata. Okresami jest ze mną, okresami w zakładzie opiekuńczo-leczniczym, bo na tym etapie choroby nie zawsze mogę się nią zająć. Ale nawet wtedy jestem codziennie przy niej. Nie chcę mówić o sobie, ale o całej grupie. Opiekujący się chorymi z demencją, alzheimerem, przeżywają zwykłe koszmar, w opiekę zaangażowane są całe rodziny, które nie dostają od państwa wsparcia. Jest też inna grupa, o której się nie mówi: opiekunowie, których podopieczni umarli. Są wypaleni, wycieńczeni. Zrezygnowali z pracy, życia towarzyskiego, nie mają co ze sobą zrobić.

Znam panią, która po śmierci podopiecznej miała myśli samobójcze. Chciała iść do pracy. „Proszę pani, pani już ma ponad 60 lat” – usłyszała.

O wypalonych i podupadających na zdrowiu opiekunach opowiada mi też Anna Janowicz, prezes zarządu Fundacji Hospicyjnej (prowadzącej gdańskie Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicza SAC). FH ma za sobą dwie edycje akcji na rzecz opiekunów rodzinnych w ramach znanej kampanii „Hospicjum to też życie”. – Chcieliśmy zwrócić uwagę urzędników państwowych na problemy opiekunów i możliwe rozwiązania – mówi Janowicz. – W ramach pierwszej edycji wysłaliśmy nawet list do minister Rafalskiej, zwracając uwagę na potrzebę systemowego wsparcia opiekunów. Naszym celem było też uświadomienie ludziom, z jakimi obciążeniami wiąże się całodobowe sprawowanie opieki w domu. Chcieliśmy dać sygnał: „Polacy, rozejrzyjcie się dookoła: takich ludzi jest bardzo dużo, a będzie ich coraz więcej”.

Prezes FH opowiada historie z życia opiekunów i ich podopiecznych: – Zapamiętałam matkę zajmującą się od dwudziestu kilku lat córką. Gdy zaczęłam pytać o jej zdrowie i samopoczucie, zaczęła płakać... Powiedziała, że ma chory kręgosłup, ale nie może poddać się operacji, bo nie ma kiedy. Pamiętam też pana, który opiekował się mamą. Ze względu na łamliwość kości nie mogła wychodzić z domu, co dla niej, byłej nauczycielki, było nie do zniesienia. Dla niego też: wycofał się z życia towarzyskiego, cierpiał na depresję. Mimo że był związany uczuciowo z mamą, miał jedno marzenie: wyjechać, odpocząć, zapomnieć.

Fundacja organizowała kilkakrotnie dni profilaktyki – lekarze wolontaryjnie przyjmowali opiekunów rodzinnych, ➔

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcję
czytania”



WEDEKIND W ZGIERZU

11 maja uczniowie zgierskich szkół – SŁO im. R. Traugutta, Zespołu Szkół Społecznych Towarzystwa Przyjaciół Zgierza oraz ZSO im. Stanisława Staszica – obejrzą spektakl „Przebudzenie wiosny” przygotowany przez aktorów Szkoły Filmowej w Łodzi. Następnie uczniowie podejmą próbę interpretacji tekstu Wedekinda podczas dyskusji z Michałem Lachmanem. Lekcja odbędzie się w zgierskim Parku Kulturowym Miasto Tkaczy.

■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl



Operator Programu
Europejskie Miasto Literatury UNESCO



Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

→ przeprowadzając trudno dostępne badania. – Zobaczyliśmy, że opiekunowie są często zdrowotnie zaniedbani, niektórzy umierają przed podopiecznymi – mówi Janowicz.

Polska nie ma czasu

Już dziś należymy do społeczeństw najszybciej się starzejących. Do 2050 r. mediana wieku wzrosnąć ma w Polsce z 39 lat (rok 2015) do 50. Według GUS w 2050 r. odsetek osób po 60. roku życia wzrośnie nawet do 40 proc.!

Ale z wizją zestarzałej Polski nie musimy czekać tak długo. Prof. Szukalski: – Od 1946 r. do końca lat 50. trwał powojenny wyż. Osoby urodzone na jego początku już za trzy lata zaczęły osiągać wiek 75 lat. Później będzie drastycznie przybywać osób powyżej 80. roku życia.

Jak sytuacja seniorów i ich opiekunów będzie wyglądać za lat dziesięć, dwadzieścia? – Położenie „wykluczonych opiekunów” jest częścią szerokiego problemu: oparcia opieki na instytucji rodziny – ocenia dr Bakalarczyk. – Rodzinny model traci rację bytu. Po pierwsze, ze względu na czynniki społeczne, choćby dużą migrację osób z młodszych generacji czy rosnące aspiracje zawodowe kobiet, po drugie, z powodu wzrastającej liczby seniorów w stosunku do młodszych pokoleń.

– Coraz częściej mamy do czynienia ze współistnieniem dwóch pokoleń seniorów – dodaje prof. Szukalski. – To model, w którym np. 70-latek opiekuje się swoim ponad 90-letnim rodzicem. Zmienia się polska rodzina: słabną więzi, kontakty są coraz rzadsze i mniej intensywne. Rzadko mówi się też o długofalowych konsekwencjach rozwodów. Wielu ojców po rozsta-

niu rozluźnia więzi z dziećmi, czego konsekwencją może być osamotnienie w sędziwym wieku.

Czy system opiekuńczy opierający się dziś na rodzinie gotowy jest na zmiany? Dr Bakalarczyk: – Ja gotowości nie widzę. Przez ostatnie lata wiele się o tym mówi, ale zmiany widać głównie w deklaracjach i dokumentach. Są wartościowe programy lokalne. Ale jeśli chodzi o tempo zmian na poziomie ogólnopolskim, a także o rangę, jaką się przypisuje tematyce starzenia, dzieje się nadal niewiele.

Prof. Szukalski: – Nasz system przechodzi powolną transformację do modelu, w którym państwo bierze większą odpowiedzialność za osoby niesamodzielne. Ale na razie dzieje się tak głównie w sytuacji, gdy ta osoba nie ma rodziny. Gdy rodzina jest, polskie państwo nadal uznaje, że opieka to jej sprawa. Na pewno wzrasta świadomość tego, jak powinien wyglądać system pomocy w przyszłości. Ciągłe jednak pozostajemy na etapie pięknych słówek.

Anna Janowicz: – Gdy myślę o przyszłości, również swojej, trudno mi uciec od wizji bycia samotną staruszką, której nie ma kto pomóc. Wierzę w edukację społeczną, uwrażliwianie ludzi, powrót do prawdziwych relacji sąsiedzkich, które gdzieś nam się zagubiły w dobie odgradzania się wysokimi płotami na pięknych osiedlach. Równocześnie nie mam poczucia, by politycy na poważnie myśleli o przyszłości. Wielkiej Brytanii zbudowanie systemu wsparcia opiekunów rodzinnych zajęło 50 lat. Mam nadzieję, że u nas przebiegnie to szybciej. Musi przebiec szybciej, bo my nie mamy już tyle czasu.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wiek to nie data ważności

EWA WOYDYŁŁO:

W Polsce jest ponad 6 mln osób po 60. roku życia. Za parę lat okaże się, że zabraknie młodych, którzy gotowi będą podać przystawki i szklankę wody.

BEAŻEJ STRZELCZYK: Proszę wybaczyć, ale muszę o to spytać. Zawsze interesował mnie kolczyk w Pani nosie.

EWA WOYDYŁŁO: I o co chce pan spytać?

O historię Pani kolczyka.

To jest prezent od mojego świętej pamięci męża.

Profesor Osiatyński kupił Pani kolczyk?

Był to prezent na moje 40. lub 45. urodziny. Byliśmy w Stanach Zjednoczonych. W Polsce kolczyki w nosie były wtedy jeszcze rzadkością. Mnie się zawsze podobały, widziałam je na przykład często u już niemłodych Niemek, które jeszcze czasem miały tatuaże na ramionach.

Ma Pani tatuaż?

Nie, akurat tatuażu nie mam.

Jeszcze czas?

Skóra do tatuażu musi być chyba jędrniejsza. Na tatuaż już chyba dla mnie za późno.

I co z tym kolczykiem?

Wybraliśmy się na urodzinowy spacer po Soho w Nowym Jorku. Wiktor poszedł trochę szybciej, stanął przy drzwiach do salonu w bocznej uliczce

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 30 kwietnia 2018 r. odszedł od nas nieoczekiwanie

ś.†p.

Aleksander Żurek

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w kościele pw. Matki Boskiej Bolesnej w Rybniku 9 maja 2018 r. (środa) o godz. 11.00, po czym wyruszy kondukt żałobny na cmentarz parafialny,

o czym zawiadamiają pogrążeni w smutku

RODZINA I PRZYJACIELE



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „JP”

Ewa Woydyłło, Warszawa, kwiecień 2018 r.

niedaleko Broadwayu, otworzył je uroczysto i puścił mnie przodem. Tam już na nas czekano, bo mąż zadzwonił wcześniej i powiedział im, co planuje. Było tam szalenie miło, zabieg był bezbolesny, obsługa zaśpiewała mi jeszcze „Happy Birthday” i w ten sposób dostałam od męża ten kolczyk, który noszę do dziś.

Wypada Pani mieć kolczyk w nosie?

Bo nie jestem młodą lalą, to mi nie wypada? To chce pan powiedzieć?

Nie chciałem Pani urazić, absolutnie.

Proszę pana, nie wypada robić wielu rzeczy. Na przykład kłamać, komukolwiek szkodzić, zachowywać się niegodnie lub nieestetycznie. Uważam nawet, że nie wypada przechwalać się swoją wiarą, bo nie świadczy ona przecież o wartości człowieka. W ogóle, muszę powiedzieć, dla mnie ma znaczenie jedynie to, jak człowiek postępuje.

A co wypada?

Pielegnować piękno i dobro. Mój kolczyk w moim pięknym nosie jest dla mnie piękny.

A starość jest piękna?

Czasem zastanawiam się nad śpiewanym przez nas, Polaków, życzeniem „sto lat”. Bo jeśli życzymy sobie „sto lat”, to za wszelką cenę chcemy dodatkowych lat na koniec życia, a nie na początek. No i mamy za swoje. Z czym kojarzy się panu starość?

Z niedołężnością, samotnością, chorobą.

Grozę budzi jeszcze kilka innych słów. Bo czy alzheimer, parkinson i demencja brzmią miło i sympatycznie?

Bardzo źle brzmią.

Życzymy sobie zatem „sto lat”, ale zapominamy często, z czym wiążą się te najpóźniejsze lata życia.

A Pani z czym się kojarzy starość?

Akurat z wolnością. Całe życie, zwłaszcza życie kobiety związane jest z obowiązkami. Rodzina jest wymagająca. Ale gdy żyje się odpowiednio długo, w końcu nadchodzi ten czas, gdy obowiązków jest coraz mniej i jednocześnie coraz więcej czasu na życie.

Pani jest stara?

Słucham?

Czy Pani jest stara?

Nie lubię tego słowa, bo ono jest brzydkie. Brzydko brzmi, proszę posłuchać: „stare buty, stary sweter, stary ser”... Jak nieapetycznie, prawda?

Starość jest określeniem pewnej kondycji i stanu ducha. Kondycji marnej, zniszczonej, zużytej; i ducha też marnego, słabego, chorego. A to wcale nie idzie w parze z zaawansowanym wiekiem. Znamy przecież 20-latków o marnym duchu i równie marnej kondycji. I odwrotnie, są wiekowe osoby o duchu pełnym mocy i biegnące w maratonach. Nie używam tego →

→ słowa przede wszystkim dlatego, że kojarzy się ono z niesprawnością – a ja jestem sprawna.

Zastępuje Pani to słowo?

Mówię po prostu, że mam 78 lat. Będę miała 79 – i słyszę: „ale świetnie wyglądasz”. Wiek to nie jest data ważności ani przydatności do spożycia. Bo czy pan, nosząc okulary, mówi od razu, że ma „chore oczy”? Kiedy Jane Fonda skończyła 50 lat, urządziła ogromne przyjęcie. Wszyscy goście dostawali przy wejściu koszulkę i musieli wpisać na niej swój wiek. A Fonda przez całe przyjęcie nosiła koszulkę z liczbą „50” i napisem poniżej, mniejszymi literami: „Tak wygląda pięćdziesiątka”. Wiek jest faktem metrykalnym, który nie jest miarą wartości ani „jakości” człowieka.

Kiedy zaczyna się starość?

Zaraz po urodzeniu. Wtedy wступujemy na drogę przybliżającą nas stopniowo do kresu.

Niezbyt optymistyczne.

Przeciwnie, może to być wizja całkiem optymistyczna. Bliska jest mi teoria Erika Eriksona, który zakwestionował hipotezę, jakoby w życiu człowieka najważniejsze były jedynie trzy pierwsze lata. Erikson wprowadził do psychologii pojęcie „rozwój”, przedstawiając kolejne fazy życia człowieka w kategoriach etapów rozwojowych obejmujących intelekt, moralność i umiejętności radzenia sobie z wyzwaniami uwarunkowanymi m.in. przez biologię. Fascynująca wiedza. Pomaga nauczyć się, jak kierować swoim życiem w zgodzie ze sobą, światem i naturą. Pomijając skrajne przypadki chorobowe – można nauczyć się przeżywać bez paniki również późne lata życia. Życie to nieustanny rozwój.

Co to znaczy rozwijać się?

To znaczy uczyć się. Pokonać swój opór do nauki, lenistwo, pychę, bierność, bezkrytyczne naśladowanie niemądrych lub niedobrych wzorów. Uczenie się jednym przychodzi łatwiej, innym trudniej. Zresztą jest nieskończenie wiele rzeczy, których można nie mieć ochoty ani ambicji się uczyć. Mnie na przykład nudzi gotowanie, ale za to stale trenuję sport i czytam książki w pięciu językach. Czyż to nie fantastyczne, że można sobie wybierać, w jakim kierunku ktoś chce się rozwijać?

A Erikson powiada w dodatku, że można to przez całe życie sobie zmieniać i nigdy nie przestawać odkrywać nowych pasji.

Można nauczyć się starości?

Tylko przez akceptację. Życie jest ulicą jednokierunkową. Nie da się zawrócić i przeżyć życia jeszcze raz. Trzeba pogodzić się i zaakceptować, że się zestarzejemy.

Pani już to zaakceptowała?

Oczywiście.

A był taki moment w Pani życiu, że nie akceptowała Pani starości?

Wiedziałam od dziecka, że taki jest porządek świata.

Rzadko rozmawiamy o starości.

Tak, chociaż paradoksalnie jesteśmy jej nieustannie ciekawi. Już przecież kilkuletnie dzieci zastanawiają się, pytając: „mamo, a czy ty umrzesz?”.

O, przytąpałam Panią!

Na czym?

Mamy mówić o starości, a Pani starość skojarzyła od razu ze śmiercią.

To logiczne. Starość oznacza coraz bliższą śmierć.

I Pani się nie boi?

Czego?

No, starości.

To byłby dobry temat na zupełnie inną rozmowę – o lęku. Istotnie, można żyć w strachu i można żyć bez niego. Nie ma niczego pośrodku. Sama nad tym pracuję i pomagam innym wyzbyć się strachu. Życie bez lęku jest nie tylko przyjemniejsze, ale bardziej produktywnie. Strach napawa pesymizmem, odbiera energię, entuzjazm, ufność, wiarę w siebie i zabija kreatywność. Jałowe życie, życie w strachu.

Ale chyba nie jest łatwo być starym?

Kiedyś w Niemczech zrobiono eksperyment. Studentów przebrano w uniformy przypominające skafandry kosmonautów. Ogromny hełm z zamgloną szybką na oczy. Ołowiane buty. Na dłoniach wielkie niezgrabne rękawice. Hełm był tak skonstruowany, że usta były całkowicie zasłonięte, podobnie jak otwory na uszy. Trzeba się było wysilić, żeby wyraźnie coś usłyszeć i cokolwiek powiedzieć. Studentom

wyglądali w tym wszystkim jak ciężkie, nienaoliwione i nieporadne maszyny. W takim stroju zostali doprowadzeni do sklepu. Każdy miał listę zakupów – ich zadaniem było wybranie produktów z listy, włożenie ich do koszyka, dotarcie z tym wszystkim do kasy, wyłożenie zakupów na taśmę i zapłacenie. Lepszą kwintesencję starości trudno sobie wyobrazić.

Jaki był efekt?

Studenci mieli napisać eseje. Efekt był oszałamiający, bo ci młodzi ludzie poculi na własnej skórze, co może oznaczać starość. Co to znaczy nie słyszeć albo jak trudno jest starymi dłońmi zapłacić za zakupy w sklepie. „Już nigdy nie będę się awanturowała, gdy przede mną w sklepie zakupy robi starsza osoba”.

Wszystkich nas to czeka?

No, fakt, nie jesteśmy nieśmiertelni. Ale starość starości nierówna. O ciało można dbać, chociaż stuprocentowej kontroli nad nim nie mamy. Ono potrafi płać różne figle. Przed starzeniem się ciała nikt się nie obroni. Proszę wstawić kwiaty do wazonu i zobaczyć, co się z nimi stanie po dwóch tygodniach. Wszystko, co żyje, w końcu więdnie. Ale starsi ludzie mają kłopot nie tylko z ciałem. Ci, którzy żyją najdłużej, mogą w końcu stracić wszystkich bliskich, wszystkich przyjaciół ze swojej młodości. Można przeżywać smutek kolejnych pożegnań, odczuwać brak i tęsknotę, ale przecież nie można czuć się zaskoczonym albo uważać, że to niesprawiedliwe. Późny wiek nie musi być wyłącznie źródłem cierpienia. Trzeba tylko zawczasu zadbać o to, by życie nie przestało być nadal ciekawe i nawet bardzo przyjemne.

Jak?

Pielegnować przyjaźń! Nad ciałem mamy niewielką władzę. Ono łatwo się psuje i może odmówić nam posłuszeństwa. A zadbana przyjaźń – może nas uratować. Uratować także wtedy, kiedy ciało nam się zepsuje. Nastąpi moment w życiu, w którym zauważymy, że bliscy odchodzą. Umrze matka, może umrzeć żona czy mąż, wielu przyjaciół. Taka wiekowa osoba może wtedy zaprzyjaźnić się z trzydziestoparoletnią sąsiadką. Proponuję zatem dwa priorytety: pierwszy to ile codziennie przebiega pan kilometrów, żeby pomóc ciału za szybko nie zwiednąć, a drugi, ważniejszy, to ile czasu pan spe-

dza na rozmowach i przebywaniu z żywymi ludźmi.

Wykłada Pani na Uniwersytecie Trzeciego Wieku.

I spotykam tam niemal wyłącznie kobiety. Zresztą wystarczy przejść się do teatru – 70 proc. kobiet. Podobnie w kościele. Na UTW zdarza się, że na setkę słuchaczy zdarza się jeden, może dwóch panów.

Dlaczego tak jest?

Kobiety lubią się uczyć. Mają trudniejsze życie – więc muszą być aktywniejsze. Od początku mają na swoich ramionach więcej zobowiązań i często także pod koniec życia nie zwalniają tempa. W późnym wieku mają więcej znajomych, więc gdy któraś chodzi na spotkania, to zaraz przyłączają się kolejne. Są bardziej wyrobione społecznie. Ale to bierze się z tego, że kobiety w ogóle poświęcają więcej czasu innym ludziom.

Gorzej być mężczyzną na starość?

Gorzej być mężczyzną. Kropka. Mężczyzna ma bardzo niefortunny rodzaj egzystencji. Rozerwany gdzieś między wolnością a odpowiedzialnością. Różnica między kobietami i mężczyznami polega na tym, że panie są odpowiedzialne, ale nie są wolne, natomiast panowie są wolni i nieodpowiedzialni. Weźmy choćby masowe nieplacenie alimentów na dzieci.

Inny przykład?

Gdy pierwsze dziecko w polskiej rodzinie rodzi się niepełnosprawne, to tylko kilka czy kilkanaście procent ojców w niej zostaje. To jeden z największych polskich powodów do wstydu. Plasuje nas wśród najbardziej niecywilizowanych i bezdusznych narodów. Kobiety ponoszą największe ciężary w rodzinach, więc są bardziej zaradne i energiczne, aż do późnego wieku.

Czego potrzebują starzy ludzie?

U nas głównie pieniędzy. Seniorzy należą do najuboższych grup społecznych. Polska w statystykach ONZ znajduje się na szarym końcu pod względem opieki nad osobami starszymi. Jestem przerażona obniżeniem u nas wieku emerytalnego. Nie mówię teraz o fatalnych prognozach ekonomicznych, ale o tym, że gdy traci się pracę, zaczyna się samotność i poczucie, że jest się niepotrzebnym. Skutki nie tylko

EWA WOYDYŁO:

Starość jest określeniem pewnej kondycji i stanu ducha. Kondycji marnej, zniszczonej, zużytej; i ducha też marnego, słabego, chorego. A to wcale nie idzie w parze z zaawansowanym wiekiem.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

EWA WOYDYŁO (ur. 1939) jest doktorem psychologii i terapeutką uzależnień. Studiowała m.in. w Los Angeles na Antioch University. Autorka licznych książek dotyczących psychologii. Laureatka przyznawanego przez „Tygodnik” Medalu św. Jerzego.

materialne, ale również psychologiczne doprowadzają do gwałtownego pogorszenia jakości życia. Czyste nieszczęście.

W jaki sposób można temu zaradzić?

Kiedyś w jednej ze szkół w Lublinie dydakcja wpadła na pomysł, żeby emerytowane nauczycielki wróciły do szkoły na zasadzie, nazwijmy to, mentorów, którzy prowadzą zajęcia pozalekcyjne albo poma-

gają podczas szkolnych wycieczek, akademii itd. Pomysł świetny – z jednej bowiem strony aktywizuje się osoby starsze, z drugiej – tworzy się w szkole przestrzeń międzypokoleniową. To korzyść dla wszystkich.

Udało się?

Niestety, urzędnicy oświatowi nie wyrazili zgody na realizację tego projektu – tłumaczyli, że nie ma na to pieniędzy, a poza tym jest cały szereg przepisów, których nie dało się ominąć.

Kłopoty ze starością to zmartwienie systemów, polityków, rządów?

Także, ale przede wszystkim jest to problem naszego wychowania. Bo tak naprawdę nic nie zastąpi obecności najbliższych. Nawet najlepsza pielęgniarka w Domu Pomocy Społecznej nie będzie lekarstwem na tęsknotę za własnymi dziećmi, a darmowy bilet do kina nie ukoi gorczy wynikającej z braku widoku wnuków. Polska należy do krajów szybko starzejących się. Jest już u nas ponad 6 mln osób po 60. roku życia i za parę lat okaże się, że zwyczajnie zabraknie młodych, którzy gotowi będą podać przysłowiową szklankę wody.

„Nie zapomnij mnie”.

Ale i tu potrzebna jest mądrość. Chodzi o to, że nie można wszystkiego robić za tych, którzy są starzy. Poczucie godności człowieka tkwi w samostanowieniu. Paradoks polega na tym, że kiedy zaczynamy żyć, potrzebujemy opieki i zainteresowania. Kiedy się starzejemy – również potrzebujemy bliskich, którzy będą nam towarzyszyć. I właśnie o towarzyszenie chodzi, a nie o wyręczenie.

Dodam, że seniorzy są trochę sami sobie winni, że ich własna rodzina się do nich nie garnie. Wielu starszym osobom często brakuje samokrytycyzmu. Nie przyjmują uwag i prośb, na przykład żeby wnuków nie karmić słodyczami albo nie straszyć Babą Jagą. Nie rozmawiają, tylko poucniają, usiłują narzucać młodym swoje zdanie, nieustannie narzekają, nie mają za grosz poczucia humoru, są nudni i niczym się nie interesują, w kółko powtarzają to samo i wiecznie wszystkich krytykują. O tych sprawach między innymi rozmawiamy podczas spotkań w Uniwersytecie Trzeciego Wieku. I to mnie napawa optymizmem.

© Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

PAWEŁ

Śpiewak: *Eliasz i wdowa*



KRÓL ACHAB, SYN OMRIEGO, RZĄDZIŁ W IZRAELU lat dwadzieścia dwa. Pozwolił, by kult Baala rozpowszechnił się w państwie Izraela, a do tego zasadził ogród poświęcony obcym bogom. To wzbudziło gniew Boga Jedynego. Achab spotkał się z odzianym

w skóry, dziko wyglądającym prorokiem Eliaszem. Eliasz postanowił pokazać królowi, że słowa Wiekuistego są niezmiennie i nakazują odrzucić obcych bogów. Dostał od Pana swego władzę nad deszczami. Ogłosił, że przez najbliższe trzy lata nie spadnie ani kropla deszczu, ani nie będzie rosy. Zobaczycie – mówił – kara spotka tych, co złorzeczą JHWH. I tak się stało. Eliasz skrył się na pustyni nad potokiem wpływającym do Jordanu. Nikt nie mógł go tam znaleźć. Karmiły go kruki, które latają nad wzgórzem Masada i Morzem Martwym, przynosząc mu w dziobach chleb i wodę. Czarne ptaki nosiły jadło ze stołu królewskiego.

Nastał trudny czas, bo wszystkie wody wyschły. Cierpiał lud cały. Wtedy Bóg nakazał Eliaszowi, by udał się do pewnej wdowy mieszkającej koło Sydonu, kilkanaście dni drogi od pustyni. Zobaczył ją, jak za murami miasta zbiera drwa i szykuje dla siebie i syna ostatni posiłek. Śmierć się do nich zbliżała. Prorok poprosił ją o wodę i kawałek chleba. Przyniosła jadło, bo tak nakazują najwyższe wymagania gościnności. Ręce jej były wyciągnięte ku potrzebującym, jak ucza w Księdze Przysłów. Eliasz poprosił ją, by przygotowała nieco ciasta. Mędrcy porównują je z macą, którą Żydzi po wyjściu z Egiptu długo się żywili. Cud się stał tym razem – wystarczyło mąki i oliwy. Ale stało się nieszczęście. Umarł syn wdowy. Matka krzyczała do Eliasza i mówiła mu gniewne słowa: „czyś ty przywiódł na pamięć nieprawości moje i umorzył mego syna” (1 Krl 17, 18). Wtedy wziął prorok ciało syna na swoje łóżko i mocno się modlił, długo wołał do Boga: „niechaj się proszę wróci dusza dzieciątka w ciało jego”. I przyniósł ożywione dziecko niewieście, a ona rzekła Eliaszowi: „teraz poznałam, iżeś jest mąż Boży, a słowo Pańskie w ustach twoich jest prawdą” (17, 24). Kilka dni później zaczęły padać deszcze. Skończyła się susza. A głos Boga oznajmił Eliaszowi, żeby oddał Najwyższemu klucze od deszczu i od zmartwychwstania.

Co w tej historii zdaje się najważniejsze: dobroć owej wdowy, która oddaje ostatni kęs jedzenia biedniejszemu od siebie? A może jest to historia o niezmiennych prawach Mojżesza, etyce opartej na karze i nagrodzie? Moim zdaniem najważniejsza jest opowieść o zmartwychwstaniu. Żyd musi wierzyć, że ono nastąpi. To jest pewne. Choć kiedy i jak to się stanie, nikt nie wie. Na rychłe zmartwychwstanie syna zasłużyła ta pobożna kobieta. Ona – uczył rabin – w kraju zepsutym przez kult bałwanów zachowała jako jedyna wiarę w Boga prawdziwego. I za to została pięknie wynagrodzona. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Kosmiczne tabernakulum*



„TEOFILU, W PIERWSZEJ KSIĘDZE NAPISAŁEM o wszystkim, co Jezus czynił i czego nauczał od początku aż do dnia, w którym pod wpływem Ducha Świętego udzielił pouczeń wybranym przez siebie apostołom i został wzięty do nieba”. Jezus został wzięty do nieba, czyli dokąd? Gdzie jest to niebo, w którym Jezus żyje? W górze, ponad naszymi głowami, gdzieś tam?

Sama nazwa ten kierunek wskazuje. Wstępować do nieba to jednak nie to samo, co wstąpić do kogoś, wpaść na chwilę, na krótką pogaduchę. „Wstępować” znaczy w Biblii iść tak, jak się idzie do Jerozolimy, czyli pod górę. Natomiast z Jerozolimy się zstępowało, gdyż to miasto położone jest na wzgórzu. Do dzisiaj w Credo wyznajemy, że Jezus zstąpił do piekieł, co znaczy, że zszedł do wnętrza ziemi.

Wszystko oczywiście było w jak najlepszym porządku dopóty, dopóki Ziemia była płaska, a przestrzeń nad ludzkimi głowami przykryta aż siedmioma sklepieniami, za którymi mieszkał Bóg. Dzisiaj już tak nie jest, a mimo to na dźwięk słowa „niebo” zadzieramy głowy i stamtąd oczekujemy nadejścia Jezusa. Te nasze wyobrażenia o niebie już najwyższy czas zaktualizować. Podpowiada nam to liturgia niedzieli Wniebowstąpienia.

W tę niedzielę do skarbcza kościelnego wraca figurka Zmartwychwstałego, która przy ołtarzu pojawiła się w Wigilię Paschalną. Nie znaczy to jednak, że On sam też zniknął. Paweł Apostoł mówi, że Bóg wskrzesił Jezusa, „wszystko poddał pod Jego stopy i ustanowił Go Głową całego Kościoła, który jest Jego Ciałem i Pełnią Tego, który wypełnia wszystko we wszystkim”. To znaczy, że Jezusowe wstąpienie do nieba nie oznacza odejścia gdzieś poza horyzont kosmosu, jeśli taki istnieje, ale wstąpienie w Kościół, w rzeczywistość materialną.

Znaki obecności i działania Jezusa – sakramenty – również mają charakter materialny: woda, chleb, wino, oliwa, słowa i gesty. Karl Rahner SJ mówił, że nawet „centrum życia chrześcijańskiego, czyli Eucharystia (...) nie jest działaniem sakralnym, w którym coś czy ktoś miałby być oderwany od świata. Tym bardziej nie można uważać za sakralne osób i instytucji kościelnych, które zawsze nacechowane są również duchem świata”.

Od chwili poczęcia Chrystusa przez Maryję nie można już przeciwstawiać naturalnego nadnaturalnemu, ziemi niebu, ciała duszy, doczesności wieczności, nie można uważać, że Syn Boży tylko chleb i wino przemienia w swoje ciało i krew, czyli w siebie. Jezus w siebie przemienia również Kościół. Stąd dla chrześcijanina istnieje tylko jedno *sacrum*: Bóg, który – mówiąc obrazowo – wypełnia sobą wszystko. Dla Boga kosmos jest najprawdziwszym tabernakulum. I tak wcielenie dopełnia się we wniebowstąpieniu. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Droga, Prawda i Życie

Starzec powiedział:
„Jeśli ktoś dla Pana
stanie się głupi,
przez Pana będzie
uznany za mądrego”.

Z APOFTEGMATÓW
OJCÓW PUSTYNI



Rabbi Mendel
powiedział
o najwyższym szczeblu
duchowym:
„Posiąść całą mądrość,
a potem modlić się
jak małe dziecko”.

Z OPOWIEŚCI CHASYDÓW



W PIĄTEK CZWARTEGO TYGODNIA wielkanocnego w Liturgii słyszeliśmy jedno z najważniejszych zdań Jezusa: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem; nikt nie przychodzi do Ojca inaczej, jak tylko przeze Mnie” (J 14, 6). Wszyscy wyczuwamy ciężar gatunkowy tych słów; wielokrotnie widzieliśmy je wypisane i ilustrowane w chrześcijańskiej ikonografii; zapewne nie raz wyśpiewywaliśmy je w pieśniach i religijnych piosenkach; wracały do nas podczas modlitwy.

Dobrze, że Liturgia każe nam je ponownie usłyszeć – poczuć ich siłę i świeżość, i zacerpnąć z nich jeszcze raz, jak ze źródła.

Warto zobaczyć sytuację, w jakiej te słowa padły. Jezus wypowiada je na ostatniej wieczery – na moment przed swoim odejściem. Atmosfera jest napięta. Uczniowie przerażeni. Jezus widzi ich strach, i dwukrotnie mówi do nich: „Niech się nie trwoży serce wasze!” (J 14, 1 i 27). Co możesz uczynić, gdy masz do czynienia z człowiekiem, który się boi (a strach apostołów jest strachem poważnym – przed śmiercią; Jego śmiercią, ale i ich. Nie wiedzą, co się wydarzy, i są pełni lęku)? Jak możesz pomóc? Jakie jest lekarstwo na ludzki lęk? Zwłaszcza ludzki lęk przed śmiercią? Przed końcem? Przed tym, co nieodwracalne?

Jezus nam uświadamia, że odpowiedzią na czyjś lęk może być nasza obecność. Nie teoria, nie nowa wiedza, lecz komunია.

Przerażonym uczniom Jezus nie mówi: jest droga (wyjścia), jest prawda (o waszej sytuacji), istnieje życie – wszystko to znam, i mogę Wam opowiedzieć... Nie. On mówi: Jestem z wami. Jako droga, prawda i życie. W moim

byciu z Wami – we wspólnocie ze Mną – możecie doświadczyć drogi, prawdy i życia.

Nie wygłasza abstrakcyjnych, nawet najsluszniejszych teorii – po prostu jest. Bo taka jest dyscyplina rządząca takimi momentami: nie możesz pomóc słowem wypowiedzianym z bezpiecznego dystansu – musisz być. Musisz się zaangażować. Pomocą jesteś ty – liczy się to, że jesteś, i kim jesteś. A nie teoretyczna wiedza, jaką posiadasz.

I tu dotykamy drugiego znaczenia Jezusowego logionu: „Ja jestem drogą, i prawdą, i życiem”.

Oczywiście, Jezus przyszedł, aby pokazać nam drogę (do Ojca); aby objawić nam prawdę; aby otworzyć nas na doświadczenie prawdziwego życia. Zna i ogłasza jedno i drugie, i trzecie. Jednocześnie On sam jest drogą, prawdą i życiem. To znaczy, że między orędziem, które przynosi, a tym, kim sam jest, można postawić znak tożsamości. Jezus najgłębiej utożsamia się z tym, co ogłasza. To, o czym mówi do nas, jest Jego wewnętrzną prawdą.

Nie ma w Jego postawie żadnej dwuznaczności, niespójności czy zafałszowania. Jest sam Orędziem, które ogłasza.

Tak więc nie wystarczy znać lub wiedzieć i mówić o „drodze, prawdzie i życiu”.

Trzeba tę wiedzę najpierw uczynić swoją własną wewnętrzną prawdą – stylem i sposobem własnego życia; własnym DNA – trzeba stać się tym, co poznałem.

A następnie – skoro już chcę się tym podzielić z innymi – zaryzykować komunię z potencjalnym adresatem. Nie bać się tego, co papież opisuje ulubionymi przez siebie słowami: „bliskość”, „towarzyszenie”, „dotknięcie”, „czułość”.

To wezwanie do podwójnej miłości: poznać prawdy i osoby, której chce ją przekazać. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (13–20 V)

Niedziela Wniebowstąpienia Pańskiego:
Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 1, 17-23; Mk 16, 15-20;
Poniedziałek: Dz 1, 15-17. 20-26; Ps 113; J 15, 9-17;
Wtorek: Dz 20, 17-27; Ps 68; J 17, 1-11a;
Środa: Ap 12, 10-12a; Ps 34; J 17, 20-26;

Czwartek: Dz 22, 30; 23, 6-11; Ps 16; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Niedziela, Zesłanie Ducha Świętego: Dz 2, 1-11;
Ps 104; 1 Kor 12, 3b-7. 12-13; J 20, 19-23.

Wybrał PIOTR SIKORA

SZERYF Z OPOLA

Patryk Jaki ma małe szanse na prezydenturę Warszawy. Ale łatwość, z jaką wchodzi w polityczne starcia i rzuca ostrymi oskarżeniami, spowoduje, że stołeczna kampania będzie do końca dynamiczna.

JACEK GĄDEK

PREZES PiS NIE CHCIAŁ, BY SAMOZWAŃCZY szeryf z Ministerstwa Sprawiedliwości walczył o warszawski Ratusz, ten sam, w którym od 2002 r. urzędował Lech Kaczyński. Tym bardziej że 33-letni Patryk Jaki jest wiernym druhem Zbigniewa Ziobry i członkiem Solidarnej Polski, a nie Prawa i Sprawiedliwości. Jednak sondaże, *vox populi* przeliczony na procenty, nie pozostawiły wyboru.

Jaki przeszedł długą drogę. Swoją pozycję i rozpoznawalność budował na radykalizmie, teraz obrał kurs na centrum i łagodnie, by przypodobać się wyborcom z liberalnej metropolii. Słowem kluczem do niego jest „zmiana”.

Zaczął od siebie. Od dresiarza popijającego piwo na ławce i zagorzałego kibica Odry Opole do krawciarza z wiecznie dzwoniącą komórką w ręku, który w gabinecie częstuje gości marchewką i winogronami. Po godzinach szlifuje doktorat z prawa i właśnie skończył zajęcia na prestiżowej IESE Business School w Barcelonie. Dziś koledzy i rywale mówią o nim: fighter, PiStolet. Tylko jemu w obozie władzy chciało się na serio mierzyć z kandydatem opozycji Rafałem Trzaskowskim (PO).

Dr Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego: – Jaki będzie w kampanii przykuwał uwagę. Nawet jeśli nie wygra, to zmusi PO do galopu. Zapewni dobre samopoczucie ludziom, którzy mu kibicują, by mogli się dłużej ludzić, że jednak wygra. Walka będzie wyrównana i będzie przynajmniej widać, że się toczy.

Prof. Rafał Chwedoruk z Uniwersytetu Warszawskiego dodaje: – W Warszawie orientacja liberalna ma strukturalną przewagę. Siłą rzeczy Patryk Jaki nie będzie więc faworytem II tury, ale w I już może.

Politolog przypomina rok 2015, wybory prezydenckie: – Minimalne (0,99 proc.) zwycięstwo Andrzeja Dudy w pierwszej turze wiele zmieniło, bo wtedy niemożliwe stało się faktem. Obóz PiS liczy na powtórkę i wygraną Jakiego w I turze, co uruchomiłoby nową dynamikę.

Po namaszczeniu Jaki od razu zaczął organizować konferencje i nadrabiać stracony przez PiS czas. Kłopot w tym, że nadal jest postrzegany w stolicy jako człowiek jednego tematu: walki z mafią repressywacyjną. Czasami też strzela na oślep i we własne stopy. Jedną rzecz powtarza jak *credo*: „Chcę realnie zmieniać, a nie administrować i trwać”. Gdy go pytałem, co by więc zmienił w rewolucji zaordynowanej krajowi przez obóz PiS, odparł: – Dużo bym zmienił w „dobrej zmianie”. A potem ugryzł się w język, bo za nielojalność by go zgilotnowano.

Na czele maturzystów

Urodził się i wychował w Opolu. Jego matka – pracująca z dziećmi, także niepełnosprawnymi, ucząca religii – zmuszała go i trójkę rodzeństwa, by chodzili do kościoła.

Bronił się, ale po latach przyznał, że mama miała rację. Nie krył, gdy z nim rozmawiałem: – Nie mogę o sobie powie-

zieć, że jestem ortodoksyjnym katolikiem. Teraz na przykład popiera *in vitro* i to finansowane z państwowej kasy.

Mówi o sobie, że nie jest z elity, lecz z ludu, z blokowiska. Gardzi III RP – „PRL+”. Faktem jednak jest, że jego ojciec Ireneusz Jaki był w latach 90. szefem gabinetu wojewody. A potem, jako doradca prezydenta Opola Ryszarda Zembażyńskiego (2002-14), lokalnym notabłem, nazywanym przez prasę „szarą eminencją” i „czwartym wiceprezydentem”. W 2002 r., gdy popierany przez PO Zembażyński wygrał wybory na wóldarza Opola, od razu zatrudnił Jakiego seniora. Dziś jest on prezesem miejskiej spółki Wodociągi i Kanalizacja. Fotel zapewnił mu nowy prezydent Opola (od 2014 r.) Arkadiusz Wiśniewski – politycznie i prywatnie zaufany człowiek Patryka Jakiego i jak on były członek Platformy. Dla wiceministra awans ojca to nie nepotyzm, ale sprawiedliwość. – Po ponad dekadzie sprawilem, że tata mógł wrócić do pracy, z której go niesłusznie wyrzucono. Ma tam duże sukcesy – podkreślał.

Nastoletni Jaki krążył między blokiem a zwirowym boiskiem. Chciał być piłkarzem, jednak zabrakło mu talentu. – Gdy miałem 14 lat, trafiłem do słynnej szkoły piłkarskiej w Szamotułach. Mieszkalem już sam, będąc w 7 klasie podstawówki. Po roku okazało się, że zawodowego piłkarza ze mnie nie będzie i wróciłem do domu. Przez jakiś czas grałem jeszcze w Odrze Opole – wspominał.



Od szorowania po zwirze zostały mu blizny ukryte dziś pod garniturem. Jako aktywista wypłynął w wieku 18 lat. Zdał maturę celując, ale gdy już oblewał sukces, okazało się, że zadania maturalne wyciekły i egzamin musi powtarzać. Był wściekły, bo zarzeka się, że nie ścigał, a maturę pisał uczciwie. Skrzyknął kolegów na protest przed urzędem wojewódzkim w Opolu. W białej bluzie i spranych dżinsach szedł na jego czele.

Mimo że w końcu znowu zasiadł do egzaminu, to wtedy połknął bakcyla panowania nad tłumem – w końcu wyprowadził na ulicę 5 tys. osób. Zauważyli go młodzi politycy prawiący ze Stowarzyszenia Młodzi Konserwatyści, wówczas jeszcze bratnich partii PO-PiS. Wstąpił do PiS.

Po maturze studiował zaocznie politologię na Uniwersytecie Wrocławskim. Były to wówczas masowe studia, na których uczelnie zarabiała, bo były tanie w prowadzeniu, a chętnych nie brakowało. Przycupnął na krótko w Międzynarodowej Wyższej Szkole Logistyki i Transportu, gdzie zajmował się promocją i biurem karier. Organizował SKOK w Opolu. Prowadził biura polityków. Pisywał do gazet. Dorabiał jako dziennikarz sportowy. Był członkiem gabinetu politycznego wojewody opolskiego – to frukta dla partyjnego narybku. Był też asystentem europosła prof. Ryszarda Legutki.

Gdy wybuchła afera Rywina, a Jan Maria Rokita ze Zbigniewem Ziobrą walcowali SLD, on rozlepił na biurze poselskim Aleksandry Jakubowskiej wizerunki Pinokia. Krzyczał: „Ola, nie kłam!”. Wpadał na konferencje SLD i zapalał znicze. Na ironię zakrawa fakt, że dziś Jakubowska (wówczas szefowa gabinetu politycznego Leszka Millera) z powodzeniem łąsi się do środowiska PiS.

Z PiS do PO i z powrotem

Po dwóch latach i konflikcie z regionalnym szefem Jaki opuścił partię braci Kaczyńskich. Do realnego wejścia w politykę lokalną namówił go potem radny PO Janusz Kowalski, poznany na proteście maturalnym – stał się jego protektorem. Jaki zapisał się do Platformy, a prezydent Opola Ryszard Zembaczyński – już za chwilę jego największy wróg – wpisał go na listy samorządowe Platformy. Tak w 2006 r. z list PO został wybrany radnym i zaczął budować swoją popularność.

Romans z Platformą zakończył zaraz po złożeniu ślubowania – rozbił jej klub i z innymi renegatami założył klub Stop Korupcji, który szybko się rozpadł, a Jaki wrócił do... PiS. Jako pisowiec z odzysku tłumaczył, że przecież do PO należał krakowski konserwatysta Jan

→ Rokita oraz prof. Zyta Gilowska z Lublina, w których był zapatrzony, a z czasem PO stała się „partią układu”.

Z każdym rokiem wsiąkał w politykę. Wpis z bloga Jakiego ze stycznia 2008 r.: „Opolski polityczny świątek nauczył mnie, że trzeba mieć w sobie coś z cynika, żeby w tym syfie przetrwać”. Pierwszym wrogiem Jakiego stał się prezydent Zembaczyński. Przez polityczną wolę Jakiego juniora z Ratusza z hukiem wyleciał Jaki senior. Ryszard Zembaczyński mówił o nielojalności, a Jaki o zemście za harce syna w radzie miasta.

Notabene syn Zembaczyńskiego Witold jest dziś w Sejmie posłem Nowoczesnej i ściera się z Jakim juniorem. Wrogość nowego pokolenia opolskiej elity przeniosła się zatem do Warszawy. Ostatnio Witold Zembaczyński nazwał Jakiego „najgorszym barachłem”.

Jaki już jako radny był bardzo krewki. Dworował sobie z władz Opola, a „ratuszowe misie” oskarżał o pisanie o nim źle na forach internetowych. Ale też się kajał. Z „Raportu [radnego] Jakiego” 2008 r.: „W mojej pracy nie ustrzegłem się błędów, wstydliwych sytuacji czy po prostu totalnych głupot, za co przepraszam mieszkańców Opola”.

Buszował na forach internetowych lokalnych mediów i publikował przychylnie dla siebie komentarze pod pseudonimem „Awgan” (w miejskim slangu afgan/awgan to marihuana). Sprawa się wydała, gdy ze skrzynki radnego wysłał pochwalnego e-maila do redakcji „Nowej Trybuny Opolskiej”.

Nie przeszkodziło mu to w 2010 r. ponownie zdobyć mandat (tym razem z PiS) i stanąć na czele klubu tej partii w radzie Opola. Rok później na liście startował z listy PiS do Sejmu. Wcześniej dostał jednak lekcję partyjnej polityki. Lider PiS w regionie Sławomir Kłosowski obiecał mu „trójkę” na liście, a potem upchnął na 12. miejscu. Jaki popędził do centrali. Pomógł mu Zbigniew Ziobro. Do domu wrócił z zaklepaną „ósemką” i wsparciem od Ziobry w kampanii.

Ale i bez tej nowej protekcji Jaki mógłby się dostać do Sejmu, bo swoim wynikiem niemal dorównał liderowi listy. Zaklecił miasto swoimi plakatami, z kampanią wszedł do kościołów. Wydał „Informator Parafialny” z biblijnymi cytatami i kalendarzem liturgicznym, a wśród nich reklamował się hasłem „Patryk Jaki – polityka oparta na wartościach chrześcijańskich”.

O paradzie równości

mówił przed laty,
że „nie ma zgody,
żeby z Warszawy
robić Sodomę i Gomorę”,
a teraz już jako kandydat
nie widzi przeszkód,
by się na nią zgodzić.

W Sejmie zaczął od terminowania w ławach opozycji. To miał być zresztą dla niego tylko przystanek. Jako świeżo upieczony poseł z Opolszczyzny mówił w 2011 r. dla „NTO”: „Najważniejszy jest jednak dla mnie fotel prezydenta Opola. W kolejnej kadencji chcę rządzić miastem. Takie marzenie”.

Zaraz po złożeniu ślubowania poselskiego Jaki odszedł z PiS – razem z innymi „ziobrykami”, do dziś jest członkiem Solidarnej Polski Ziobry. Po zjednoczeniu prawicy i wygranych wyborach 2015 r. był przymierzany do Ministerstwa Sportu, bo jako radny walczył o boiska w mieście i ich doświetlanie wieczorami. A poza tym grał w piłkę i trenował karate.

Ziobro pociągnął go jednak ze sobą do Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie stał się młodym szeryfem. Urosł w siłę dzięki komisji odkręcającej dziką reprowatyzację – to jego pomysł, do którego przekonał Ziobrę i Kaczyńskiego. Gdy okazało się, że bliiski PiS-owi polityk, a wówczas wiceprezes Orlenu Mirosław Kochalski w 2006 r. podpisał decyzję o oddaniu jednej z kamienic, Jaki publicznie zażądał jego głowy. Miał żal do partyjnych kolegów, że Kochalski wciąż bierze pensję od paliwowego giganta, a jemu się dostaje za nielojalność. Ostatecznie Kochalski stracił stołek wiceprezesa, a Jaki błysnął niepokornością.

I kto tu jest „słoiikiem”?

Zawsze dbał o wizerunek młodego gniewnego, więc dziś można mu wyciągać co smaczniejsze zaszłości. Wpis z bloga z 2009 r., gdy Donald Tusk odwołał przed końcem kadencji szefa CBA Mariusza Kamińskiego: „To duży cios dla państwa polskiego, ponieważ po to ustala się urząd kadencyjny, aby był niezależny od aktualnie rządzących. Żadna inna formacja w niepodległej RP nie podważała i nie pró-

bowwała tej reguły omijać”. Niedawno zaś przyłożył rękę do skrócenia kadencji I prezes Sądu Najwyższego. O paradzie równości mówił przed laty, że „nie ma zgody, żeby z Warszawy robić Sodomę i Gomorę”, a teraz już jako kandydat nie widzi przeszkód, by zgodzić się na tęczowy przemarsz. Przykłady można by mnożyć.

Szarże bywają jednak dla Jakiego zgubne. A to oskarży posła PO Roberta Kropiwnickiego, że w jego mieszkaniu mieści się burdel – potem przeprosił. A to rzuca liczbami, które nie mają pokrycia w rzeczywistości. Zagalopował się także z odrzębieniem sukcesu tzw. dużej ustawy reprowatyzacyjnej, która mogła na amen rozwiązać problem. Przed kamerami mówił triumfalnie: „Mamy to, łapiemy byka za rogi!”. Potem jednak ustawa trafiła do szuflady, a zapal Jakiego stępiono. Powód? Wcześniej pilotował nowelizację ustawy o IPN, która sprowokowała bezprecedensowy kryzys w polityce zagranicznej. Ustawa reprowatyzacyjna mogła jeszcze zaostriżyć relacje z USA, Izraelem i środowiskami żydowskimi.

Za największe – obok walki z tzw. mafią reprowatyzacyjną – zasługi Jaki poczytuje sobie radykalne zwiększenie liczby pracujących więźniów, wprowadzenie jawnego rejestru pedofilów, ukrócenie władzy komorników i zakaz odbierania dzieci z powodu biedy.

Gdy zaczęto go w zeszłym roku przymierzać do kandydowania na prezydenta Warszawy, pytałem, na ile ocenia szanse na start. – Może 1 proc. Myślę o tym tylko wtedy, gdy dziennikarze mnie o to pytają. Sam najchętniej na pytanie o moją kandydaturę odpowiedziałbym „nie”. Ale wiem, że w polityce nigdy nie można mówić nigdy – podkreślał. To jednak była kokieteria. W rzeczywistości zależało mu na starcie, bo to szansa na awans do politycznej ekstraklasy.

Od kiedy ruszyła kampania, chłoszcze dotychczasową prezydent stolicy. Z kolei Rafała Trzaskowskiego nazywa jej pomocnikiem, a jego ewentualne zwycięstwo nazywa „czwartą kadencją Gronkiewicz-Waltz”.

Flis w 2015 r., jeszcze przed I turą wyborów prezydenckich, prognozował zwycięstwo Andrzeja Dudy nad Bronisławem Komorowskim. Pytany dziś przez „TP” o szanse Patryka Jakiego ocenia, że są nikłe. To dlatego, że wybory wódzra stolicy przypominają politykę ogólnopolską, a trzy lata temu Komorowski,

choć psuł, co mógł w kampanii, i tak wygrał w Warszawie z Dudą 18 punktami procentowymi. Flis przypomina też rok 2006: wówczas na fali był ekspremier Kazimierz Marcinkiewicz, a i tak przegrał z kostyczną, niezbyt popularną Hanną Gronkiewicz-Waltz, która nie ma w sobie krzty fighterki. – Wystarczyła, by pokonać mocnego kandydata PiS – podkreśla politolog z UJ.

Prof. Rafał Chwedoruk: – W dużym mieście kandydat PiS może wygrać, jeśli obóz liberalny jest głęboko podzielony, a emocje społeczne budzi aktualna afery, która uderza w liberalnego kandydata. Tak było w 2002 r., kiedy wygrał Lech Kaczyński. Dziś obóz liberalny ma w stolicy jednego kandydata, Trzaskowskiego, a dzika reprivatyzacja nie do końca spełnia wymóg aferalny, nie spowodowała też dotąd odpływu liberalnych wyborców od PO.

Nimb pogromcy mafii to za mało. – Reprivatyzacja to tylko jeden z tematów, a do tego jest już niemal załatwiony. Miałoby to dziesiątki innych spraw. Wygrana Jakiego byłaby nagrodą, a wyborcy nie nagradzają za coś, tylko mają nadzieję na

coś – wyjaśnia Flis i dodaje: – Ludzie oczywiście doceniają, gdy władza nie kradnie i jest uczciwa, ale to nie jest jedyne oczekiwanie. Gdyby Jaki walczył z Gronkiewicz-Waltz, to wtedy reprivatyzacja byłaby istotna, ale nie gdy rywalem jest Rafał Trzaskowski.

Chwedoruk: – Kandydatura Jakiego to eksperyment. Jest on akceptowany przez wyborców PiS, a poprzez swoje cechy i koloryt byłego piłkarza, chłopaka spod bloku i „słoika” ma dotrzeć przede wszystkim do 30-40-latków, którzy jako jedyni woleli Komorowskiego od Dudy w 2015 r. Będzie rozliczany nie z tego, czy zwycięży, ale na ile zdoła poszerzyć tradycyjny elektorat prawicy.

Zdaniem Flisa obciąża Jakiego to, że nie jest zakorzeniony w Warszawie. W stolicy mieszka od siedmiu lat – początkowo w „Leningradzie”, czyli Miasteczku Wilanów. Jeśli jednak Trzaskowski będzie mu czynił zarzut, że jest „słoikiem”, to Jaki może na tym tylko skorzystać.

– Mityczny „słoik” to dziś osoba w wieku 30-40 lat, która kupiła w Warszawie mieszkanie od dewelopera albo

je wynajmuje. Często jest wyborcą partii liberalnych. PiS ma z kolei wyższe poparcie w starszych dzielnicach jak Praga, Włochy czy Ursus. Paradoksalnie więc to Trzaskowski powinien pozytywnie mówić o „słoikach”, a Jaki akcentować dziedzictwo i trwałość więzi – mówi politolog. Wypominanie komukolwiek, że jest „słoikiem”, uderza w najwierniejszy elektorat Trzaskowskiego i skłania do solidarności z Jakim.

Opiekun i mściciel

Kampania Jakiego dopiero co ruszyła, a już jest on hiperaktywny. Na starcie zaliczył sporą wpadkę. W spocie umieścił zdjęcia z czeskiej Pragi, zamiast prawobrzeżnej dzielnicy Warszawy. To akurat zabawne, jednak pierwsze dni rywalizacji pokazały, że kampania może być bez pardonu.

Życiem prywatnym Jaki dzielił się od początku kariery politycznej. Od lat pokazuje swoje rodzinne zdjęcia i nagrania z synkiem Radkiem, który urodził się z zespołem Downa. Żona wiceministra Anna prowadzi popularny profil na

REKLAMA

IL DIVO

TIMELESS

Koncert z okazji
jubileuszu 1050-lecia Archidiecezji Poznańskiej
pierwszego biskupstwa w Polsce

22 czerwca 2018
Poznań, Ostrów Tumski

BILETY: eBilet.pl, EMPIK

| www.archpozn.pl

→ Instagramie z fotografiami rodziców z dzieckiem – od niemowlaka po dziś dzień.

O chorobie dziecka Jaki z żoną dowiedzieli się w czasie ciąży, lekarz przedstawiał im możliwość dokonania aborcji, ale odrzucili taką opcję. Gdy syn obarczony trisomią się urodził, Jaki z żoną uznali, że to „znak od Boga, zadanie, misja, próba dla całej naszej rodziny”.

Poseł Zembaczyński zarzucił Jakiemu, że „robi politykę na swoim chorym dziecku”. Jaki odparł, że Zembaczyński „sięgnął dna, a takie chamstwo to już poziom Janusza Pałikota”.

Osoby znające Jakiego prywatnie twierdzą, że to nie polityczny cynizm, ale naturalne dla niego zachowanie. W ten sposób oswaja ludzi z chorobą dziecka i buduje więź między niepełnosprawnym synem a otoczeniem. Utrzymuje rozległe kontakty ze środowiskami rodzin opiekujących się dziećmi nie tylko z trisomią, ale też innymi schorzeniami. Z powodu tego doświadczenia, jak twierdzi, wspierał zalegalizowanie medycznej marihuany.

Ale także dlatego chciałby w ustawie antyaborcyjnej znieść zapis o dopuszczalności aborcji z uwagi na wady płodu. – Przesłanką eugeniczną do usunięcia ciąży jest niemal zawsze trisomia – mówi mi. W rzeczywistości, jak głosi sprawozdanie rządu, to 37 proc. Po raz kolejny Jaki operuje charakterystycznym dla siebie przerysowaniem.

Najważniejszy jest jednak dla niego dobrze wyreżyserowany wizerunek mściciela. Gdy we włoskim kurorcie Rimini zgwałcono Polkę, a jej partnera ciężko pobito, pisał o sprawcach: „Dla tych bydlaków powinna być kara śmierci. Choć dla tego konkretnego przypadku przywróciłbym również tortury. Zawsze byłem i jestem zwolennikiem kary śmierci. I nawet nie próbujcie mnie atakować poprawnością polityczną. Mam to gdzieś i zdania nie zmienię”. Na marszu przeciw islamizacji w Opolu mówił o „marszu dzicy na Europę”. Na co dzień – jak na szeryfa przystało – nosi przy sobie broń.

© JACEK GĄDEK

Autor jest dziennikarzem *Gazeta.pl*

Nie umiemy być realistami

PIOTR STANKIEWICZ

Rzeczpospolita nie tylko nie jest mądrzejsza od sumy doświadczeń swoich obywateli, ale wręcz gubi coś, co oni mają.

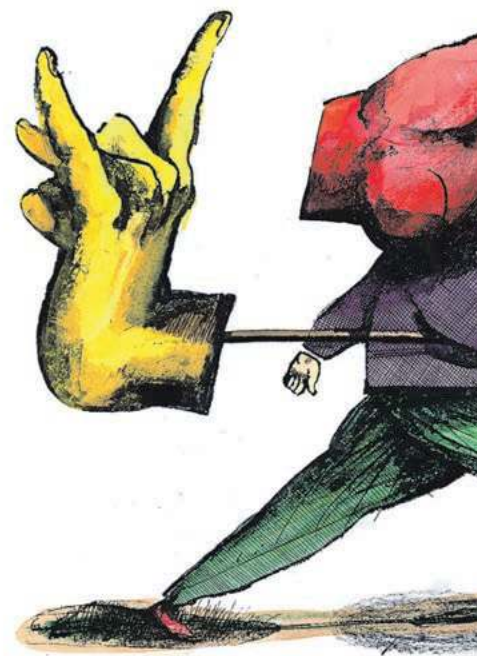
NOWOCZESNA POLSKA TO OKSYMORON powiedział w jednym z wywiadów Socjolog Jan Sowa. To mocne stwierdzenie i idące (być może) za daleko. Jest jednak w naszej polskości element, w którym taka teza jest do utrzymania. Nie tyle nowoczesność jako taka, ale nowoczesnie rozumiana *Realpolitik* jest w polskim wykonaniu oksymoronem. Mówiąc ściślej: polskie marzenia o skutecznej *Realpolitik* prowadzonej przez nasze państwo na arenie międzynarodowej są wewnętrznie sprzeczne. Ale dlaczego? I o co w ogóle chodzi?

Realpolitik to – wedle definicji – polityka uprawiana w sposób pragmatyczny, oparta na rzeczowej kalkulacji okoliczności, możliwości, trzeźwej ocenie sytuacji i grach interesów. Podstawową rolę grają w niej fakty, realia i siły, a nie wartości etyczne, ideały czy zobowiązania. Jest przeciwstawiana, oczywiście, polityce, którą się uprawia (albo przynajmniej o której się mówi) w sposób idealistyczny czy moralistyczny. Rozróżnienia są tu jasne: z punktu widzenia polityki „idealistycznej” *Realpolitik* to wyrachowanie, czy wręcz cynizm, a z punktu widzenia *Realpolitik* polityka „idealistyczna” będzie nieuchronnie oceniana jako naiwność.

Cynizm prywatny

Realpolitik nie jest i nigdy nie była mocną stroną państwa polskiego.

By się o tym przekonać, warto jednak zacząć „od dołu”. Jako żywo bowiem nie jest prawdą, że my, Polki i Polacy, jako społeczeństwo i ludzie po prostu, nie umiemy



oceniać, działać i planować trzeźwo i realistycznie.

Przeciwnie, realizm graniczący z cynizmem, świadomość brutalności gry życiowej – wszystko to jest nam nader dobrze znane.

Widac to szczególnie na styku naszego życia prywatnego i państwa. Od przynajmniej ćwierci tysiąclecia żyjemy w realiach państwa, którego nie lubimy i któremu fundamentalnie nie ufamy (patrz choćby książka Adama Leszczyńskiego „No dno po prostu jest Polska”). Wykształciliśmy w sobie głęboki i organiczny odruch braku zaufania do jego instytucji. Nie ufamy państwu, nie wierzymy, że zrobi ono cokolwiek dobrze, nie wierzymy, że wywiąże się ze swoich obowiązków wobec nas, obywateli.

To jest stały i niezmienny punkt życia w Polsce, tak oczywisty, że aż niezauważalny. I dotyczy wszystkich stron sceny. Przecież nawet najbardziej prawdziwy i najbielszy Polak-nacjonalista nie idzie bynajmniej do urzędu z uśmiechem na twarzy i z wiarą, że go szybko obsłużą.

Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że ten absolutnie trzeźwy realizm w ocenie możliwości państwa polskiego, realizm, który każdy uprawia na swój prywatny rachunek, nie przekłada się na „realpolityczność” zewnętrznych działań tegoż państwa. Coś tu się fundamentalnie gubi w tłumaczeniu. Jako społeczeństwo potrafimy być krystalicznie trzeźwi i praktyczni... ale państwo przez to społeczeństwo zbudowane ciągle działa nierealnie i niepraktycznie. Polska nie tylko nie



ZYG MUNT JANUSZEWSKI

umie być mądrzejsza od sumy doświadczeń swoich obywateli, ale wręcz gubi coś, co oni mają.

Łatwo jest więc podać negatywną, lekko złośliwą, ale niepokojąco trafną definicję: *Realpolitik* to rozumienie polityki, którego Rzeczpospolita Polska uprawiać nie umie. Narzekanie na deficyt trzeźwej kalkulacji w polskiej polityce, szczególnie zagranicznej, a jednocześnie na nadreprezentację w niej pierwiastka idealistycznego czy wręcz mesjańskiego nie jest niczym nowym. Narzekał na to Stefan Kisielewski w tekście napisanym na drugą rocznicę powstania warszawskiego, narzekamy na to i dziś.

Przechwycona narracja

To narzekanie jest kolejnym charakterystycznym punktem naszego stosunku do *Realpolitik*. My nie tylko nie umiemy jej prowadzić, ale wciąż za nią tęsknimy. To nie jest bynajmniej tak, że jesteśmy spójnymi, pełnymi wiary idealistami. Przeciwnie: chcielibyśmy, by nasze państwo umiało kalkulować trzeźwiej i działać bardziej pragmatycznie. Ciągłe sobie to wyobrażamy. Tyle że ono ciągle nie umie.

Ta tęsknota jest szczególnie wyraźna na prawicy. Jeśli czytamy się w to, co piszą np. Rafał Ziemkiewicz czy Piotr Zychowicz, to – poza wszystkim innym – znajdziemy tam wielką, nieukojoną tęsknotę za „siłą” odmienianą przez wszystkie przypadki. Rozkoszują się wyrażeniami takimi jak „gracze polityki”, „koncert mocarstw”, z lubością powtarzają, że „Wielka Brytania nie ma przyjaciół, a tylko inte-

resy”, i niezmiennie dopowiadają, że Polska powinna się prowadzić tak samo. Można wręcz odnieść wrażenie, że prawica w Polsce przeciwstawia się nie tyle wartościom lewicowym, ile wartościom w polityce w ogóle. Ważniejszy jest sen o *Realpolitik*, nagiej sile i iluzja polityki neutralnej, wyzbytej wartości.

Poniekąd właśnie w kategoriach tego marzenia da się zrozumieć całe to wielkie przechwylenie przez prawicę języka i pojęć bynajmniej nie przez prawicę stworzonych. To właśnie w imię *Realpolitik* jej autorzy przejmują takie pojęcia jak „narracja”. Dostrzegli, że jest ono skuteczne, że dobrze opisuje medialno-polityczne realia, a skoro tak, to warto po nie sięgnąć i użyć do swoich celów. Trzeba też w tym kontekście pomyśleć o skierowanych do zachodniego odbiorcy kampaniach takich jak #RespectUs, #German-DeathCamps czy o coraz wyraźniejszych po prawej stronie internetu nawoływaniach, by dyskutować na Twitterze po angielsku i w ten sposób rozpowszechniać polski punkt widzenia. Przekonanie, zgoda niepragmatyczne, a charakterystyczne dla pewnych przynajmniej odmian konserwatyzmu, że „prawda sama się obroni”, zostaje tu porzucone właśnie w imię pragmatyki i obrony interesów.

Trudno jednak uciec od wrażenia, że to marzenie o *Realpolitik* jest zawsze resentymentalne – szczególnie gdy jest opowiadane przez prawicę. Polski konserwatysta, owszem, chce *Realpolitik*, ale bynajmniej nie dla niej samej. Chce jej przede wszystkim jako antidotum na nasz niepoprawny idealizm. I m.in. dlatego ta tęsknota staje się przesadzona, nienaturalna, niezdrowa.

Nieudolne kopiowanie

A żeby to pokazać bliżej, zejdźmy do przykładów. Zaczniemy od „Paktu Ribbentrop–Beck” Piotra Zychowicza. Autor snuje w tej książce wizję historii alternatywnej, w której Polska ramię w ramię z III Rzeszą bierze udział w ataku na ZSRR, ocala siebie samą przed apokalipsą, a Żydów przed Holokaustem, potem zaś w odpowiedzi wojnę jako zwycięzca po stronie aliantów. Ten scenariusz jest jednak – poza wszystkim innym – nie tyle realnie możliwą trajektorią historyczno-polityczną, co dziką fantazją o tym, że dobrze by było, gdybyśmy w latach 30. i 40. XX w. umieli być tak diaboliczni i przebiegli jak Niemcy. Zychowicz opowiada coś, o czym mu się wy-

daje, że to już jest *Realpolitik* – i do tej wizji stara się wstecznie nagiąć historię. W tym marzeniu o realności abstrahuje jednak od realiów: marzy o innym scenariuszu II wojny, ale nie bierze pod uwagę, że nie było ku niemu politycznych możliwości. Pisz nie tyle scenariusz historii alternatywnej, co marzenie o tym, że Polacy byliby kimś innym, niż są.

Weźmy teraz wojnę już nie światową, ale tę niedawną, dyplomatyczną z Izraelem. Polska umyśliła sobie, że chciałaby zrealizować cel: „niech obcokrajowcy dobrze mówią o polskiej historii”. Postanowiono w tym celu wprowadzić prawo, które miało to wymusić. Co się stało później – wiadomo. Wizerunkowa katastrofa na wielu frontach, w tym szczególnie na tym jednym, na którym autorom ponoć zależało. O polskiej historii zaczęto mówić gorzej, popularność hasła „polskie obozy” poszybowała w górę, a krytyka spadła zewsząd.

Historia ustawy o IPN to niejako Polska w pigułce. Ujawnia się tu wiele naszych problemów, w tym mania naśladowania: polscy politycy skopiowali to, co im się wydaje, że robią ich zachodni koledzy, gdy uprawiają *Realpolitik*. Wyszło jak wyszło, bo zrobili to nie dość, że nie umiejętnie, to kopiując powierzchownie. Skopioowano to, co z zewnątrz wygląda na *Realpolitik*, abstrahując od tego, czy ta treść ma jakikolwiek sens. Po drugie: ustawa o IPN była polityką *quasi*-zagraniczną uprawianą na pożytek krajowy – demonstracją (wątpliwą) siły na scenie wewnętrznej. Po trzecie, była z definicji nieskuteczna. Zakładała przecież ściganie zdefiniowanych po polsku „wykroczeń” poza polską jurysdykcją. Ta jej nieskuteczność nie była zarazem przeszkodą dla jej autorów (proszę zwrócić uwagę, że to już antypody wszelkiej *Realpolitik*), bo dla wszystkich było jasne, że nie chodzi w niej o to, żeby naprawdę ścigać argentyńskich dziennikarzy, którzy →

ANTYKWARIAT KWADRYGA

KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI,
MAPY, GRAFIKI.
DOJEŹDZAMY.
TEL. 22 622 11 54

REKLAMA

→ napiszą coś złego o Polsce. To była typowo polska – to już punkt czwarty – wiara w magiczną moc słów. Ustawa o IPN to nie był akt prawodawstwa, ale raczej magii. Wyprodukujemy pewien dokument, prezydent go podpisze, a świat stanie się od razu bardziej przyjaznym miejscem. Niestety, *Realpolitik* tak nie działa.

Dialog to zdrada

Czy to wszystko znaczy, że nasze szanse na praktyczną, realną politykę są pogrzebane? Nie są! Trzymając się ostatniego przykładu: istnieje cały szereg organizacji, które na trudnym froncie relacji polsko-żydowskich wykonują wspaniałą, mrówczą robotę. Te organizacje realizują w praktyce dokładnie to, co chcieliby w swych zamierzeniach osiągnąć autorzy ustawy o IPN. Sprawiają, że obcokrajowcy (w tym przypadku Żydzi) zaczynają rozumieć specyfikę polskiej pamięci i odmienność naszego punktu widzenia. Budują płaszczyznę kontaktów i porozumienia, będące warunkiem wszelkiego wspólnego postępu. To, co robią te organizacje, to jest właśnie *Realpolitik*.

Robią to jednak innymi metodami. Ich drogą jest nie tyle ostre konfrontowanie innych z naszą „jedynie słuszną” polską wersją historii, co konfrontowanie obu stron z tym, że ta druga pamięta wojnę inaczej. Jest jednak oczywiste, że ci, którzy mówią o konieczności wstawania z kolan i dbania o polską pamięć, tych oddolnych wysiłków na rzecz dialogu polsko-żydowskiego nie tylko by nie docenili, ale też nie uznali za *Realpolitik*. Próba nawiązania dialogu przez uznanie rozbieżności perspektyw została by uznana za „pedagogikę wstydu”, „antypolską narrację na zagranicznych finansach”, albo i za zdradę.

To paradoks: miłośnicy *Realpolitik* nie umieją jej przeforsować wprost, za to gdy udaje się ona innym – nie akceptują. Nasza polska miłość do skuteczności w polityce jest jednostronna: interesuje nas nie tyle skuteczność, ile skuteczność używana w jeden, wąsko określony sposób. Tego zaś, co nie mieści się w naszym wąskim wyobrażeniu, nie uznajemy... mimo że tego właśnie uznania domagałaby się *Realpolitik*. Wszczynamy zatem przedsięwzięcie, które nie może się udać z definicji.

Ten paradoks widać też w stosunkach z naszymi sąsiadami na północy i wschodzie. Usłyszymy tu niejednokrotnie argument, w jakiejś wersji „idei jagiellońskiej” czy „Międzymorza”, że Polska po-

Polski konserwatysta,
owszem, chce *Realpolitik*,
ale bynajmniej nie dla
niej samej. Chce jej
przede wszystkim jako
**antidotum na nasz
niepoprawny idealizm.**

winna lub mogłaby być jakimś przewodnikiem, „liderem regionu”, orędowniczką demokracji na Białorusi czy sojusznikiem Ukrainy, a wręcz jej ambasadorem w UE. To podejście, w punkcie wyjścia niby zgodne z *Realpolitik*, nie przekłada się jednak na żadne konkretne działania. Jest gorzej: Polska nie tylko niewiele robi dla potencjalnych partnerów, ale systematycznie ich zniechęca. Obudowujemy się na szanę wyższości, chcielibyśmy, by nasi sąsiedzi i potencjalni partnerzy sami dostrzegli, że jesteśmy dla nich wybawieniem. I nie bierzemy przy tym pod uwagę, że oni mogą tej optyki nie podzielać.

Co ciekawe, widać to też w mediach. Zwróćmy uwagę, jak nieproporcjonalnie mało poświęca się w polskich mediach uwagi temu, co dzieje się w krajach za inną granicą niż ta na Odrze. Najlepszym przykładem sytuacja na Ukrainie: kilka lat temu wybuchła wojna w Europie, na terytorium naszego sąsiada. Jednak ostatnio prawie wszystkie mainstreamowe media właściwie zrezygnowały z jej relacjonowania. Gdyby nie nieliczni reporterzy i źródła zagraniczne, nie mielibyśmy skąd się dowiedzieć, co tam się dzieje. To jest właśnie okopanie się w szanę wyższości: nie mamy jak budować *Realpolitik* wobec Ukrainy, bo nie uważamy, że społeczeństwu należy się wiedza na jej temat.

Pragmatycy zostali na dole

Ten sam schemat, tyle że z odwrotnym wektorem, działa w relacji z partnerami silniejszymi, zwłaszcza z USA. Niektórzy z nas w ogóle nie rozumieją, jak silnym graczem są Stany i jak nieznacząca jest z amerykańskiego punktu widzenia Polska. Tych szczególnie łatwo jest kupić kilkoma przeczytanymi z kartki słoganami. Wystarczy, że prezydent Trump wygłosi parę ogólnikowych haseł o przyjaźni i docenieniu, a część polskiej sceny

politycznej wpadnie w ekstazę, że oto sojusze z USA jest wieczny i nienaruszalny. Inni rozumieją, że polityka amerykańska skwapliwie korzysta z naszej polskiej miłości do deklaracji i haseł. Niestety, to zrozumienie przekłada się tylko na krytykę postawy poprzedniej, a nie na żaden realny, konkretny zysk.

Sztandarowo smutnym przykładem jest kwestia wiz. Od zarania III RP ich zniesienie było punktem ambicji wszystkich rządów... i nigdy się to nie udało. Temat spadł z czołówki zainteresowania tylko dlatego, że po wejściu do UE i otwarciu brytyjskiego rynku pracy emigracja zarobkowa za ocean przestała być tak istotna jak wcześniej. A wizy jak były, tak są.

I tak jest ze wszystkim. Wojna Rosji z Ukrainą narusza porządek geopolityczny... ale nie udaje nam się wykorzystać tego jako pretekstu do podważenia układu Rosja–NATO sprzed ćwierci stulecia, tego, który wykluczał stałe bazy NATO u nas. Ładujemy w nader wątpliwej moralnie wojnie irackiej – nie bardzo wiadomo po co i za co. Dostajemy od Amerykanów ośrodek przesłuchań na Mazurach – i jedynie, co z tego mamy, to niesławne pudło z kilkoma milionami dolarów w gotówce. Nie uszczęśliwi to ani tych, którzy chcieliby polityki opartej na wartościach („tortury są złe”), ani tych, którzy chcieliby *Realpolitik* („jeśli się sprzedaje, to drogo”). Stracić cnotę, a rubla nie zarobić – to jest niestety standard polskiej polityki zagranicznej.

Trudno oczywiście mówić o szybkich receptach na problem tak głęboki. Jeśli bym jednak miał coś podsunąć, to pewnie myśl, że nasza *Realpolitik* nie może być tak resentymalna. Chodziłoby o to, by realizm i kalkulacja faktycznie odpowiadały naszym potrzebom, a nie były tylko rozpaczliwymi próbami wyciągnięcia się z wygodnej otchłani naiwnego idealizmu. Słowem, potrzeba nam prawdziwej trzeźwości w myśleniu, a nie tylko obnoszenia się z nią. Zrozumienie tego może być jednak dla naszych polityków dużo trudniejsze niż samo tylko nauczanie się skuteczności. Na szczęście rozumieją to wszystkie „mrówki” obsługujące oddolne inicjatywy, choćby takie, o jakich wspominałem wcześniej. Tam nic nie płonie na panewkach – tam wre praca. © PIOTR STANKIEWICZ

Autor jest filozofem, pisarzem, opublikował m.in. „Sztukę życia według stoików”, a ostatnio „21 polskich grzechów głównych”. Prowadzi blog myslnikstankiewicza.pl



Jeszcze razem: książę Adam Karol Czartoryski z córką Tamarą i żoną Josette Calil, Wawel, 2012 r.

Gdy państwo śpi

MAREK RABIJ

O tym, że pieniądze Fundacji Czartoryskich trafiły do Liechtensteinu, rząd PiS wiedział co najmniej od jesieni. Milczenie państwa w tej kontrowersyjnej sprawie coraz bardziej przypomina przyzwolenie.

NA POCZĄTEK MAŁE ĆWICZENIE. ZAŁOŻmy, że pewnego dnia renomowana fundacja, zarządzająca na co dzień setkami milionów złotych, przenosi niemal cały majątek do Liechtensteinu i w ten sposób przestaje podlegać polskiemu prawu. Jej władze cichaczem składają następnie w sądzie wniosek o likwidację, a gdy sprawa wychodzi na jaw, próbują uspokoić opinię publiczną, że dotychczasowe cele statutowe w kraju będzie odtąd realizować nowa organizacja, z siedzibą w Liechtensteinie, gdzie prawo bardziej sprzyja tego typu działalności. Zaraz potem jedna z osób zasiadających w organie nadzorującym fundację publicznie zarzuca pozostałym działaniem na jej niekorzyść i fałszowanie podpisów.

Wyobraźmy sobie, że chodzi o Fundację Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy,

a nie o krakowską Fundację Książąt Czartoryskich.

Co kto może?

Wątpliwe, by w takiej sytuacji Ministerstwo Zdrowia, któremu z uwagi na cele statutowe podlega Fundacja WOŚP, zechciało jedynie przyglądać się operacji, zachowując wiarę w dobre intencje Jerzego Owsiaka. Kontrola byłaby wówczas wręcz uzasadniona interesem społecznym. W niemal wszystkich ustrojach prawnych świata, z polskim włącznie, majątek fundacji nie jest przecież własnością ani zarządu fundacji, ani nawet jej fundatora. Jako organizacje pozarządowe fundacje nie muszą, co prawda, prosić administracji centralnej o parafkę pod każdą ze swoich decyzji, ale ogranicza je statut. Władze fundacji mogą naturalnie zmieniać jego brzmienie i wska-

zywać w nim inne cele, całość musi jednak nadal spełniać wymóg społecznej użyteczności, określony w art. 1. ustawy o fundacjach z 1984 r.

Czy przelanie niemal wszystkich pieniędzy z konta polskiej Fundacji Czartoryskich na rachunek jej odpowiedniczki w Liechtensteinie, której statut nie wyklucza już rodziny fundatora z grona potencjalnych beneficjentów, można uznać za realizację celu statutowego polskiej fundacji? To dziś kluczowe pytanie w aferze, nad którą wnikliwie powinni pochylić się rządowi prawnicy. Sprawa jest tym ważniejsza, że córka fundatora, Tamara Czartoryska, broniąc – jak twierdzi – dobrego imienia rodziny, publicznie zarzuca ojcu fałszerstwa i próbę przywłaszczenia pieniędzy ze sprzedaży państwu słynnej rodzinowej kolekcji. Gdyby 441 mln zł pochodzących z tej transakcji pozostało w Polsce, musiałoby być spożytkowane na cele wymienione w statucie Fundacji Czartoryskich, który w najnowszej, uchwalonej już po sprzedaży wersji otwiera zapis o ochronie Muzeum i Biblioteki Czartoryskich. Statut zagranicznej fundacji Czartoryskich Le Jour Viendra już takich celów nie zawiera, wspomina za to o tajemniczych beneficjentach, którzy będą mieć dostęp do jej pieniędzy.

Czy w tej sytuacji minister kultury nadal może uważać się za zwolnionego z odpowiedzialności, którą nakłada nań

→ artykuł 13. ustawy o fundacjach, pozwalający wystąpić do sądu o uchylenie uchwał zarządu fundacji pozostającej w rażącej sprzeczności z jej celem? Pytanie o ewentualne kroki w tej sprawie ministerstwo zbywa zdawkowym komunikatem, że jego nadzór sprowadza się do gromadzenia i weryfikowania sprawozdań fundacji pod względem ich zgodności i zawartości z wymogami prawa.

„Jeżeli macie państwo jakieś wątpliwości co do tego, w jaki sposób te środki przez fundację są spożytkowane, transferowane, rozczłonkowane na jakieś inne fundacje, to są to pytania do tych fundacji” – mówił niedawno wiceminister kultury Jarosław Sellin, dając do zrozumienia, że w tej sprawie rząd nie widzi podstaw do chociażby rutynowej kontroli.

Co kto wiedział?

A przecież o tym, że pieniądze z polskiego rachunku Fundacji Czarotoryskich przełano na rachunek zagraniczny w banku UBS, administracja centralna musiała dowiedzieć się na długo przed upublicznieniem tej informacji przez media. Zgodnie z ustawą o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy oraz finansowaniu terroryzmu z 2000 r. banki muszą zawiadomić Generalnego Inspektora Informacji Finansowej o każdym przelewie na obcy rachunek, jeśli jego wartość przekracza 15 tys. euro. Informacja o takiej operacji musi zostać dostarczona GIIF do 14. dnia następnego miesiąca kalendarzowego po jej przeprowadzeniu. Nawet jeśli zlecający spróbuje wykazać się sprytem i podzieli transferowaną kwotę na kilka czy kilkadziesiąt przelewów na kwotę poniżej ustawowego limitu, bank musi potraktować je jako jedną operację i zgłosić nadzorowi. Jeśli więc – jak twierdzi Tamara Czarotory-

ska – do wyprowadzenia portfela Fundacji Czarotoryskich do Liechtensteinu doszło najpóźniej w marcu 2017 r., oznacza to, że najpóźniej w połowie kwietnia informacja o tym musiała dotrzeć do GIIF.

Co zrobił z nią inspektorat? GIIF odmawia odpowiedzi, zasłaniając się tajemnicą służbową. Z informacji, jakie zdobyliśmy, wynika jednak, że najpóźniej we wrześniu 2017 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wiedziało już, że z kont Fundacji Czarotoryskich zniknęła większa część pieniędzy ze sprzedaży kolekcji Czarotoryskich. – Nie wiem, czy taka była polityczna decyzja na górze, czy po prostu uznano sprawę za nieistotną, ale nie podjęto dalszych kroków, nie zawiadomiono np. prokuratury – zapewnia urzędniczka ministerstwa, prosząc o niepodawanie nazwiska. – Minister Gliński był zniechęcony i zmęczony krytyką, jaka na niego spadła po zakupie kolekcji. Po pierwszych reakcjach opozycji na transakcję komunikat z góry poszedł taki, żeby sprawie dać jak najszybciej ucichnąć, bo tylko będą walić w rząd „Damą z łasiczką” – dodaje urzędniczka.

Być może to również klucz do wyjaśnienia, dlaczego na pytanie „Dziennika Gazety Prawnej”, zadane tuż po zakupie, Ministerstwo Kultury upierało się, że strona rządowa dysponowała jedynie wyceną kolekcji z lat 90., przygotowaną przez Muzeum Narodowe w Krakowie. Z naszych informacji wynika bowiem, że minister Gliński miał jednak podczas negocjacji o wiele świeższe papiery. W 2014 roku Muzeum Czarotoryskich przygotowało inwentaryzację kolekcji znajdującej się w jego zasobach, zakończoną wyceną zbiorów na poziomie ok. 10 mld zł. Właśnie na tę kwotę ustawicznie powołują się zarówno przedstawiciele strony rządowej, jak Fundacji Czarotoryskich.

Dlaczego zatem informacji o nowszej wycenie nie ujawniono? Zapewne dlatego, że inwentaryzację i wycenę przeprowadzono... na zlecenie Fundacji Czarotoryskich, co stawiało Skarb Państwa w lekko niezręcznej wizerunkowo sytuacji kupca, który wycenia kupowany towar wyłącznie na podstawie informacji od sprzedającego. Warto jednak zaznaczyć, że wycenę przygotowali pracownicy instytucji państwowej, a ostatecznej ceny zapłaconej Fundacji nie da się uznać za przeszacowaną – oczywiście przyjmując optykę resortu kultury i tej części polskich muzealników, którzy uważali sam zakup za uzasadniony. W tym przypadku ostrożność urzędników resortu wydaje się więc posunięta do przesady.

Kto naprawdę ma Damę?

Dziwi natomiast brak zdecydowanej reakcji państwa na rewelację Tamary Czarotoryskiej, która sugeruje, że doszło do sfałszowania jej podpisów pod uchwałami rady Fundacji. „Gdy podjęłam ten temat z ojcem, odpowiedział, że żadnych posiedzeń nie ma, i uciął temat. Prawda jest taka, że w latach 2013–2016 te posiedzenia się odbywały. Chciałabym wiedzieć, kto podpisywał uchwały w moim imieniu?” – stwierdziła w jednym ze swych oświadczeń córka fundatora.

Wbrew pozorom sprawa wykracza poza wizerunkowo-obyczajowy aspekt rodzinnej awantury. Gdyby juniorce rodu udało się udowodnić, że jej podpisy pod uchwałami rady Fundacji Czarotoryskich zostały sfałszowane, otworzyłoby to jej furtkę do dalszych żądań, włącznie z unieważnieniem zakupu kolekcji Czarotoryskich przez Skarb Państwa. Niestety, dziedziczka na razie nie wskazuje, które uchwały, jej zdaniem, zawierają sfałszowany podpis. W dokumentach sądowych Fundacji Czarotoryskich w krakowskim Sądzie Okręgowym znajdują się natomiast dwa dokumenty podpisane przez Tamarę Czarotoryską, w których upoważnia ojca do reprezentowania jej podczas posiedzeń rady Fundacji Czarotoryskich 4 października 2013 r. oraz 27 maja 2014 r. – a zatem w okresie, w którym rzekomo nie dała nikomu prawa do dysponowania swoim głosem.

To, że konflikt między córką i ojcem trwale zaszkodzi wizerunkowi zasłużonego polskiego rodu, wydaje się właściwie przesądzone. Szkoda, że ucierpi przy tym również autorytet państwa prawa.

© P MAREK RABIJ

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 4 kwietnia 2018 roku w wieku 88 lat zmarł nasz Kochany Mąż, Tatuś, Teść i Dziadek

ś.†p.

Wincenty Marian Alenowicz

Msza św. żałobna została odprawiona 7 kwietnia 2018 roku w kościele parafialnym pw. św. Brata Alberta w Gdańsku – Przymorzu. Pogrzeb odbył się w tym samym dniu na Cmentarzu Komunalnym w Sopocie.

RODZINA

ANNA

Dziewit-Meller: Konsolacja i cielęcina



A GDYBY PRZYSZŁA DO MNIE JAKAŚ KOMISJA specjalna, celem zapytania, co ja tu robię w tej Polsce, „tym kraju”, na który niemal wyłącznie wyrzekam i okrutnie mędzę, gdyby zapukali dając mi pięć sekund na odpowiedź – czy coś tu w ojczyźnie naszej dla ciebie się liczy, kobieto, tak, że byś może nawet i poszła kiedyś za to powalczyć, to ja miałabym gotową odpowiedź.

Nie biały bałtycki piasek, nie zielone grzywy beskidzkich smreków, nie Bóg i honor, i sztandary, nie pamięć o zrywach, nie to jak „ratowaliśmy Żydów”, nie sernik nawet i nie rosół z domowym makaronem, który babcia robiła w chwilach rzadkich gospodarskich zrywów.

Ja bym poszła się bić za jedno tylko – prać po pyskach wroga, z motyką na słońce, w bój nasz ostatni – ja bym poszła za polski język. Drugiego takiego – wybaczenie, o narody – nie trafisz.

Czyż bowiem nie byłoby warto tłuc się z wrogiem o całe to przyprawiające o zawrót głowy bogactwo? Spójrzmy choćby na słowo „cielęcina” – ile w nim jest pomieszania tkliwości do wielkookiej jałówki z tą miłą mięsożercom obietnicą delikatesu pieszczącego podniebienie? I choć z mięs jadam wyłącznie szpinak, to i mnie cielęcina ogromnie roztkliwia. Albo takie słówko – „rzęsiście” – czy wy też od razu widzicie przed sobą gruby kożuch pokrywający staw w środku lasu, a jednocześnie macie skojarzenia z zalekniętą kolejką pod drzwiami do wenerologa? I znów ta wspańska ambiwalencja, znów te morza językowych możliwości! Polska mowo – bilabym się za ciebie, bo cóż z ciebie za język wspański, który – odpowiadając na zapotrzebowanie części społeczeństwa – umożliwia nam utworzenie słów takich jak architektka? Żywa jesteś i bogata i wielbię cię bałwochwalczo, pieszcząc w ustach dla samej pieszczony przyjemności słowa takie jak „raróg”, „obcyndalać się” czy „melepet”.

Możliwe, że ta niezdrowa fascynacja polską mową wzięła mi się z wielokrotnego przedawkowania Tuwima i Leśmiana

w dzieciństwie. Do tego zestawu dołożono mi rychło Przyborę i Młynarskiego, których babcia z dziadkiem kazali oglądać w czarno-białym telewizorze. No i poszło. Jakaż więc była moja radość, gdy trafiłam w podziemiach placu Zbawiciela do Klubu Komediiowego, gdzie – nie przesadzam za bardzo – reinkarnacje Jeremiego i Wojciecha pracują w pocie czoła, by tworzyć „Fabularny przewodnik po”, czyli – jak piszą sami twórcy – „serial sceniczny (...) któremu poza żartem nieobca jest również nuta liryczna”. Michał Sufin i Błażej Staryszak w odcinku trzecim – „Przewodniku po ostatnich pożegnaniach” – osiągnęli poziom mistrzostwa, który wśród śmiechu szczerzego wyciskał też niejedną łzę wzruszenia, i to nie tylko u co wrażliwszych panów na widok „Atmosfery wierszy Leśmiana” tak wspaniale zagranej przez Weronikę Nockowską. Ludzie – jeśli i Was wzrusza uroda polszczyzny, jeśli kochacie magię przydawek, partykuł i zakletą w deklinacjach poezję – szukajcie konsolacji w Klubie Komediiowym. A skoro o konsolacji mowa – oto na koniec fragment przedstawienia. Niech idzie w świat i brzmi pięknie po polsku.

„Typ na stypie typka pyta: »Nie wiesz pan, czyja to stypa?« / Do typiarki mówi typka: »W pytkę kryptka, czyja stypka?« / Gra muzyczka klimatyczna, chryzantemki tkwią w imbryczkach. / Nie zna nikt nikogo, kto go znałby lub choć znał tu kogoś. / Nawet ksiądz nie bardzo czuje, kto usługę reguluje. / Od sasa do lasa lata, który to denata tata. / Ani śladu dzieci, żony. Czy jest tu ktoś spokrewniony. / Typ z typiarką tak typuje: kto jest ciotką a kto wujem. / Potem ktoś zapyta typka: »Pan zna trupa?« – »Nie znam typka«. / I tak stoją, rozmawiają, zapominają zaczynają, / Że to stypa, konsolacja. »Zjedz koreczki, rewelacja!« / Typiarz z typką dyskutuje: »Wie pan, ja hoduję tuje«. / Ona wzdycha, on jest grzeczny. »Jaki nawóz jest skuteczny?« / Ona zawsze sadi w lesie, on trzeciego drinka niesie. / Zawsze chętnie mu pokaże, on zaprosi. »Może drażę?« / Typ z typiarką papierosek, typiarz typkę smyra w nos. / »Czy trup nie pochodził z Gniezna?«. »Tutaj – wie pan – nikt go nie znał«. / Trochę nudzi ich już temat, że naprzykrza się ten denat. / Czy to stypa czy nie stypa, nudny w końcu los umrzyka. / Lepiej by potańczyć może, tańczyć trzeba na dancefloorze. / Trumna na bok wnet wybywa. »Często pani tutaj bywa?« / »Słabe miejsce, siada klima«. »Prawie już nikogo ni ma«. / »Trochę stypa...«. »Tak bez ściemy. Może gdzieś się przebijemy?« / Trup zostaje, sala pusta, muzyczka nie trafia w gusta. / Typce typ koreczki niesie. Będą jedli w PKS-ie. / Nie ma widza, nie ma widzki, ksiądz zamyka kryptki drzwiczki. / I tak kończy się już stypka. Trupa nie znał typ ni typka«. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

BRUKSELA – środa, 23 maja, godz. 18.00

Spotkanie „Kościoł w Belgii – kryzys, odrodzenie czy inercja?”. Miejsce: Lodzkie House (Sq. Marie-Louise 2).

GDAŃSK – wtorek, 15 maja, godz. 19.30

Spotkanie „Aktor w okowach duchowości”. Gościem będzie: prof. Jerzy Stuhr.

Prowadzenie: Beata Szewczyk. Miejsce: Dom Hospicyjny (ul. Kopernika 6)

POZNAŃ – 16 maja, godz. 19.30

Spotkanie „Tischner czyta katechizm”. Gościem będzie Wojciech Bonowicz. Miejsce: Restauracja Pod Niebieniem (Stary Rynek 64/65).

WARSZAWA – czwartek, 10 maja, godz. 19.00

Spotkanie „Jan Kaczowski. Życie pod prąd”. Gościem będzie Przemysław

Wilczyński, autor pierwszej biografii ks. Jana Kaczowskiego. Prowadzenie Katarzyna Jabłońska. Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24, II piętro).

ZIELONA GÓRA – sobota, 12 maja, godz. 15.00

Msza w intencji klubu i klubowiczów. Miejsce: kościół pw. św. Franciszka z Asyżu (ul. Kilińskiego 5). Po mszy odbędzie się debata klubowa. Szczegółowe informacje w ogłoszeniu na s. 87.



MNIEJ MÓJ, BARDZIEJ BOGA

WERONIKA I BARTOSZ, RODZICE:

Żeby opowiedzieć dziecku o Bogu, musieliśmy zweryfikować, czy sami wierzymy. Przygotowanie syna do pierwszej komunii przyniosło nam większą jedność w rodzinie. Jedność – czyli komunie.

ILUSTRACJE MAGDA WOLNA



MACIEJ MÜLLER: Dlaczego zdecydowaliście się na samodzielne przygotowanie Tomka do komunii?

WERONIKA: Kilka lat temu usłyszałam o takiej możliwości od przyjaciółki ze wspólnoty. Wydało mi się to zrazu fanaberią – niemniej wyczuliłam się na takie historie. Na ogół powtarzał się w nich wątek rodzinnego, wspólnego przeżywania przygotowań i samej komunii. A dotyczyło to rodzin, które wiarę i relację z Bogiem przeżywają jako coś codziennego, a nie okazjonalnego.

Rok temu zdecydowała się na to moja siostra. Mieli wyjechać do Szwajcarii akurat na ten rok, kiedy przypadała pierwsza komunია ich synka Adama. Znajomy dominikanin poradził: poślijcie go wcześniej, na co czekać? Zobaczyliśmy wtedy, jak to wygląda od kuchni. Że to wydarzenie staje się proste, a jednocześnie głębokie; normalne i wyjątkowe. Pomyślałam, że też bym tak chciała.

Pytaliście syna o zdanie?

BARTOSZ: Po komunii Adama rozmawialiśmy z Tomkiem o tym, co się tam wydarzyło. Spytałśmy: „Chciałbyś przyjąć Pana Jezusa?”. „Tak, chciałbym”. Wtedy akurat trwały zawirowania w związku z reformą szkolnictwa: część dzieci powtarzała klasę, wymieszały się roczniki, w rezultacie klasa Tomka miała przystępować do komunii rok później, niż sądziliśmy. Nie podobało nam się to, bo na co tu czekać, skoro dziecko jest gotowe?

Skąd wiedzieliście, że jest gotowe?

W: Tomek od dawna interesował się wiarą, uwielbiał książki i komiksy o życiu świętych, przynosił je do wieczornego czytania. Pomyślałam poza tym, że warto, by dziecko przyjęło Chrystusa do serca, dopóki jest prostolinijne, niewinne, bezpośrednie, zanim wykształci się w nim wyrachowanie. Niech wejdzie w świat już z łaską, będzie mu łatwiej.

Jak to wyglądało formalnie?

W: Nie studiowaliśmy przepisów; postanowiliśmy, że Bartek pójdzie porozmawiać z proboszczem i wtedy ocenimy, czy nas to przerasta.

B: Początkowo był trochę na „nie”, ale chyba głównie dlatego, iż obawiał się, że za nami przyjdą tabuny rodziców pragnących indywidualnie przygotowywać dzieci. Więc ostatecznie powiedział: róbcie swoje, tylko nie trąćcie o tym za wiele.

I poprosił, żeby Tomek przystąpił do komunii w parafii, a nie u dominikanów – o czym początkowo myśleliśmy.

Nie pytał, czy czujecie się na siłach, czy starczy Wam wiedzy?

W: Nie, zaufałam nam. Znał nas zresztą dobrze, bo od czterech lat, kiedy sprowadziliśmy się tu, angażowaliśmy się w życie parafii, ja np. prowadzę scholę. To jest nasza wspólnota, identyfikujemy się z nią, jesteśmy na każdej mszy niedzielnej.

B: Proboszcz powiedział, że jego zdaniem już część sześciolatków jest gotowa na komunię, a część dwunastolatków nie. A wynika to z tego, w jakich rodzinach się wychowują. Jeśli dziecko chodzi z rodzicami do kościoła poświęcić pokarmy w Wielką Sobotę i jeszcze na Boże Narodzenie zobaczyć szopkę – to nie ma się co dziwić, że księżom trudno je przygotować do komunii nawet podczas dwuletniego kursu. Próbuja przynajmniej uśrednić poziom. Ale dzieci, które przeczytały z rodzicami Biblię, nudzą się, kiedy grupa uczy się robić znak krzyża.

Dostaliście jakieś wskazówki?

B: Nie. Powiedziałem, że mamy książki biskupa Długosza. O nic więcej proboszcz nie pytał. Musieliśmy tylko uzupełnić zwykły formularz i dostarczyć akt chrztu.

Dziecku przygotowywanemu w tradycyjny sposób jest trudniej?

B: Z pierwszej komunii zrobił się produkt na wzór Bożego Narodzenia. Musztra w kościele i wielka feta w restauracji może wypaczyć dziecku sens tego, co właściwie się stało.

W: Dochodzi w pewnym sensie do bałwochwalstwa, bo w centrum uwagi znajduje się nie Chrystus, tylko samo dziecko. Jego spotkanie z Chrystusem zostaje odarte z intymności. Łaska obecności Chrystusa oczywiście działa w tym dziecku, a Duch Święty może przecież objawić się w czyichś życzeniach, w którymś z prezentów...

Niemniej wysiłek finansowy i organizacyjny jest ogromny – a w rezultacie gubi się istotę rzeczy. Dlatego zadaliśmy sobie pytanie: ok, zależy nam na świętowaniu, ale czego? Spotkania Tomka z Panem Jezusem. I temu podporządkowaliśmy inne pytania: ile osób zaprosimy, gdzie urządzimy obiad.

I czy będzie catering.



→ **W:** Nie było. Uznaliśmy, że gdy ktoś obcy będzie podawał jedzenie, nie wpłynie to dobrze na relacje przy stole.

Okazało się, że prosty obiad i najbliższa rodzina, która cieszy się razem z dzieckiem, wystarczą do tego, żeby uroczystość była wspaniała. Kiedy ogarniały mnie wątpliwości, zawsze w rozmowie z Bartkiem okazywało się, że nie dotyczą istoty sakramentu. Były raczej pokusami: jak się pokazać, jak udowodnić, że jesteśmy świetnie zorganizowani.

Chyba nauczyliśmy się wszyscy myśleć, że komunია jest wpasowana w jakiś system.

B: Miało to sens, kiedy szkół było właściwie tyle, co parafii, a do komunii szły całe klasy. Teraz przygotowania organizuje parafia i dziecko może trafić np. do grupy, w której nikogo nie zna. Chrzest jest indywidualny, małżeństwo też. Czy komunია musi być zbiorowa?

W: Byliśmy niedawno na komunii mojego chrześniaka. Dzieci były świetnie wyszkolone i ubrane, każde wiedziało, jak się ustawić, kiedy wejść, wyjść, jak prawidłowo złożyć ręce, w którym momencie wręczyć kwiaty i powiedzieć wierszyk. Chyba trudno im się było skoncentrować na czymś innym niż forma.

Czyli chcieliście głównie ocalić dziecko przed masówką i przerostem formy?

W: Nie tylko. Chodziło o wspólne przeżycie okresu przygotowania do sakramentu. Nie chciałam, żeby Tomek kojarzył komunię ze zdawaniem egzaminu z małego katechizmu. Pamiętam, jak sama się tego wszystkiego uczyłam – bez zrozumienia, byle wszystkie wyrazy spamiętać. W najmniejszym stopniu nie zbliżało mnie to do tajemnicy komunii.

Proboszcz zadał Wam jakiś ramowy program do przerobienia?

B: Nie. Przekazał naszą sprawę wikarremu, a ten tylko poprosił, żeby Tomek przyszedł do niego porozmawiać na kilka dni przed komunią.

Czyli jednak był egzamin?

B: Niezupełnie. Byłem przy tym. Ksiądz zapytał Tomka: „Co przyjmiesz podczas mszy?”. Tomek nie pamiętał nazwy „hostia”, więc powiedział „opłatek”. „A co to za opłatek?”. „Pan Jezus”. I tyle. Żadnych regułek ani prawd wiary.

Sami sporo dowiedzieliśmy się o spowiedzi:

że w jej centrum jest miłosierdzie i że Pan Bóg
nie jest księgowym naszych czynów.

Jak długo trwało to Wasze przygotowanie?

B: O komunii zaczęliśmy rozmawiać z Tomkiem rok temu, ale takie intensywne, codzienne przygotowanie zostawiliśmy na Wielki Post. Tak, żeby w poniedziałek Wielkanocny Tomek przystąpił do komunii.

Skąd taki wybór?

B: Głównie stąd, że wtedy każdy z naszych bliskich mógł przyjechać. Poza tym poczuliśmy, że Wielkanoc to dobry czas na przyjęcie pierwszej komunii.

I co, każdego wieczora siadaliście i rozmawialiście przez godzinę o wierze?

W: Zaczęliśmy zwracać uwagę na wspólną modlitwę przy jedzeniu czy przed spaniem.

Wcześniej różnie z tym bywało. Do spowiedzi przygotowywaliśmy się, robiąc wspólnie rachunek sumienia: bardziej chcieliśmy dać przykład, niż tłumaczyć. Każdy mówił, co tego dnia wydarzyło się dla niego ważnego, co trudnego, za co chciałby podziękować, a za co przeprosić Boga i najbliższych. Przepraszałam Bartka czy dzieci, że na nich krzyczałam, że nie miałam dla nich uwagi i czasu.

B: A dzieci to podejmowały. Chłopcy przepraszały, że się bili, że nie słuchali. Potrafili znakomicie zidentyfikować coś, co było niewłaściwe, oddzielić dobro od zła.

W: Potem mobilizowaliśmy się wszyscy, żeby położyć spać młodsze rodzeństwo i wygospodarować czas dla Tomka. Czytaliśmy np. przypowieści o miłosiernym ojcu, o dobrym pasterzu. Chcieliśmy mu pokazać poprzez Biblię, kim jest Chrystus, którego on niedługo przyjmie. Że On go szuka i przygarnie tak samo jak ten pasterz owieczkę.

Czytaliście Pismo Święte?

W: Korzystaliśmy z opracowania biskupa Długosza, z jego komentarzy na

pisanych przystępnym, a jednocześnie nieinfantylnym językiem. Bardzo pomagały w rozmowie. Czytaliśmy też serię „Wierni Przyjaciele” i „Kredkami do Nieba”. Tomek czekał na te wieczorne rozmowy; jak tylko najmłodsza siostra zasypiała, brał książkę i biegł do nas, pokazywał: „Mamo, tutaj wczoraj skończyliśmy”. Zasypiał z uśmiechem. Mówił: „Nie mogę się doczekać tej komunii. Ciekawe, jak będzie smakował ten opłatek”.

Dopytywał o coś?

W: Tak, np. czemu w komunii pije się wino, a nie wodę. Nie wiedziałam, co powiedzieć, przypomniał mi się tylko biblijny obraz winnego krzewu i tego, że wino pochodzi z pracy rąk ludzkich, którą Pan Bóg uświęca. No i pytał, czy ja też bałam się spowiedzi.

Wyobrażał sobie spowiedź jako barierę, która go odgradza od komunii?

B: To był lęk przed nieznanym. Przed opowiedzeniem w konfesjonale o tym, co nie wyszło. Czasem, kiedy rano jechaliśmy do szkoły, mówił w samochodzie: „Tato, boję się”. „Czego się boisz?”. „Że będę musiał wyznać swoje grzechy”.

A Ty co na to?

B: Powiedziałem: „Pan Bóg cię zna i wie wszystko, o czym chcesz mu powiedzieć. To wyznanie nie jest potrzebne Jemu, tylko tobie, żebyś oczyścił swoje serce. To, że będziesz szczerzy, zmieni ciebie. Pan Bóg jest miłosierny, a ksiądz też jest grzeszny, więc nie będzie cię o nic wypytawał, rozliczał”. Najbardziej go zdumiało, że ksiądz też chodzi do spowiedzi. I że nawet papież chodzi. Z tą myślą było mu łatwiej.

Uczyliście go formuły?

B: W wersji najkrótszej z możliwych, z książki „Moja pierwsza spowiedź”. Tłumaczyliśmy, że to pomaga uporządkować rzeczy, które trzeba powiedzieć.

Jak wybrnęliście z VI i IX przykazania?

W: W książce biskupa Długosza jest rachunek sumienia złożony z 18 prostych pytań adekwatnych do wieku dziecka. Np. „Czy rozmawiasz z Panem Jezusem w codziennej modlitwie? Czy potrafisz się dzielić z tymi, którzy mają mniej niż ty?”. W tej książce jest wszystko, właściwie nic ponadto nie musieliśmy tłumaczyć.

czyć. Mam raczej wrażenie, że sami sporo dowiedzieliśmy się o spowiedzi: że w jej centrum jest miłosierdzie i że Pan Bóg nie jest księgowym naszych czynów. Biskup proponuje przed spowiedzią wspólną modlitwę, tak też zrobiliśmy: zapaliliśmy świecę, przeczytaliśmy przypowieść o dobrym pasterzu, pobłogosławiliśmy Tomka – i poszedł. Pamiętam z domu, że też się całowało rodziców i przepraszało, ale nie było w tym aż takiej bliskości. A nam zależało, żeby spowiedź i komunika nie były wydarzeniem dziwnym, nagłym, osobnym, ale czymś włączonym w rodzinną codzienność.

Czy coś świadomie pomijaliście w przygotowaniach?

W: Pilnowaliśmy się, żeby nie odpowiadać na pytania, których dzieci nie zadają, oprzeć się pokusie ustawiania im myślenia. Niczego nie ukrywaliśmy, ale też nie chcieliśmy wyprzedzać wrażliwości dziecka. Było jasne, że musimy się przede wszystkim zastanowić nad Eucharystią i nad tym, kim jest Jezus. A on nie chce nas szokować, jest dyskretny, dlatego przychodzi w postaci chleba.

B: Tomek pytał, jak to jest, że opłatek zamienia się w ciało. Przyznałem: „Sam tego nie rozumiem, ale módl się do Pana Jezusa, a On ci to objawi na tyle, na ile będziesz w stanie to przyjąć”.

Rozmawialiście o ukrzyżowaniu?

W: Czytaliśmy o męce i śmierci Pana Jezusa. Tomek po prostu to przyjmował, nie miał z tym problemu. To raczej młodszy Wojtek dociekał: „A bolało Go, jak Mu wbijali gwoździe?”.

Jak tłumaczyliście, dlaczego ludzie zabili Jezusa?

B: Bo nie uwierzyli w Jego miłość. Wbrew faktom: uzdrowieniom i innym cudom.

W: Bo człowiek jest wolny i może wybrać zło, nawet do tego stopnia, żeby zabić Zbawiciela. Ale Pan Jezus na to pozwolił, bo wiedział, że w ten sposób odkupi człowieka.

Sięgaliście po mały katechizm?

W: Raz to zrobiłam, żeby zobaczyć, o co ksiądz mógłby ewentualnie Tomka spytać. I się przeraziłam: ile tego jest, sama większość zapomniałam. Tomek na katechezie zdawał 10 przykazań, apel jasno-górski, siedem grzechów głównych itd. –



Tomek powiedział:
„Tato, boję się, że będę musiał wyznać grzechy”.

Odpowiedziałem:
 „Pan Bóg cię zna, to wyznanie nie jest potrzebne Jemu, tylko tobie, żebyś oczyścił swoje serce. To, że będziesz szczery, zmieni ciebie.”

ale kojarzy to na szczęście ze szkołą, a nie z komunią świętą.

Więcej było w tych przygotowaniach przekazywania wiedzy czy raczej świadectwa?

W: Żeby opowiedzieć dziecku cokolwiek o Bogu, musiałam zweryfikować, czy sama wierzę i jak wierzę. Mniej chodzi przecież o to, żeby wiedzieć, rozumieć, bardziej żeby żyć wiarą. Mam wrażenie, iż to doświadczenie przyniosło nam większą jedność w rodzinie. Jedność, czyli komunię.

B: Ja też pytałem sam siebie: „Do czego podchodzę rutynowo, mechanicznie?”. Podczas przygotowywania Tomka sam zacząłem lepiej przeżywać to, co się dzieje podczas mszy, wsłuchiwać się w modlitwy eucharystyczne. Cieszę się, że komunika Tomka zbiegła się z Wielkanocą. Oktawa Wielkanocna była dla nas białym tygodniem. A wtedy są czytania o Apostołach, którzy napełnieni Duchem wychodzą z wieczerzika i zaczynają z odwagą głosić Chrystusa.

Pilnowaliście, żeby podczas komunii Tomek prawidłowo złożył ręce?

B: Powiedziałem tylko, żeby przyjął Pana Jezusa z godnością i czułością. Postawa jest drugorzędna.

W: Nie ustalaliśmy tego wcześniej, ale w chwili, kiedy dołączaliśmy do procesji,

złapaliśmy się za ręce. Było to trochę niekonwencjonalne, ale zgodne z tym, w jaki sposób przeżywalismy przygotowanie do sakramentu. Poczułam jednak wtedy, że Tomek wszedł w relację z Chrystusem, do której my już nie mamy dostępu. On będzie za nią odpowiedzialny już osobiście.

B: Pomyślałem coś podobnego, kiedy odprowadzałem go do spowiedzi: że Tomek jest teraz o level wyżej, sam bada swoje sumienie. Mogę mu towarzyszyć, ale on staje się trochę mniej mój, bardziej Boga.

Prezentów nie było?

W: Tomek o tym nie myślał, spytał tylko, czy przyjedzie jego kuzyn i ciocia. Ale nie chcieliśmy popadać w drugą skrajność. Przecież to naturalne, że przy ważnych okazjach dostaje się prezenty. Na szczęście w naszych rodzinach jest oczywiste, że prezenty są związane z wydarzeniem, więc nie musieliśmy nikomu wybijać z głowy kupna tabletu. O tym, że dostał też pieniądze, powiedzieliśmy Tomkowi dopiero dwa tygodnie po uroczystości. Cieszę się, że nie musiał się na tym koncentrować w dzień komunii.

Może to być dla niego trudne, gdy jego koledzy z klasy dostaną smartfony i quady.

W: Nawet jeśli, to Tomek będzie chyba od tego wolny. Wspominał ostatnio, że w klasie opowiada się tylko o prezentach. Ale jestem spokojna, bo on ma już swoje doświadczenie komunii, własne skojarzenia związane z tym dniem.

Kolejne dzieci też będziecie przygotowywać indywidualnie?

W: To było dla mnie samej takie doświadczenie, że bardzo bym chciała je powtórzyć. Może już nie samodzielnie: dobrane by było zebrać się w kilka rodzin.

A czego byście oczekiwali od Kościoła?

W: Cieszyłabym się, gdyby w większym stopniu towarzyszył nam ksiądz. Bo to jednak ogromne wyzwanie dla rodziny. Zaraz po mszy jeden z kapłanów podszedł, przytulił Tomka i mu pogratulował. Nie chodzi o nie wiadomo co, ale o takie proste ludzkie gesty: widzę, że jesteście.

© © Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

■ Redakcja ze względu na zachowanie prywatności dziecka zdecydowała się na zmianę personaliów rozmówców.

Jezus w prezencie

MARIUSZ SEPIÓŁO

W 2013 r. abp Andrzej Dzięga przypominał o możliwości przystąpienia dzieci do komunii indywidualnej. Po pięciu latach decyduje się na to wciąż niewielu rodziców. Dlaczego?

JAK NA KOŃCÓWKĘ KWIETNIA, W SKLEPIE z albam pusto.

– Teraz dominuje skromność – mówi matka Oli, która chowa się za wieszakami i chichocze. – Alba to alba, kombinować można tylko przy dodatkach.

Pytam, czy podoba się jej jednolitość strojów. Ola do pierwszej komunii pójdzie w stroju podobnym do swoich koleżanek, ale też tak samo przygotowana, nauczona tych samych piosenek, kroków i gestów.

– Bardzo! – brzmi odpowiedź. – Pierwsza komunie to nie czas na strojenie się. Pamiętam, jak sama szłam do komunii, ile było wybierania, przymierzania, chodzenia po straganach.

– A wie pani, że w Szczecinie dziecko do komunii można przygotować samemu?

Mama Oli jest zdziwiona, wyjmując smartfon i sprawdza. – Rzeczywiście – mówi zamyślona. – Ale ja bym się chyba nie podjęła.

Domniemanie rozumu

Tych, którzy się podjęli, nie jest dużo. Kościół nie prowadzi statystyk, ale z rozmów z proboszczami, katechetami i rodzicami wynika, że przypadki komunii indywidualnych, zwanych również rodzinnymi, oraz komunii wczesnych, dla dzieci poniżej 9. roku życia, są bardzo rzadkie. W jednej ze szczecińskich parafii w ciągu roku do takiej komunii przystępuje zwykle nie więcej niż dwoje dzieci.

W 2013 r. biskup archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej Andrzej Dzięga wydał dokument pt. „Normy porządkujące zasady przygotowania i przeżywania Pierwszej Spowiedzi Świętej i Pierwszej Komunii Świętej”. Zaznaczył w nim, że tzw. do-

mnienie używania rozumu, dopuszczające kandydata do sakramentu, dotyczy już siedmiolatka.

Abp Dzięga ogłosił też, że wybór formy komunii – indywidualnej lub grupowej – należy do rodziców: „Indywidualna (rodzinna) Pierwsza Komunia Święta jest przeżywana przez rodzinę uroczysto, zawsze w czasie Mszy Świętej niedzielnej lub w zwykły dzień, w terminie uzgodnionym z proboszczem, jednak poza Triduum Paschalnym. Wskazane byłoby, aby ta Msza Święta była odprawiona w intencji tej rodziny” – pisał.

Jego pomysł zdobył rozgłos i uznanie. Ale dziś komunie rodzinne to wciąż wyjątki, zarówno w samym Szczecinie, jak i w innych miastach. Dlaczego? Pewien dominikanin, zaangażowany w przygotowanie dzieci do komunii św., przyznaje: – Większość ludzi nadal woli, żeby wszystko załatwili ksiądz z katechetką.

Z większą śmiałością

O przyczyny pytam w kurii.

„Ksiądz Arcybiskup zna specyfikę duszpasterską archidiecezji, a w szczególności liczne sytuacje pracy jednego z rodziców poza granicami Polski oraz pracy na morzu podczas odległych i długotrwałych rejsów. Wynika z tego często brak możliwości obecności obojga rodziców w wyznaczonym przez wspólnotę parafialną terminie pierwszej komunii św.” – tłumania

czy w mailu ks. Sławomir Zyga, kanclerz kurii. I dodaje: „Dlatego odtworzył możliwość indywidualnego uroczystego pierwszego przystąpienia do tego sakramentu. Wydanie odpowiedniego dekretu unormowało liczne indywidualne praktyki duszpasterskie stosowane już wcześniej przez kapłanów”.

W dokumencie nie ma „jakiejs specyficznej nowości”. „Wybór poszczególnej formy I komunii świętej zawsze jest pozostawiony rodzicom” – wyjaśnia kanclerz kurii.

Pytam o skalę. „Nie prowadzimy tego rodzaju statystyk, ponieważ Łaski Bożej płynącej z komunii św. nie da się przeliczyć ani oszacować, czy lepiej działa ona w przygotowaniu grupowym czy też rodzinnym, czy przyjęta w tym czy innym wieku. Król Dawid raz zadawał się w statystyce i najlepiej to się nie skończyło – komentuje ks. Sławomir Zyga. – Z rozmów i spotkań tak z kapłanami, jak i z rodzicami można wywnioskować, że po uporządkowaniu zasad (...) tak księży, jak i rodzice (...) z większym przekonaniem i śmiałością korzystają z tych możliwości”.

Bez stresu

– Jesteśmy małżeństwem od 17 lat i staramy się żyć w relacji z Panem Bogiem – mówi Kinga Paszkiewicz ze Szczecina, żona Rafała, mama Karoliny i Martyny. – Jesteśmy członkami jednej ze wspól-



not. Nasze dzieci są wyczekane, kochane i wzrastają w atmosferze wiary.

W przypadku starszej córki kwestia komunii indywidualnej pojawiła się bardzo naturalnie.

– Mając pięć i pół roku zaczęła nas pytać np. o duszę, niebo i piekło – opowiada Kinga. – Zdaliśmy sobie sprawę, że nie jesteśmy przygotowani do odpowiedzi. Nie wiedzieliśmy, jak opowiadać o tym jej językiem. W tamtym czasie abp Dzięga zachęcał, by przygotowywać dzieci do wcześniejszej komunii. Dotarło do nas, że tak pogłębimy wiarę.

Ksiądz skierował Paszkiewiczów do siostr zakonnych, które mogłyby podjąć się zadania. Siostra przełożona do tego wyznaczyła jedną z podwładnych.

– Uzgodniliśmy, że datę uroczystości ustalimy wtedy, kiedy będziemy wiedzieli, że to jest najlepszy moment. Duch Święty nami pokierował – mówi Kinga Paszkiewicz. – Nasza sześciolatnia córka przystąpiła do spowiedzi z przekonaniem, że doświadczy, jak sama powiedziała, „przebaczenia Pana Boga”. Odbyło się to bez stresu, w formie rozmowy, z bardzo życzliwym kapłanem.

Rodzice postanowili też inaczej podejść do kwestii nieduchowych. – Zdecydowaliśmy, że dla naszych dzieci, bo do indywidualnej komunii przystąpiła też młodsza córka, jedynym prezentem będzie Jezus – mówi Kinga Paszkiewicz. – Rodzina, z większym lub mniejszym trudem, i uszanowała naszą decyzję.

Same uroczystości odbyły się w obecności najbliższej rodziny w małej kaplicy za przyjaźnionych siostr, za zgodą obu księży proboszczów. Co dały rodzinie?

– Uroczystości i przygotowania do nich były dla całej rodziny czasem wsłuchiwania się w głos Ducha Świętego – odpowiada Kinga. – Dużo modliliśmy się za nasze córki. Było to też ważne doświadczenie dla babć i dziadka dziewczynek. Mogli patrzeć, jak ich wnuczki rozwijają się w relacji z Bogiem.

Kinga Paszkiewicz nie twierdzi, że dzieci idące do komunii grupowej przeżywają ją gorzej. – Córki chodzą do szkoły katolickiej i widzę tam dzieci, które bardzo przeżywają moment przyjęcia Jezusa. I na pewno też jest to dla nich bardzo ważny moment – mówi Kinga. – Wierzę, że Bóg też czyni w sercach tych dzieci swoje Dzieło.

I jeszcze jedno: córki Kingi Paszkiewicz poszły do komunii w białych, prostych su-

kienkach i wianuszkach z białych kwiatów na głowie. Alby już nigdy by się nie przydały, sukienki przeciwnie – uśmiecha się Kinga.

Sto argumentów

Komunia indywidualna opiera się na decyzji: to rodzice wybierają, czy dziecko powinno do niej przystąpić. A w porozumieniu z księdzem decydują, kiedy i w jakiej formie to nastąpi. Wreszcie: wybór odnosi się do kwestii technicznych i materialnych. W jakim stroju dziecko przystąpi do sakramentu? Co stanie się po jego udzieleniu? Komunia grupowa zmusza do kompromisów i ustępstw. Rodzinna daje większe pole manewru.

Siostra zakonna ze Szczecina wspomina pewną rodzinę. – Przyszli do proboszcza w wakacje – opowiada. – Mieli przygotowanych sto argumentów, bo myśleli, że się nie zgodzi. Ale powiedział: „Jak najbardziej!”. Do sakramentu trzeba jednak się przygotować, więc skierował rodziców do mnie. W następnym roku były dwie chętne rodziny. Żeby wcześnie komunია miała sens, musi być zaangażowanie ze strony rodziny, ale też zrozumienie wartości chrześcijańskich.

Proboszcz parafii w dużym mieście tłumaczy, że najważniejszy jest przykład ze strony rodziców. – Nie musi to być nawet jakieś przesadne zaangażowanie – mówi. – Wystarczy, że dziecko widzi, jak rodzice co niedzielę chodzą do kościoła, przyjmują ciało Chrystusa i już w dziecku rodzi się potrzeba Eucharystii. Takie dziecko można rozpoznać od razu: nie traktuje kościoła jako miejsca do zabawy, ale dobrze odnajduje się w przestrzeni sakralnej.

Dlaczego rodzin decydujących się na komunię indywidualną jest niewiele? – Wystarczy przyjść w niedzielę do kościoła i zobaczyć, że naprawdę oddanych rodzin jest mało. Wielu katolików nie praktykuje, pierwsza komunია jest jedną z nielicznych okazji, żeby pojawić się w kościele – mówi ksiądz. – Przeżywam ten dramat co roku. Robię wszystko, żeby ci, którzy posłali dzieci do komunii, tej grupowej, zostali przy kościele. Są spotkania, warsztaty, wyjazdy, żeby tych ludzi zatrzymać, skoro sami przyszli. Obiecują: „tak, tak, będziemy chodzić”. Spotykamy się w maju, a potem kilka lat później przy bierzmowaniu dziecka. Decyduje więc kontekst rodzinny. Trudno o zaangażowanie w rodzinie wysyłającej do komunii dziecko, które w kościele dotąd ani razu nie było.

Szansa na spotkanie

Anna i Marek Chmielewscy są kolejnym wyjątkiem. Ona jest pedagogiem i terapeutką, on inżynierem. Do komunii indywidualnej przygotowywali najmłodszego (spośród czworga rodzeństwa) syna Tomka. Mówią, że w ich przypadku było to naturalne.

– Nasze dzieci widzą, że dla nas modlitwa to nie przymus, ale potrzeba – mówi Anna. A jej mąż dodaje: – To nie tylko przygotowanie do komunii, ale całe życie, duchowy rozwój od najmłodszych lat. Nasze dzieci potrafią przypomnieć: mamo, tato, dzisiaj jeszcze nie było modlitwy. Dla nich błogosławieństwo – krzyżyk na czole przed wyjściem do szkoły – jest ważne.

Najmłodszy syn, Tomek, został ministrantem jeszcze przed pierwszą komunią. Nie mógł się doczekać sakramentu.

Starsze dzieci przystąpiły do komunii grupowych. – Kilka lat temu usłyszeliśmy o dekreście abp Dzięgi i pojawiła się myśl o komunii indywidualnej – mówi Anna. – Na początku Tomek, żeby nie czuł się zwolniony z obowiązku, jaki mają inne dzieci, przez kilka miesięcy chodził na spotkania grupowe. Po kilku miesiącach przygotowani poszliśmy do proboszcza. Zapytaliśmy o komunię indywidualną, dostaliśmy zgodę.

Jaki był wkład rodziców w przygotowanie syna? Rozmowy, słuchanie i odpowiadanie na pytania. Czytanie Pisma Świętego, modlitwa, stopniowe przygotowanie do pierwszej spowiedzi św. oraz dyskusowanie o tym, co usłyszał na katechezie. – Ale też po prostu codzienne życie, obowiązki, wspólne spędzanie czasu – mówią Chmielewscy.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Była niedzielną sumą na początku czerwca. Siedzieli razem w jednej ławce. Do komunii też przystąpili razem, ksiądz udzielił Tomkowi sakramentu pod dwiema postaciami. – To było głębokie przeżycie – mówi Anna. – Mieliśmy porównanie do tradycyjnych komunii. Tam dzieci siedziały osobno, trudno było je nawet zobaczyć podczas przyjmowania komunii.

Mówią o tym dniu: „duchowa uczta”. – Mamy nadzieję, że więcej rodziców się na to zdecyduje – opowiadają Anna i Marek. – Czas przygotowania dzieci do sakramentów to ogromna szansa, aby zachęcić rodziny do głębszego uczestnictwa w życiu Kościoła. Szansa na spotkanie z nimi. ©

Czy tata jest w niebie?

ARTUR SPORNIAK

Nie mamy innego wzorca Bożej miłości niż miłość ludzka.

ROSŁY, BRODATY MĘŻCZYZNA, PIJĄC KAWĘ w kawiarni, musiał przeproszać ludzi z sąsiednich stolików. Zaniepokoiło ich jego zachowanie – wpatrując się w ekran smartfona, nagle zaczął płakać. Amerykańskiego jezuitę o. Jacka Bentza wzruszyła do łez scena, która wydarzyła się na peryferiach Rzymu w połowie kwietnia.

Pytanie Emanuela

Papież, wizytując ubogą parafię św. Pawła od Krzyża, spotkał się z dziećmi i – jak to ma w zwyczaju – odpowiadał na ich pytania. Gdy przyszła kolej na kilkuletniego Emanuela, chłopiec „zaciął się” przy mikrofonie i rozpłakał. Wówczas papież zawołał go do siebie, prosząc, by mu powiedział „na ucho”. Przez chwilę rozmawiali przytuleni do siebie – Franciszek obejmował chłopca, gładząc go po głowie i uważnie słuchał. Gdy chłopiec odszedł, papież powiedział: „Płakał za swoim tatą. Miał odwagę zrobić to przed nami, bo w jego sercu jest miłość do swojego ojca. Zapytałem Emanuela, czy mogę wypowiedzieć jego pytanie publicznie. Powiedział, że tak, dlatego to zrobić”. I Franciszek zacytował wypowiedź chłopca: „Niedawno zmarł mój tata. Był ateistą, ale ochrzcił wszystkie czworo dzieci. Był dobrym człowiekiem. Czy mój tata jest w niebie?”.

Spokojnie i bez zastanowienia papież mówił: „Jeśli ten człowiek był w stanie wychować takie dzieci, to prawda, był dobrym człowiekiem. On był dobrym człowiekiem. Nie miał daru wiary, nie był wierzącym, ale jego dzieci zostały ochrzczone. Miał dobre serce. I Emanuel ma wątpliwości, czy jego tata, nie będąc osobą wierzącą, jest w niebie”. Franciszek zauważył: „Bóg jest tym, który decyduje, kto idzie do nieba”. A potem zapytał: „Bóg ma serce ojca. Czy ojca, który nie był wierzącym, ale ochrzcił swoje dzieci i dał im tę dobroć... myślicie, że Bóg byłby w stanie zostawić go samego?”. „Myślicie tak? Głośno, odważnie!” – ponaglił. Dzieci odpowiedziały: „Nie!”. „Czy Bóg porzuca swoje dzieci? Czy Bóg porzuca swoje dzieci, gdy

są dobre?” – ponownie zapytał. I znów rozległo się gromkie „nie”. „Emanuelu, to jest odpowiedź – zwrócił się papież do chłopca. – Bóg z pewnością był dumny z twojego taty. Ponieważ łatwiej być wierzącym i ochrzcić swoje dzieci niż ochrzcić je będąc niewierzącym. Z pewnością bardzo podobało się to Bogu. Porozmawiaj ze swoim tatą. Módl się do swojego taty. Dziękuję Emanuelu za twoją odwagę”.

Zimna wiara

Franciszek nie rozczulił się. Na pytanie chłopca odpowiedział z całkowitą powagą. Warto też podkreślić: bez wahania czy zastanowienia, tak jakby i pytanie, i odpowiedź od dawna miał dobrze przeżyte. „Dlaczego płakałem? Dlaczego ten krótki film, w którym stary człowiek jest miły dla małego chłopca, tak bardzo wzruszył mnie i wielu innych ludzi? Myślę, że dlatego, iż Franciszek pokazał nam, jak ryzykować, obejmując zraniony świat” – usprawiedliwiał się na swoim blogu o. Jack Bentz.

Czy rzeczywiście papież ryzykował?

Są ludzie, którzy widzą ojca Emanuela w piekle. „Oczywiście nie można było powiedzieć zrozpaczonemu sześciolatkowi, że jego niewierzący ojciec smaży się teraz w piekle na wieki, są jednak sposoby, aby pocieszyć chłopca bez popełniania śmiertelnych grzechów herezji i zgorszenia” – napisał anonimowy autor portalu novusordowatch.org. Jego zdaniem zgorszeniem i herezją jest głoszenie, że można iść do nieba bez łaski wiary. Portal prowadzony jest przez sedewakantystów, dla których Kościół katolicki od czasu Soboru Watykańskiego II zdradził Jezusa i stał się diabelską sektą.

Można zignorować sposób myślenia skrajnych tradycjonalistów, wskazując na jego intelektualną mialkość, problem w tym, że podobne poglądy Kościół oficjalnie głosił jeszcze 150 lat temu. Przez wieki dominowało przekonanie, że poza Kościołem nie ma zbawienia. Po raz pierwszy oficjalnie to ekskluzywistyczne

i wykluczające myślenie przełamał dopiero Pius IX w przemówieniu z 1854 roku. Zrobił to w taki sposób, by dogmat wrosły w tradycję pozostał nienaruszony. Najpierw papież przypomnieli: „Trzeba oczywiście przyjąć jako prawdę wiary, że poza apostolskim, rzymskim Kościołem nikt nie może być zbawiony. On jest jedyną arką zbawienia. Jeśli ktoś do niej nie wejdzie, zginie podczas potopu”. Potem dopowiedział: „Równocześnie jednak za pewne należy uważać, że ci, co są w nieznajomości prawdziwej religii, nieznajomości nie do przezwyciężenia, żadnej nie ponoszą winy z tego powodu w oczach Pana”.

Krytyk teologii katolickiej, brytyjski filozof religii John Hick nie bez ironii zauważył, komentując tę zmianę, że papież dokonał jej „w typowo katolicki sposób”: usiłował zmodyfikować dogmat, jednocześnie pozostając mu wiernym. Faktem jest jednak, że świadomość tego, iż nie ma sprzeczności między wyjątkowością Kościoła jako „sakramentu zbawienia” (sformułowanie użyte na Soborze Watykańskim II) a wolą Bożą, by wszyscy byli zbawieni, dojrzewała bardzo powoli.

Piekiełko poza Kościołem

Formułę „poza Kościołem nie ma zbawienia” (*extra Ecclesiam salus nulla*) po raz pierwszy użył w III wieku św. Cyprian, biskup Kartaginy. Potrzebował jej w dyskusji z nowacjanami – nie chcieli oni przyjąć na powrót do Kościoła tych chrześcijan, którzy wcześniej wyrzekli się wiary podczas prześladowań. Cyprian argumentował, że zrywając więź ze swoimi biskupami, stawiają się poza Kościołem.

Formuła się przyjęła. Fulgencjusz z Ruspe ok. 525 roku sprecyzował, kogo ona dokładnie dotyczy: „Nie należy wątpić, że nie tylko wszyscy poganie, ale i wszyscy Żydzi, wszyscy heretycy i schizmatycy, umierający poza Kościołem katolickim pójdą w ogień wieczny, przygotowany dla szatana i aniołów jego, jeżeli nie połączą się z Kościołem katolickim przed swoją śmiercią”. Teologa z VI wieku zacytuje w 1442 roku Sobór Florencki. Wcześniej zdogmatyzuje ją w bulli „*Unam sanctam*” (z 1302 r.) Bonifacy VIII: „Wiara przynagla nas do trwania w przekonaniu i do wyznawania, że jest jeden Kościół święty, katolicki i apostolski. My w niego wierzymy mocno i tę wiarę bez zastrzeżenia wyznajemy. Poza nim ani nie ma zbawienia, ani odpuszczenia grzechów”.



WWW.ROMEREPORTS.COM

Kilkuletni Emanuel pyta papieża o swojego zmarłego ojca, który był niewierzący, Rzym, 15 kwietnia 2018 r.

Po przełomie dokonanym przez Piusa IX dyskusja nadal trwała. Gorąco dyskutowali w latach 40. XX w. m.in. biskupi ze Stanów Zjednoczonych. Poprzednik Kongregacji Nauki Wiary, Święte Oficjum uznało za stosowne, by zareagować. W Liście do abp. Richarda Cushinga doprecyzowano, że do zbawienia wystarcza „pragnienie lub życzenie” przynależenia do Kościoła. A nawet: „Bóg także przyjmuje ukryte pragnienie” zawarte „w dobrym usposobieniu” uzgadniania swojej woli z wolą Bożą.

W końcu możliwość zbawienia niewierzących przewiduje Konstytucja dogmatyczna o Kościele „*Lumen gentium*” Soboru Watykańskiego II. „Nie odmawia też Opatrzność Boża koniecznej do zbawienia pomocy takim, którzy bez własnej winy w ogóle nie doszli jeszcze do wyraźnego poznania Boga, a usiłują nie bez łaski Bożej wieść uczciwe życie. Cokolwiek bowiem znajduje się w nich z dobra i prawdy, Kościół traktuje jako przygotowanie do Ewangelii i jako dane im przez Tego, który każdego człowieka oświeca, aby ostatecznie posiadał życie” – czytamy w tym przełomowym dla samoświadomości Kościoła dokumencie.

Piekło w Kościele

Był czas, że więzy rodzinne nie miały większego znaczenia w teologii. Formułę sakramentu chrztu pojmowano jako niezbędną przepustkę do nieba. Gdy dziecko zmarło, zanim zostało ochrzczone, z powodu niezmazanego grzechu pierwotnego trafiało do piekła o złagodzone rygorze – *limbus puerorum*. W istocie taki teologiczny automatyzm więcej miał wspólnego z myśleniem magicznym niż z chrześcijańską wiarą. Na pytanie, co z bliskimi, którzy trafią do piekła, niektórzy odpowiadali, że ich zasłużone cierpienia będą stanowić dodatkową radość dla zbawionych. W jednej ze swoich książek ks. Wacław Hryniewicz cytuje słowa Honoriusza z Autun (XII w.), przez długi czas przypisywane św. Anzelmowi z Canterbury: „Po sądzie dobrzy będą zawsze widzieć złych w mękach, zaś źli nigdy już nie ujrzą dobrych. Czy sprawiedliwi nie będą odczuwać bólu, widząc ich w takiej męce? Nie! Choćby ojciec widział syna albo syn ojca w męce, albo córka matkę lub matka córkę tam ujrzała, albo mąż żonę lub żona męża – nie tylko nie odczuwają bólu, lecz widok ten tak jest dla nich uciechą, jak dla nas, gdy widzimy ryby

igrające w odmętach”. Taką „zimną” teologię Hans Urs von Balthasar nazywał haniebną.

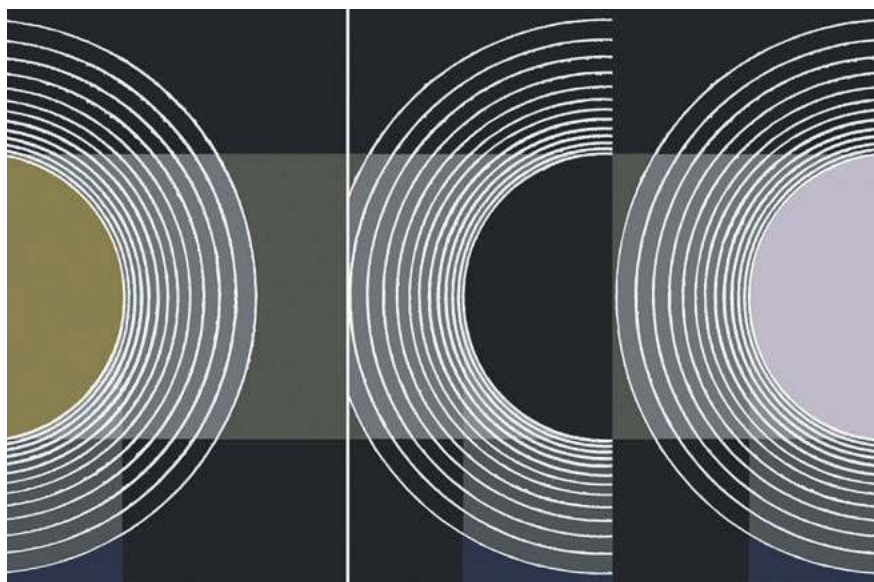
Dziś coraz trudniej jest nam godzić miłość Bożą i Boże miłosierdzie z piekłem. Ale ta trudność działa – na zasadzie analogii – już na ludzkim poziomie: czy każda miłość da się pogodzić z piekłem? A co, gdy na Golgocie stała też matka (żona, siostra, córka) złego łotra? Te pytania oczywiście nie przesądzają nieistnienia piekła, ale nie pozwalają zadowalać się teologią łatwymi („zimnymi”) odpowiedziami.

„Franciszek niweluje dystans między papieżem a dzieckiem, między wierzącym a niewierzącym, i dociera do sedna sprawy – od człowieka do człowieka” – zauważa o. Jack Bentz. Można odpowiedzieć: do tego nas zdążył już przyzwyczaić – nic w tym wyjątkowego. Co chwilę możemy być świadkami wzruszających scen. Spotkanie z Emanuelem stanie się ważnym punktem tego pontyfikatu z innego powodu. Jego siła i wyjątkowość polegają na tym, że papież pokazał, iż „bardzo trudno jest Miłości być bez miłości”. Więcej nawet, bardzo trudno jest – parafrazując celną uwagę amerykańskiego jezuitę – zrozumieć Miłość bez miłości. ©P

Przezroczystość Jezusa

PIOTR SIKORA

Wrażliwość na miłość i doświadczenie zmartwychwstania spletały się nierozdzielnie.



Ryszard Otręba, 179. *Inni* (druk cyfrowy), fragment

MARIA MAGDALENA I TOMASZ BLIŹNIAK musieli podjąć wysiłek, by uwolnić się od swoich koncepcji i oczekiwań, które przeszkadzały im rozpoznać Zmartwychwstałego. Dialog u grobu w ogrodzie pokazuje zaś wyraźnie, że najgłębsze pragnienia są ściśle związane z istotową tożsamością człowieka. Dopiero wezwana po imieniu przez Mistrza – „Mario!” – mogła Magdalena uświadomić sobie, kogo – i czego – w istocie szuka. Wiemy już jednak, że na kolejnym etapie duchowego rozwoju musiała „puścić” swe oczekiwania – czyli w gruncie rzeczy zostawić swoją tożsamość.

Problemy Marii i Tomasza wskazują, że dla naszej paschalnej wiary niezwykle ważna jest jeszcze jedna postać z Ewangelii Jana. Postać – w pewnym sensie – bezimienna.

W poranek wielkanocny dwóch uczniów biegnie do grobu (por. J 20, 3-8),

zaalarmowanych przez Magdalenę – jednym z nich jest Piotr, ale on przybiega drugi. Wyprzedza go „uczeń, którego Jezus kochał”. Czeką u wejścia do komory grobowej na Piotra – ale nie Szymon, lecz ów drugi, ujrzawszy brak ciała Mistrza, pierwszy staje się wierzącym. Podobna historia powtarza się na samym końcu tekstu Ewangelii, gdy Piotr z kilkoma towarzyszami przez całą noc bezskutecznie usiłują łowić ryby. Połów udaje się dopiero nad ranem, gdy, posłuchawszy rady – nierozpoznanego jeszcze – Jezusa, zarzucają sieć „po prawej stronie łodzi”. I ponownie bezimienny jest pierwszy – on rozpoznaje: „To jest Pan!” (por. J 21, 6-7).

Gdzie bije źródło tej szczególnej zdolności ucznia, który pierwszy dobiega, pierwszy wierzy, pierwszy rozpoznaje? Wypływa ono właśnie z jego bezimienności. Tym się różni od pozostałych uczniów i uczniów Rabbiego z Nazaretu. Inni

mają imiona własne: „Maria”, „Tomasz”, „Piotr”. On przedstawia się zawsze tylko w taki sposób: „uczeń, którego Jezus kochał”.

Jak wielka to różnica, ujawnia się w dialogu, który po wspomnianym polowie Jezus toczy z Piotrem (por. J 21, 15-19). Mistrz prowokacyjnie pyta: „Czy kochasz mnie więcej niż inni?”. Piotr natychmiast odpowiada: „Tak. Ty wiesz, że Cię Kocham”. Jakaż pewność siebie w korzystnym porównaniu z resztą towarzyszy! Wielkie ego. Jezus pyta więc o coś mniejszego: „Czy mnie kochasz?” – po prostu, już bez porównania z innymi. Piotr nadal jest pewny swojej miłości. Dopiero trzecie pytanie Jezusa narusza w Szymonie oczywistość solidności własnego „ja” – „Ty wszystko wiesz, wiesz, że Cię Kocham” – ale i ono Piotra całkiem z „ja” nie wyzwala. Możemy się tylko domyślać właściwej odpowiedzi, której Piotr nie udzielił, a którą stał się uczeń bezimienny: „Wiem, że Ty kochasz”. Jest to odpowiedź w istocie bez „ja” – ono pojawia się jedynie jako miejsce ujawniania się miłości Boga, bez własnej (innej niż bycie kochanym) tożsamości, bez oczekiwań i pragnień.

Jeśli bowiem w perspektywie biblijnej kultury imię wyraża tożsamość, to uczeń, który tak skupił się na miłości Boga, że zapomniał swojego imienia, zostawił siebie i nie ma więcej żadnej własnej – ograniczonej, bo takiej, a nie innej – tożsamości, żadnej poza tym, że jest kochany przez Mistrza. Doskonale wcielił w życie słowa Jezusa: „Kto kocha swoją *psyche* (życie, duszę, »ja«), traci je. Ktoś zaś gardzi swoją *psyche* na tym świecie, zachowa ją na życie wieczne” (J 12, 25).

Tym samym bezimienny stał się doskonałym uczniem Mistrza. Odzwierciedlił bowiem w sobie przezroczystość Jezusa – Syna, który nie czyni nic od siebie (por. J 5, 19), którego byciem jest bycie wyrazem (logosem) Ojca (J 1, 1), w którego jeśli się wierzy właściwie, to się nie w Niego wierzy, bo wierzy się w Ojca (J 12, 44), którego – jeśli się Go prawdziwie pozna – w ogóle się nie widzi, gdyż widzi się samego – niewidzialnego – Ojca (J 14, 9). I który właśnie dlatego jest nie tylko Zmartwychwstałym, ale samym Zmartwychwstaniem, samym Życiem – nieprzemijającym, bez granic, delikatnie rodzącym się wszędzie, gdzie tylko ktoś mu granic swego małego i przemijającego „ja” nie stawia.

©P

HONOROWY PATRONAT
MAŁŻONKI PREZYDENTA RP
AGATY KORNHAUSER-DUDY



9. TARGI KSIĄŻKI dla Dzieci i Młodzieży DOBRE STRONY 25–27 maja 2018

Wrocławskie Centrum Kongresowe
Hala Stulecia, ul. Wystawowa 1

wstęp wolny

Szczegóły i informacje na
www.domliteratury.wroc.pl/targi-dobre-strony



Wrocławski Dom Literatury
50-052 Wrocław, Przejście Garncarskie 2
tel. (71) 364 69 71, fax (71) 346 08 23
e-mail: wdl@domliteratury.wroc.pl



Koncert „Ja jestem” podczas obchodów 100. rocznicy KUL-u zwińczył prace nad „Biblią Audio”.
Na pierwszym planie Anna Dymna i Adam Woronowicz, Lublin, 26 lutego 2018 r.

Usłysz, czego nie przeczytasz

EWELINA BURDA

Wszystkie księgi Pisma Świętego to sto trzynaście godzin nagrań. „Biblia Audio”, największy audiobook na świecie, została stworzona jak film – tylko bez obrazu.

STARY TESTAMENT BRZMI PRZEZ 90 GODZIN. Nowy trwa dobę bez jednej godziny. Przez cały ten czas słyhać głosy 480 osób. „Biblia Audio superprodukcja” powstawała przez trzy lata.

Krzysztof Czeczot, pomysłodawca i reżyser projektu, aktor: – Kilka lat temu pracowałem nad audiobookiem „Gry o tron”, który trwa ponad 30 godzin i wzięło w nim udział ponad stu aktorów. Wtedy żartowaliśmy, że pod względem rozmachu została nam już tylko Biblia – opowiada. – W lutym 2015 r. doszliśmy do wniosku, że jesteśmy gotowi na taką realizację. A ponieważ biblijnego słuchowiska

na tak dużą skalę nikt jeszcze nie zrobił, to tym bardziej chcieliśmy się tym zająć.

Od przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Stanisława Gądeckiego otrzymują *imprimatur* i list z życzeniami sukcesów. Słuchowisko nagrywają na podstawie piątego wydania Biblii Tyśiąclecia. Po konsultacjach z ojcami palotynami rezygnują tylko z niewnoszących niczego wypowiedzi narratora o postaciach, które wypowiadają daną kwestię (np. „powiedział Jezus”, „odpowiedział Piotr”). Chcą uczynić dialog bardziej filmowym. Poza tym nie pomijają ani słowa. Zaczynają od Nowego Testamentu.

Hasło „Usłysz, czego nie przeczytasz” pojawia się na samym początku – najkrócej nazywa to, jakie słuchowisko będą tworzyć. – Zdefiniowaliśmy grupę ludzi, którzy zawsze chcieli się dowiedzieć, co jest w Piśmie Świętym, ale nigdy nie mieli czasu, możliwości, wytrwałości czy cierpliwości, żeby je poznać – opowiada Czeczot. – Stworzyliśmy utwór, który jest użyteczny dla wszystkich: dla wierzących i niewierzących, dla tych, którzy są bliżej i dalej Kościoła, dla osób z różnych kultur.

„Biblia Audio” z czasem zyskuje kolejnych partnerów i sponsorów, w finansowaniu pomaga zbiórka na portalu crowdfundingowym. W sierpniu 2016 r. gotowy jest Nowy Testament. Pod koniec 2017 r. z kalendarza Krzysztofa Czeczota znika zielony pasek z wypisanym „Nagranie do BA”. Budżet: prawie 2 mln złotych.

Dziś zespół dostaje i takie wiadomości: „Przez 20 lat próbowałem przeczytać Nowy Testament. Dzięki Wam zajęło mi to dwadzieścia trzy godziny. Dziękuję”.

„Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”

(KSIĘGA RODZAJU 1, 1)

Pierwsze zdanie Biblii pada z ust Miłogośta Reczka, narratora. Jego głos – spokojny,

miarowy i bardzo wyraźny – zostaje zaakceptowany przez pallotynów. Przez 113 godzin nagrań to on brzmi najczęściej.

W „Biblii Audio” słychać najlepszych aktorów. W rolę Boga wcielił się Jerzy Trela, w Jezusa – Adam Woronowicz; Franciszek Pieczka wypowiadał słowa Abrahama, Jan Englert – Mojżesza. Żeby zerwać ze schematem biblijnego narratora-mężczyzny, księgi czytają m.in. Małgorzata Kożuchowska (Ewangelia św. Jana), Krystyna Janda (Ewangelia św. Mateusza), Anna Seniuk, Anna Polony, Teresa Lipowska i Teresa Budzisz-Krzyżanowska (Dzieje Apostolskie). Są również: Janusz Gajos (Księga Koheleta), Jerzy Stuhr (Psalm 25), Wojciech Malajkat (Apokalipsa św. Jana), Piotr Fronczewski (Ewangelia św. Marka), Danuta Stenka (Księga Judyty), Krzysztof Globisz (Psalm 61), Robert Więckiewicz i Magdalena Cielecka (Pieśń nad Pieśniami), Jerzy Zelnik (Psalm 62) i wielu innych.

– Dopiero kiedy zobaczyłem, co się dzieje wokół tego projektu, doszło do mnie, że uczestniczę w czymś wyjątkowym. Że przytrafia się to mnie, zwykłemu, „prostemu” aktorowi – opowiada Miłogost Reczek. – W trakcie pracy pojawiła się myśl, że ci wszyscy ludzie, którzy w nim uczestniczyli, i ja przy okazji też, przeszliśmy chyba jakoś do historii. Tylko że w zasadzie niechcący. Ważna była sprawa, nie ja, nie moje aktorstwo.

Niektórzy z aktorów o „Biblii Audio” rozmawiać nie chcą – mówią, że udział w projekcie był dla nich intymnym przeżyciem i chcą je zachować dla siebie. Że czasem za dużo zostaje wypowiedziane i wtedy znika tajemnica.

– Podczas nagrań nie poruszaliśmy kwestii wiary i duchowości – nie zajmujemy się ewangelizacją, a produkcją audiobooków, w tym czujemy się najpewniej. Uznaliśmy, że autentyczni będziemy tylko wtedy, kiedy skupimy się na tym, co potrafimy najlepiej – tłumaczy Czeczot. – Nasz projekt nigdy nie miał być deklaracją. Kwestie duchowe czy światopoglądowe są intymną sprawą każdego z nas. Stworzyliśmy słuchowisko, które chcemy, żeby było wykorzystywane przez wszystkich, pod warunkiem że zachowują szacunek do jego tekstu.

„Wtedy Bóg rzekł: »Niechaj się stanie światłość!«”

(KSIĘGA RODZAJU 1, 3)

– Byłem bardzo przejęty tym, że pan Krzysztof Czeczot powierzył mi rolę Boga

– opowiada Jerzy Trela. – Bóg Starego Testamentu jest Bogiem bardzo okrutnym, powiedziałbym, że nawet złym. Karze. Grzmi. Jak umiałem, tak grzmiałem, a jak za mało grzmiałem, realizatorzy dodali grzmotu – śmieje się. – Potem, w Nowym Testamencie, pojawia się miłosierdzie, Bóg jest łagodny, wybaczący.

Nagrania Treli trwały z przerwami prawie cały rok.

– Chcąc wypowiadać słowa Boga najuczciwiej i najprzyczyniej, trzeba mówić swoim głosem, nie próbując naśladować kogoś nieosiągalnego, bo Bóg jest ponad wszystkim – mówił aktor. – Przy tworzeniu postaci w słuchowisku trzeba poczuć osobowość, którą się nagrywa, stworzyć ją, próbować się jak najbardziej do niej zbliżyć.

Na osobiste rozmyślania w trakcie pracy nie było czasu.

– Wtedy skupia się na tym, żeby zrobić to jak najprecyzyjniej, jak najlepiej, myśląc nie o sobie, ale o słuchaczu – dodaje Jerzy Trela. – Tekst Biblii jest bardzo skomplikowany, złożony. W takiej sytuacji obowiązkiem aktora jest przybliżyć go odbiorcy. Bo nie zawsze da się wyczytać to, co można usłyszeć. Tak też bywa z poezją. Staram się ją wtedy zrozumieć, nie chcę wypaczać myśli poety, tylko raczej interpretować jak najwierniej to, co jest zawarte w tekście. I w tym bardzo trudnym tekście Biblii starałem się wydobyć sensy i logikę tego, co mówi i głosi Bóg.

„Mojżesz wyciągnął rękę nad morze, a Pan cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc, i uczynił morze suchą ziemią. Wody się rozstąpiły”

(KSIĘGA WYJŚCIA 14, 21)

Narracja czternastego rozdziału Księgi Wyjścia nie jest typowa. Prymas Wojciech Polak czyta dzieje Mojżesza po polsku, Michael Schudrich, naczelny rabin Polski, po hebrajsku, z charakterystyczną melodią.

– Chcieliśmy naszym projektem łączyć, zszywać to, co w ostatnim czasie tak bardzo popękało. W tym duchu brzmiała nasza prośba skierowana do księdza prymasa Polaka i pana rabina Schudricha, którzy tym czytaniem podkreślają wagę i potrzebę dialogu ekumenicznego, a także niezwykle ważną, nierozważalną, wielowiekową tradycję współistnienia w Pol-

sce braci młodszych i starszych w wierze – podkreśla Czeczot.

„Usłysz, Panie, moje słowa, zwróć na mój jęk uwagę”

(KSIĘGA PSALMÓW 5, 2)

Psalm 5 przeczytali wspólnie Anna Dymna i Łukasz Waśniowski, podopieczny fundacji Mimo Wszystko. – Łukasz, który ma niepełnosprawność intelektualną i jest najcudowniejszym człowiekiem, który świat pojmuję sercem, był tym bardzo przejęty. Okazało się, że nie jest możliwe, by czytał długie frazy. Wymyślił, by były to poszczególne słowa, niektóre fragmenty wypowiadamy razem, ale prawdę mówiąc, to on czytał cały psalm razem ze mną, tylko nie był w stanie wydobyć z siebie głosu zbyt często – opowiada Anna Dymna.

– Przeżywałam to podwójnie, bo przeżywał to bardzo Łukasz – dodaje. – Był dumny, że bierze w tym udział. To cudowny projekt, bo jeżeli ktoś taki jak on w nim uczestniczy, to tak jakby mówiono: jesteś tak samo potrzebny, jesteś takim samym człowiekiem, co z tego, że jesteś inny, to nieistotne – bierzesz udział w czymś bardzo ważnym.

Annie Dymnej Biblia towarzyszy od 50 lat. Jej egzemplarz jest podniszczony, poprutykany zakładkami, ma wiele pozakreślanych fragmentów.

– To księga, którą czytałam całe życie. Gdy robiłam filmy, mieszałam po hotelach, byłam w podróży, zawsze miałam ją ze sobą. Do Biblii mam stosunek jak do mądrego przyjaciela: tam są najważniejsze rzeczy, najpiękniejsze strofy o miłości, o wierności, o tym, co jest istotne w życiu. Oczywiście są też opisane największe okrucieństwa. Wszystko, co może dotyczyć człowieka, w niej się mieści – dodaje.

„Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów”

(EWANGELIA ŚW. ŁUKASZA 2, 30-31)

W rolę starca Symeona wcielił się Roman Kłosowski. Choroba prawie całkowicie pozbawiła go wzroku i wykluczyła z aktorstwa, do tej pory odrzucał wszystkie propozycje współpracy. Dla „Biblii Audio” zrobił wyjątek. Ekipa odwiedziła go w mieszkaniu. Kłosowski wcześniej przez trzy dni uczył się tekstu z nagrania, które przygotowała mu jego przyjaciółka. ➔

→ Później zespół wrócił raz jeszcze, by aktor mógł posłuchać efektu.

Krzysztof Czczot chciał, żeby w projekcie byli obecni artyści i ludzie, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji życiowej: – Chcieliśmy pokazać, że wykluczenie to problem mentalny, że można i należy z nim walczyć. Właściwie nie zrobiliśmy nic wielkiego, wyciągnęliśmy tylko rękę w geście zaproszenia. Stąd udział w projekcie wielu osób, które – patrząc stereotypowo – nie pasowały do niego. Jak Marta Abramczyk i Adam Stoyanov, pierwsze w historii polskiego radia osoby głuche, które wzięły udział w słuchowisku.

Krzysztof Globisz, zmagający się z afazją po udarze, z kilkunastu psalmów, które dostał do wyboru, wybrał Psalm 61. Jego głos pozostał bez technicznych retuszy.

– Udział pana Krzysztofa w „Biblii Audio” to wstrząsająco piękne przeżycie o sile człowieczeństwa i duchu walki, o uporze w dochodzeniu do formy po chorobie, o miłości i wsparciu – mówi nie bez wzruszenia Czczot. [Czytaj więcej na powszech.net/globisz-red.]

„Tak to Dawid odniósł zwycięstwo nad Filistynem procą i kamieniem”

(PIERWSZA KSIĘGA SAMUELA 17, 50)

W „Biblii Audio” ważne są dźwięki i muzyka, słowa miały zostać „zanurzone w nowoczesnej ścieżce dźwiękowej”. Czczot podkreśla, że nie chodziło im o stworzenie książki czytanej przez aktorów, ale o film bez obrazu.

– Pojechaliśmy na kilka dni do Izraela, żeby stanąć z mikrofonem na placach i dachach w Jerozolimie, pojechać na przedmieścia, na pustynie i nagrać czyste atmosfery tych miejsc, ich naturalne dźwięki, ciszę – opowiada Maciej Zych, realizator dźwięku. – Ważne było, żeby wstrzelić się w dobry czas, gdy nie będzie jechał żaden samochód, nie będzie turystów mówiących w wielu językach.

– Chcieliśmy nasaczyć nasze dźwięki duchem tamtych miejsc, niepowtarzalną atmosferą świata, którego już nie ma – mówi Czczot.

– Byliśmy tam, gdzie biblijne wydarzenia teoretycznie się działy, jak w dolinie Elah, gdzie Dawid miał walczyć z Goliatem. Jest w tym coś prawdziwego, co wzmacnia przekaz, dodaje wartość, której nie da się zastąpić niczym innym. To nam pomogło także przy odtwarzaniu tego historycznego brzmienia już w studiu

w Warszawie – kontynuuje Zych. – Prawdopodobnie można by to oszukać, np. sztucznie dogrywać gwary ludzi po hebrajsku. Ale robienie dźwięku współcześnie to raczej szukanie zamienników, które potem są w zasadzie nie do odróżnienia. My chcieliśmy, żeby to było autentyczne i oryginalne, prawda obroni się sama.

Adam Walicki, kompozytor muzyki, mówi, że do tekstu biblijnego podszedł jak do epickiej powieści: – Pracując nad muzyką starałem się „wziąć w nawias” bagaż znaczeniowy Pisma Świętego. Unikałem prostych skojarzeń, np. do muzyki kościelnej, z jej charakterystycznymi kadenccjami i instrumentacją. Słuchać za to bliskowschodnie instrumenty, które dodają realizmu geograficznego i kulturowego całej historii.

Kluczowe dla tworzenia muzyki były nagrania aktorów: ich tembr głosu, rytm czytania, akcentowanie, a później montaż dialogów. – Muzyka musiała być przestrzenna, to nie mogły być zbyt gęste faktury, bo tutaj trzeba się skupić na czytanej historii – tłumaczy Walicki. I dodaje: – Żałuję jedynie, że prace zaczęliśmy od Nowego Testamentu, że nie mogłem dojść do niego „chronologicznie”, przechodząc przez całe Pismo Święte. Mam poczucie, że teraz zupełnie inaczej bym nad nim pracował, bardziej uwspółcześnił, można też było bardziej zróżnicować Ewangelie, które opowiadają przecież o tych samych zdarzeniach, tylko z innej perspektywy.

„Na to rzekła Maryja: »Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według Twego słowa!«”

(EWANGELIA ŚW. ŁUKASZA 1, 38)

Nazywają ich „cywilami” – ponad 170 osób, z których większość po raz pierwszy miała mikrofon przed ustami i profesjonalne słuchawki na uszach.

– Pomyśleliśmy, że jeśli stworzymy słuchowisko, które ma łączyć, to nie mogą w nim brać udziału tylko aktorzy, ale także ci, którzy nie zajmują się tym profesjonalnie – opowiada Czczot. – Ania Czerwińska przyjechała na nagranie do innej roli, ale kiedy zaczęła mówić, od razu wiedzieliśmy, że jest naszą Maryją. Zbieg okoliczności, że Ania była wtedy w ciąży.

Jedną z form podziękowania za wsparcie „Biblii Audio” na portalu crowdfundinowym było obsadzenie w krótkiej roli. Taką otrzymali Skwarkowie, a dokładnie rodzice i dwie córki z jedenastoosobowej

rodziny, którzy udzielili swojego głosu jako Anioł Pański, wcielając się wspólnie w jedną postać. Inni „cywile”? W lipcu 2017 r., podczas rocznicy Światowych Dni Młodzieży, dziesięcioletni tłum wykrzyczał „Niech żyje król!”, które wybrzmiewa w Drugiej Księdze Królewskiej.

– „Biblia Audio” dotarła dużo dalej, niż zakładaliśmy. Rozmawialiśmy na początku z Maciem Budzichem, który odpowiadał za PR i komunikację projektu w mediach, że jeżeli będziemy mieli po trzech miesiącach sto tysięcy odsłuchań, będzie dobrze. Był milion. Dziś na YouTube mamy ponad trzydzieści dwa miliony odsłuchanych minut. – mówi Czczot. – Cieszę się, że udało się nam ten projekt zamknąć, zrealizować wszystkie książki Pisma. Płyty i pendrive’y „Biblii Audio” są dostępne w sprzedaży, w wersji bezpłatnej jesteśmy na YouTube, Soundcloudzie, a także na BibliaAudio.pl.

„Łaska Pana Jezusa ze wszystkimi!”

(APOKALIPSA ŚW. JANA 22, 21,

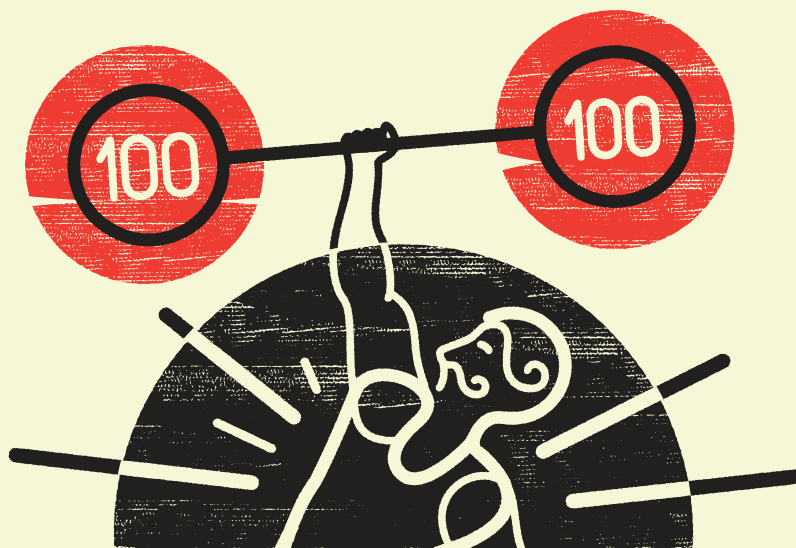
OSTATNI WERSET BIBLI)

– To słuchowisko ma dotrzeć do ludzi, którzy mają potrzebę wyizolowania się ze świata, który nas otacza, w świat imaginacji, w świat boski – uważa Jerzy Trela. – W taki świat, który świadczy o naszym jestestwie, w pewnym sensie rodowodzie. O tym, skąd my jesteśmy, gdzie jesteśmy, kto nad nami czuwa, gdzie jest ta boska ręka, gdzie jest sam Bóg. Myślę, że często zadajemy sobie takie pytania. A mając kontakt ze Starym i Nowym Testamentem, czasem znajdujemy odpowiedź na to, co nas męczy i nurtuje.

– Czytanie Biblii mówi nam, że powinniśmy się szanować, być razem i wspólnie coś robić – podkreśla Anna Dymna. – Tu razem wypowiadaliśmy tak ważne słowa, a to w obecnej rzeczywistości jest nam najbardziej potrzebne. Żebyśmy bez względu na to, kim jesteśmy, gdzie siedzimy i jakie kolory lubimy, mogli tworzyć razem coś istotnego.

– Chcieliśmy zrobić „Biblię Audio” ze wszystkimi i dla wszystkich, ponad podziałami wynikającymi z przekonań, światopoglądu czy deklaracji politycznych. Dla ludzi, którzy treść Biblii traktują jak drogowskaz duchowy, i dla tych, którzy w jej treści widzą fundament naszej cywilizacji – mówi Krzysztof Czczot. – Mam poczucie, że nam się to udało.

© P EWELINA BURDA



JACEK KRUPA, MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO, ZAPRASZA NA

XX MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO WOLNOŚĆ KRZEPI

19–20 maja 2018

TRASA KRAKOWSKA I

- Fort 50 ½ O Barycz w Krakowie
 - Dworek Rutkowskich w Krakowie-Bronowicach

TRASA ZACHODNIA

- Kościół pw. Narodzenia NMP w Raławicach k. Olkusza
- Piec kręgowy w Płazie

WSTĘP WOLNY



dniedzictwa.pl

26–27 maja 2018

TRASA KRAKOWSKA II

- Kamienica Bujwidów w Krakowie
- Gmach główny Akademii Górniczo-Hutniczej im. S. Staszica w Krakowie

TRASA WSCHODNIA

- Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i dwór Żabów w Zbylitowskiej Górze
- Willa Eugeniusza Kwiatkowskiego w Tarnowie-Mościcach
- Dom rodzinny i Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach

Organizator:

Patronat:

SZYMON

Hołownia:

Lekcja Alfiego Evansa



UMARŁ MAŁY CHŁOPIEC. BYŁ ZBYT MAŁY I ZBYT chory, by wiedzieć, że w jego ostatnich chwilach cały ów świat mówił o nim i na niego patrzył. Dla chłopca w tym wieku całym światem są jednak tata i mama.

Historii Alfiego Evansa nie da się oddzielić od historii jego rodziców. Specjaliści mówią: rodzice w sytuacjach granicznych myślą często swój komfort z potrzebami dziecka, szarpią malucha w rozpacz. Twierdzą jednak, że brytyjski sąd popełnił błąd antagonizując je ze stanowiskiem rodziców. Nie w porządku było uniemożliwienie im kontynuowania terapii paliatywnej w ośrodku oferującym taką możliwość. Nie prowadzonym przez znachorów, ale przez lekarzy dyplomowanych tak samo, jak ci ze szpitala Alder Hey w Liverpoolu (którzy przez wiele miesięcy z wielkim oddaniem opiekowali się Alfim). Skoro tamci lekarze wyszli z taką propozycją, zakładam, że dokumentacja medyczna przypadku była im znana, mieli już też okazję rozstrzygać dylematy powstające na styku: ludzka śmiertelność – coraz większe techniczne możliwości przedłużania niektórych funkcji organizmu. Medycyna to jednak wciąż dziedzina w sytuacjach skrajnych miejscami mocno subiektywna. Jeśli jeden lekarz mówi: „odłączamy”, a inny: „u nas możemy jeszcze nie odłączać”, to niezależnie od tego, ile paneli ekspertów powołałby sąd, trudno nie stanąć po stronie rodziny, która – jeśli już respirator podłączono – jego odłączenie ma za przyspieszenie czegoś, co i tak jest nieuchronne.

Dla mnie „sprawa Alfiego Evansa” dotyczyła więc nie „walki o życie” (bo on umierał), lecz ponownego upodmiotowienia rodziców. Ze zdumieniem obserwowałem, jak dla wielu innych zmieniła się w pole ideologicznej wojny. Czytając to, co pisała strona biorąca w obronę decyzję sądu, znajdowałem w tym nowy ton, który pojawił się na scenie przy okazji naszej ostatniej wojny o aborcję. Po tamtej stronie wyraźnie puścił jakiś hamulec, nie przypominam sobie, by w ciągu ostatnich 20 lat pisano o Kościele, jego nauce i ludziach z nim związanych z taką pogardą (to już nie jest „antykościelność” à la tygodnik „Nie”, to przedsmak – obym się mylił – tego, co czeka nas, gdy ideowe wahadło w społeczeństwie pójdzie w drugą stronę).

Jednocześnie też można było odnieść wrażenie, że chyba komuś po przeciwnej stronie – przepraszam, ale nie da się tego opisać inaczej – odbiło. Ludzie skrzyknęci pod hasłem „*Save Alfie Evans*” (nie wszyscy, rzecz jasna) krążyli po necie, wrzucając wszędzie, gdzie się da, swoje hasztagi i okrzyki, wzywając do wirtualnej insurekcji. Szczyt osiągnęli, gdy po oświadczeniu ojca Alfiego wzywającego do ciszy, zarzucali sieć „potwierdzonymi u źródła” informacjami, że rodzice zostali zaszantażowani, a kiedy Tom Evans poinformował o śmierci syna, dopisywali pod spodem: „Ludzie, to fake! Alfie żyje!”, lub odkrywali, że z liter tworzących imię i nazwisko Alfie Evans da się też ułożyć

hasło „*Save Life*!” (Ratuj życie). Kompletnie odcięcie reakcji na rzeczywistość od rzeczywistości to temat na pracę z psychologii internetowego tłumu. Ważnym elementem takiej pracy musiałoby też być opracowanie wątku zredukowania poznawania świata do obrazu: mam wrażenie, że za znaczną część temperatury tej wojny odpowiadał fakt, że śmiertelnej choroby Alfiego nie było widać na zdjęciach, mówiły o niej słowa lekarzy, z którymi niewielu uznało za stosowne się zapoznać.

Gdy gdzieś gromadzi się tłum, zaraz zjawia się polityk zabiegający, by z owego tłumu zrobić elektorat. Tak było i tym razem. Deklaracje polskich ministrów, którzy publicznie zapisywali się do ruchu „Obróńców Alfiego”, można by rozpatrywać w kategoriach szczerych intencji, gdyby chodziło o osoby prywatne. W ustach ludzi, którzy nie dopuścili, by w Polsce schronienie znalazła choć setka syryjskich sierot, którzy wywalają miliony złotych na idiotyzmy w rodzaju grających ławeczek czy „rejsów narodowych” (ten projekt realizuje fundacja, ale za pieniądze spółek Skarbu Państwa i przy nadzorze polityków), a których nie stać na to, by okrzyki o „obronie życia” ucieleśniły się w pomocy dla rodzin niepełnosprawnych dramatycznie walczących o to, co się im należy, w Sejmie – to festiwal obłudy, by nie szukać określić większej mocy.

A *propos* tych ostatnich protestów: w sieci pojawiły się pytania, dlaczego mocno nie wsparły ich ruchy pro-life i Kościół. Bo jeśli walczymy o to, by osoby z niepełnosprawnościami mogły się urodzić, czy nie powinniśmy też z całych sił wspierać wszystkich walczących o to, by po urodzeniu mogły godnie żyć? Co do najgłośniejszych środowisk pro-life – nie wiem, być może wydaje im się, że gdy wesprą ruch, który kontestuje poczynania władzy, owa władza w akcie rewanżu pogrzebie ich antyaborcyjny projekt, na którym najbardziej im zależy. Co do Kościoła zaś – to bardzo dobrze, że po kuriozalnych frazach abp. Hosera, występującego w roli adwokata rządu, a nie protestujących ludzi, przyszedł bardziej sensowny wywiad szefa zespołu charytatywnego Episkopatu bp. Wiesława Szlachetki – jego słowa pozwolą nam zachować przynajmniej część twarzy.

To naprawdę ostatnie momenty dla polskiego Kościoła, polskiego Episkopatu, by zrozumieć, że jego miejsce nie jest w chórze z butnym posłem poniżającym protestujących, ale na podłodze obok nich. Nie ma znaczenia, ile już zrobiliśmy dla innych niepełnosprawnych, dla tych akurat wciąż zrobiliśmy za mało.

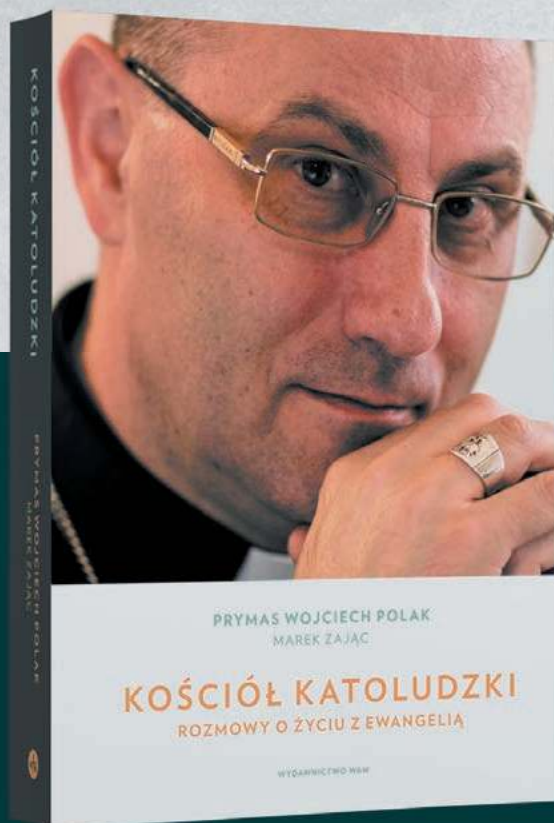
W historii Izraela kapłani reprezentowali interesy ludu przed Bogiem, interesy Boga przed ludem reprezentowali prorocy. Tych pierwszych mamy dziś aż nadto, w pompacyjnym wielosłowniu wyprasają przychylność dla narodów, rządów, cywilizacji. Tych drugich trzeba umieć wyłuskać z wydarzeń, zauważyć, że są „znakami czasu”. Mam wrażenie, że Alfie Evans był właśnie jednym z nich. I że najważniejszą lekcję dał nam w ciągu ostatnich godzin, gdy na życzenie rodziców większość „broniącego” go tłumu zamilkła, pozwoliła rodzinie być w milczeniu przy odchodzącym dziecku. Umiemy w internecie zabijać bliźniego słowem w ramach walki o życie, w Sejmie bronić chrześcijańskiej cywilizacji przed syryjskimi niemowlakami, kokietować władzę z ambon. Ale albo nauczymy się, że nasze miejsce zawsze jest po stronie człowieka, przy nim, nie przy swoich emocjach czy sądach – albo marny będzie nasz los. ©

NOWOŚCI WYDAWNICTWA WAM

-25% Kod: **TP28****Bez kompromisów
i skrupowania. Po ludzku.**

Czy Kościół powinien mieszać się do polityki? Czy Polska powinna przyjmować uchodźców? W jaki sposób mierzyć się z problemem pedofilii wśród księży? Co Kościół ma do powiedzenia kobietom, które dokonały aborcji? Jakie stanowisko zajmuje wobec umacniającego się nacjonalizmu?

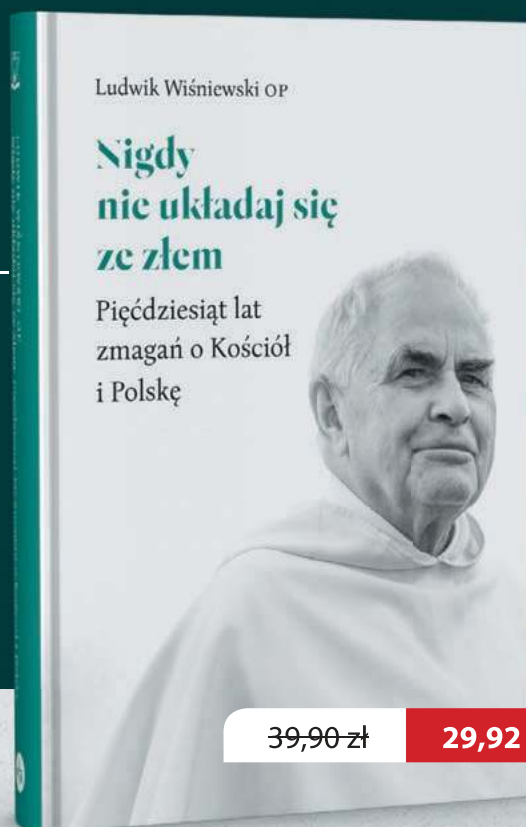
Prymas Wojciech Polak w rozmowie z Markiem Zającem nie unika trudnych pytań. Pokazuje, że życie z Ewangelią to nie zbiór gotowych odpowiedzi, ale nieustanny dialog z Bogiem, nauczaniem Kościoła i własnym sumieniem.

~~39,90 zł~~**29,92 zł**

**„...z góry wiem, że to
się może nie podobać.
No trudno.
I tak należy to zrobić”.**

Stasi umieściła go na liście sześćdziesięciu najbardziej niebezpiecznych polskich opozycjonistów. W duszpasterstwach akademickich, które prowadził, tworzył przestrzeń dialogu bezcenną w czasach PRL-u. Po 1989 roku nie przestał głosić Ewangelii wolności. Do dziś płaci za to wysoką cenę.

Odważna publicystyka **o. Ludwika Wiśniewskiego** pokazuje, w jaki sposób myśli człowiek wolny, wierzący, że „tylko prawda nas wyzwoli”.

~~39,90 zł~~**29,92 zł**

ZAMÓWIENIA
KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA



zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP28**
Przy zakupie od **50 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**



WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

A photograph of a golf course in Melilla, Spain. In the foreground, two golfers are on a green. The background features a line of palm trees and a fence where several people are sitting or standing. A red box with the word "ŚWIAT" is overlaid on the image.

ŚWIAT

Migranci usiłują przejść przez zabezpieczenia na granicy Maroka z Melillą, eksklawą Hiszpanii; po stronie „unijnej” – pole golfowe, 2014 r.

ZIEMIA OBIECANA, RAJ UTRACONY

Aukcje niewolników i szczelniejsza granica:
czy zmuszą afrykańskich migrantów do porzucenia szlaku libijskiego
na rzecz bezpieczniejszej drogi Maroko–Hiszpania?

AGNIESZKA ROSTKOWSKA Z RABATU (MAROKO)

GRUBA NITKA LEDWO NADAŻA ZA IGŁĄ. Raz, raz, raz – i haftowane kwiaty pokrywają już prawie całą tunikę. Pięć kobiet przy zarzuconym rolnikiem materiałem stole w skupieniu ręcznie wykańcza sukienki, bluzki, szale. Obok dwie dziewczyny pracują na maszynach, od czasu do czasu spoglądając na długi wieszak. Zawieszane na nim ubrania w foliowych pokrowcach są gotowe do wysyłki.

Na etykietach, oprócz ceny i rozmiaru, widnieje adnotacja: „Wykonane przez Marię z Demokratycznej Republiki Konga, haft: Naima z Mali”. Imiona i kraje zmieniają się z każdą metką, ale jedno jest wspólne: wszystkie ubrania zostały uszyte przez uchodźczynie, które powoli stają na własne nogi.

Wspiera je w tym Fundacja Wschód-Zachód (Fondation Orient-Occident), pomagającą migrantom w stolicy Maroka, Rabacie. – Zapewniamy materiały, sprzęt, warsztat i w przerwie ciepły obiad, a także przedszkole, w którym kobiety mogą zostawić dzieci na czas pracy. Każda dostaje od kilku do kilkudziesięciu procent od sprzedaży wykonanej przez siebie odzieży. Dzięki zaprzyjaźnionym aktywistom ubrania rozjeżdżają się do showroomów w kilku miastach Maroka, Włoch i USA. Klienci wiedzą, że wspierają konkretną osobę, wymienioną z imienia – wyjaśnia Abdelatif Belhadad z fundacji.

On i inni pracownicy Fundacji Wschód-Zachód działają na rzecz integracji migrantów z marokańskim społeczeństwem. – Pomagamy znaleźć pokój do wynajęcia, tak aby nie tworzyli gett. Młodym ułatwiamy nawiązywanie kontaktów z rówieśnikami z Maroka, oferując im korepetycje udzielane przez kolegów z Rabatu czy wspólne bezpłatne zajęcia sportowe – mówi Belhadad. Na dziedzińcu Fundacji migranci sprzedają różnorakie produkty ze swoich krajów. Hitem jest miód w butelkach po wodzie mineralnej oraz lalki szmacianki z barwnych materiałów.

Gdy Libia się uszczelnia

Można ulec wrażeniu, że Maroko to bezpieczna przystań zarówno dla uchodźców uciekających przed wojną, jak też dla migrantów ekonomicznych z Afryki Subsaharyjskiej. Wrażenie tym silniejsze, jeśli weźmiemy pod uwagę ich sytuację na tzw. szlaku środkowo-śroziemnomorskim, prowadzącym przez Libię do Włoch.

Od obalenia dyktatora Muammara Kaddafiego w 2011 r. Libia to rozrywający kraj

konflikty i powracająca wojna domowa, rosnąca w siłę Al-Kaida oraz aukcje niewolników. O tym ostatnim problemie świat dowiedział się w listopadzie zeszłego roku, kiedy telewizja CNN nadała materiał z licytacji migrantów w okolicach Trypolisu. Cena wywoławcza: 400 dolarów za osobę. „Jakbyśmy przenieśli się w czasie. Brakuje tylko łańcuchów i kajdanów na nadgarstkach i kostkach niewolników” – komentowała CNN. Redakcja podkreślała, że choć jej reporterzy zlokalizowali aukcje w dziewięciu miejscach w kraju, to prawdopodobnie odbywają się one w całej Libii [o tym procederze patrz „TP” 4/2018 – red.].

Rząd w Trypolisie deklaruje walkę z tym procederem i uszczelnia granice. Na ich ochronę łoży też Unia Europejska, która we współpracy z Unią Afrykańską i ONZ uruchomiła także szeroko zakrojoną akcję ewakuacji migrantów z Libii do państw ich pochodzenia.

Nic dziwnego, że migranci usiłujący przedostać się do Europy coraz bardziej obawiają się szlaku przez Libię. Mnożą się doniesienia, że zaczną masowo wybierać trasę Maroko-Hiszpania. Czy więc Rabat i Madryt powinny się przygotować na napływ rzesz ludzi? I czy Maroko słusznie postrzegane jest jako miejsce bezpieczne?

Jedyna taka granica

Okolice portowego miasta Nador na północy Maroka opisywano już wieloma określeniami – żadne z nich z bezpieczeństwem nie miało nic wspólnego.

Najczęściej nazywano je „marokańską dżunglą”. To nawiązanie do obozowiska migrantów w Calais na północy Francji, gdzie w szczytowym okresie koczowało 10 tys. ludzi – wierzących, że przedostaną się stamtąd do Wielkiej Brytanii. W październiku 2016 r. francuskie władze zlikwidowały „dżunglę”. Część migrantów została rozwieszona autokarami po całym kraju do tzw. centrów przyjęć uchodźców, część zdecydowała się na własną rękę poszukać innego miejsca, a część została w Calais, koczując w pobliskim lesie i na przedmieściach. Nadziei na lepsze jutro w Europie nie porzucił chyba nikt.

Historia „marokańskiej dżungli” jest podobna. Na zalesionym wzgórzu Gourogu, zaledwie kilka kilometrów na południe od Melilli – hiszpańskiej eksklawy na północnoafrykańskim wybrzeżu – wyrosło prowizoryczne obozowisko. Znacznie mniejsze od tego w Calais: zazwyczaj

przebywało w nim nie więcej niż półtora tysiąca ludzi. Ale cel mieli podobny: czekać na dobry moment, by pod osłoną nocy sforsować ogrodzenia broniące dostępu do Unii Europejskiej.

Maroko jest bowiem jedynym państwem afrykańskim, które posiada granicę lądową z Unią. Graniczy z dwoma hiszpańskimi eksklawami – Melillą i położoną naprzeciw Gibraltaru Ceutą. Hiszpania uczyniła z nich dobrze strzeżoną flankę „twierdzy Europa” już w latach 90. XX w. Potem, w 2005 r., podwyższyła otaczające je ogrodzenia, zwieńczając je drutami kolczastymi i rozbudowanym systemem monitoringu.

Amnesty International ocenia, że od tego czasu na utrzymanie i rozwój systemu zabezpieczeń w Melilli i Ceucie rząd w Madrycie wydaje 22 tys. euro dziennie (w kwocie tej nie zawiera się wynagrodzenie personelu, który 24 godziny na dobę patroluje granice, ani koszty wspomagających go helikopterów).

Siatka o małych oczkach

Obecnie dostępu do Melilli bronią trzy równoległe do siebie linie ogrodzeń.

Pierwsza, od strony marokańskiej, ma 6 m wysokości, kolejna – 3 m. Przestrzeń między nimi wypełniona jest siecią ostrych metalowych prętów, które w razie upadku na nie mogą powodować poważne uszkodzenia ciała. Do tego kamery, wieże kontrolne, rozbudowany system oświetlenia, wykrywacze ruchu, alarmy. Ogrodzenia pokryto specjalną siatką uniemożliwiającą wspinanie – o oczkach o średnicy tak małej, że nie sposób włożyć w nie palca.

Ale migranci koczujący pod Nadorem znaleźli sposób i na to. Niektórym udało się pokonać siatkę zabezpieczającą przy pomocy haczyków. Nawet jeśli zostali zatrzymani i kolejne miesiące spędzali w zamknięciu – w centrum zatrzymań w Algeciras, na wybrzeżu Hiszpanii – to ostatecznie byli wypuszczeni z nakazem opuszczenia kraju i udawali się dalej, na wschód lub północ Europy. Inni mieli mniej szczęścia: zatrzymanych momentalnie odsyłano na marokańską stronę. Wcześniej, bywało, dotkliwie bijąc, dla zniechęcenia przed podjęciem kolejnej próby. Na próżno.

Trzy lata temu władze Maroka uznały, że jedynym sposobem ukrócenia tego procederu jest likwidacja obozowiska pod Nadorem. W lutym 2015 r. światowe ➔

→ media relacjonowały, jak marokańska policja podpala namioty i pacyfikuje tych migrantów, którzy próbują ratować majątek lub odmawiają wsiadania do autobusów, mających rozwieźć ich po kraju.

Promami, łodziami, wpływ

Rozwiązanie problemu okazało się pozorne. Dziś na wzgórzu Gourougou znów stoją namioty i schronienia z płacht brezentowych. Między drzewami, w duszącym dymie ognisk, suszy się pranie. Obozowisko się odrodziło. Jest dwukrotnie mniejsze niż sprzed akcji likwidacyjnej, ale wraz z nadejściem wiosny liczba ludzi przybywa. Na miejsce regularnie przyjeżdża policja, by przymusowo rozwozić migrantów po kraju, a pod namioty podkładać ogień.

Ale migranci wracają, z niesłabnącą determinacją. Część próbuje forsować ogrodzenia dużymi zorganizowanymi grupami. O procederze tym zrobiło się głośno, gdy w noc sylwestrową w 2017 r. zabezpieczenia w Ceucie usiłowało pokonać naraz ponad tysiąc ludzi (udało się tylko dwóm), czemu towarzyszyły gwałtowne zamieszki.

Migranci próbują też ukryć się w samochodach transportowanych promami z Ceuty do Algeciras. Usiłują też przepłynąć wpływ do Ceuty. Albo w miastach północnego Maroka znaleźć przemysłników oferujących łodzie do Tarify. Wszyscy wiedzą, ile ryzykują. Pod koniec sierpnia ubiegłego roku hiszpańska organizacja ratownicza Salvamento Marítimo razem z hiszpańskim Czerwonym Krzyżem tylko w ciągu jednego dnia uratowały u wybrzeży Tarify 600 osób, które wypłynęły łodziami z Maroka.

Według danych Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji w 2017 r. przez morze lub drogą lądową do hiszpańskich eksklaw dostało się blisko 22 tys. migrantów – niemal trzykrotnie więcej niż w roku poprzednim.

W potrzasku pustyni

Migranci dostają się do Maroka, wybierając jedną z dwóch głównych tras: Senegal–Mauretania albo Mali/Niger–Algieria [patrz „TP” 14/2018 – red.]. Jednak przekroczenie granicy Maroka nie przychodzi im łatwo. Tym bardziej że już samo określenie tych granic jest problematyczne.

Statusu Sahary Zachodniej nie zdołało zdefiniować ani 16 lat wojny – między władzami Maroka (pragnącymi widzieć ją w swoich granicach) i dążącym do jej niepodległości Frontem Polisario – ani wysiłki ONZ. Obecnie tereny te znajdują się pod kontrolą Maroka, które uznaje je za integralną część swojego terytorium.

To antagonizuje Maroko z ważnym sąsiadem – Algierią, która dyskretnie wspiera Front Polisario, do dziś gości uchodźców z Sahary Zachodniej i lobbuje za referendum, które miałyby zdecydować o jej ewentualnej niepodległości. Stosunki między Rabatem a Algierem również w innych kwestiach są na tyle napięte, że granica między dwoma państwami pozostaje zamknięta od 1994 r. Długa na 1600 km, jest jednak nieszczelna – co wykorzystują migranci.

W połowie kwietnia 2017 roku dla grupy kilkudziesięciu Syryjczyków ta właśnie granica stała się potencjalnie śmiertelnym potrzaskiem. Opuściwszy Algierię, utknęli na pustynnym obszarze pomiędzy oboma państwami, w palącym słońcu i ze znikomymi zapasami wody i jedzenia. Maroko nie chciało ich wpuścić na swoje terytorium, a Algieria przyjąć z powrotem. Oba państwa były zdeterminowane, by nie tworzyć precedensu – przyszłej furtki dla migrantów. Niewzruszone, wzajemnie zrzucały na siebie odpowiedzialność.

W pomoc Syryjczykom zaangażowali się mieszkańcy pobliskiego miasta Figuig oraz organizacje pozarządowe. Po dwóch miesiącach ich presja przyniosła skutek: 20 czerwca, w dzień niemal symboliczny, bo w Światowy Dzień Uchodźcy – cała grupa została przyjęta przez Maroko. Była liczniejsza o jedną osobę: dziecko, które na pustyni urodziła jedna z Syryjek.

Według danych Biura Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców ONZ (UNHCR) w marcu 2018 r. w Maroku zarejestrowanych było 3012 Syryjczyków, co stanowi 62 proc. łącznej liczby tzw. populacji wymagającej ochrony, czyli osób ubiegających się o azyl. Ale w rzeczywistości może być ich znacznie więcej, bo nie wszyscy się rejestrują.

Tym bardziej że na przyznanie statusu uchodźcy Syryjczycy nie mają co liczyć. Co najwyżej na pozwolenie na pobyt dla migrantów, wydawane na okres trzech lat (z możliwością przedłużenia). Maroko nie jest pod tym względem wyjątkiem wśród państw regionu Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Większość, z obawy przed skutkami politycznymi, oficjalnie przyjmuje nie syryjskich uchodźców, lecz „braci” lub „gości”, którym pozwala zostać na swoim terytorium.

Pomysł na integrację

Zostać na dłużej chcą nie tylko Syryjczycy. Dla wielu przybyszów Maroko jest krajem nie tyle tranzytowym, lecz docelowym.

Według statystyk UNHCR z marca 2018 r. w Maroku jest łącznie 6912 uchodźców i osób ubiegających się o azyl. Po Syryjczykach drugą nacją są Kameruńczycy (666 osób), trzecią Gwinejczycy (582), dalej przybysze z Wybrzeża Kości Słoniowej, Jemenu, Konga, Republiki Środkowoafrykańskiej i Iraku. Wszyscy rozrzucony są po 52 miejscach w całym kraju. Najwięcej zamieszkało w Rabacie (19 proc.) i Casablanca (13,7 proc.).

– Od 2015 do 2017 r. liczba uchodźców w Maroku wzrosła o 300 proc. W ubiegłym roku liczba wnioskujących o azyl ustabilizowała się, ale nie ma wątpliwości, że tendencja będzie wzrostowa – mówi Małgorzata Bratkrajc z biura UNHCR w Rabacie.

W statystykach tej organizacji nie znaleźli się migranci ekonomiczni. Ale także im Maroko ma wiele do zaoferowania.

W 2013 r. Rabat ogłosił „Narodową Strategię Imigracji i Azylu”. Zakłada ona włączenie się władz kraju do pomocy oferowanej migrantom i uchodźcom (we współpracy z organizacjami pozarządowymi), a także dostarczenie nowo przybyłym narzędzi, dzięki którym staną się samowystarczalni. Pomóc w tym mają m.in. szkolenia i doradztwo zawodowe oraz wsparcie dla małych inicjatyw biznesowych.

Już teraz uchodźcy mogą korzystać z szeregu udogodnień, np. wysłać dzieci do szkół publicznych (chodzi o nich 70 proc. dzieci uchodźców), mają też dostęp do podstawowej opieki zdrowotnej. Nie dostają jednak żadnych zasiłków od państwa, podobnie zresztą jak nawet najubożsi Marokańczycy. UNHCR, we współpracy z Fundacją Wschód-Zachód, pomaga im na starcie.



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

– Dysponujemy siedmioma mieszkaniami, w których na krótki czas mogą kwaterować najbardziej potrzebujący: ofiary przemocy, samotne matki z dziećmi, osoby LGBT prześladowane w swoich krajach. Staramy się inwestować w ich przyszłość, np. fundujemy stypendia, z których w roku akademickim 2016-17 skorzystało 422 studentów – mówi Bratkrajc.

Władze Maroka bacznie przyglądają się też migrantom ekonomicznym. Po ogłoszeniu „Narodowej Strategii” w 2014 r. zaczęły tzw. kampanie regularyzacji, umożliwiającą im zalegalizowanie pobytu. Skorzystało z tego ponad 27 tys. osób (z czego 92 proc. uzyskało pozwolenie na pobyt, choć przyjechali do Maroka nielegalnie). W drugiej odsłonie kampanii, w grudniu 2016 r., aplikowało ponad 20 tys. ludzi.

Ale uregulowanie sytuacji wewnętrznej to dopiero początek. Maroko ma ambicje, by w kwestii migracji być wzorem i liderem dla całego regionu. W lutym na szczycie Unii Afrykańskiej premier Maroka Saadeddine Othmani zaprezentował „Afrykańską Agendę dla Migracji”. W odczytanim przez premiera przemówieniu króla Mohammeda VI nacisk położono na konieczność „pozytywnej redefinicji migracji”, która powinna być postrzegana jako zjawisko naturalne i „przebiegać w sposób bezpieczny, legalny, uporządkowany i z poszanowaniem praw człowieka”. Król proponował też utworzenie przy Unii Afrykańskiej urzędu specjalnego wysłannika ds. migracji i powołanie Obserwatorium Migracji w Afryce, które zajmowałoby się monitoringiem sytuacji i wymianą informacji między krajami afrykańskimi (jego siedziba miałaby się znajdować w Maroku).

Nowa strategia Maroka
zakłada m.in. organizację szkoleń i wsparcie dla inicjatyw biznesowych, dzięki którym migranci staną się samowystarczalni. Maroko chce być tu wzorem dla całego regionu.

Coraz więcej małoletnich

Co na to wszystko marokańskie społeczeństwo?

– Większość Marokańczyków traktuje Syryjczyków jak swoich, ze względu na bliskość kulturową, ten sam język i wiarę. Gorzej z migrantami z Afryki Subsaharyjskiej. Oni spotykają się z dyskryminacją i wrogością. Pod koniec 2017 r. w Casablance wybuchły zamieszki między mieszkańcami a grupą migrantów koczujących w parku – mówi Younous Arbaoui z Narodowej Platformy Pomocy Migrantom (sieci zrzeszającej 17 organizacji pozarządowych). Współpracują one na rzecz pomocy migrantom w trzech sferach: prawnej, ochrony dzieci i opieki zdrowotnej. Ostatnio najbardziej palącą potrzebą jest wsparcie małoletnich, którzy nie mają rodziców czy opiekunów.

Małgorzata Bratkrajc potwierdza, że do Maroka przybywa coraz więcej osób poniżej 18. roku życia bez żadnego opiekuna. – Obecnie stanowią ok. 40 proc. z tych, których kwaterujemy w mieszkaniach dla najbardziej potrzebujących – mówi.

Dlatego organizacje pozarządowe zwracają szyki. – W czerwcu planujemy konferencję na temat sytuacji małoletnich bez opiekunów, z udziałem rządu – mówi Younous Arbaoui. – Zarekomendujemy rządowi wprowadzenie Karty Małoletniego, która gwarantowałaby automatycznie opiekę i ochronę, np. pobyt w szpitalu czy dostęp do edukacji, zanim ich wnioszek o azyl zostanie rozpatrzony.

Komisja wstrzymała pracę

Średni okres oczekiwania na decyzję o przyznaniu statusu uchodźcy przez UNHCR wynosi obecnie siedem miesięcy. Po rekomendacji UNHCR podania rozpatruje powołana w 2013 r. Międzyresortowa Komisja Regularyzacyjna przy Biurze Uchodźców i Bezpieczeństwowców. Ale Komisja nie zebrała się od marca 2017 r. – rozpatrywanie przez nią wniosków zostało wstrzymane.

– Przyczyn nie zna nikt, pytania organizacji pozarządowych w tej sprawie pozostały bez odpowiedzi – twierdzi Arbaoui. On sam szczególnie niecierpliwie czeka, aż „Narodowa Strategia Imigracji i Azylu” zostanie przyjęta przez parlament: – Gdy ustawa wejdzie w życie, wszelkie nieuregulowane prawem międzynarodowym kwestie, m.in. status Syryjczyków bądź kwestia łączenia rodzin, nie będą już tak wielkim problemem jak dziś.

Nie wiadomo, kiedy Komisja wznowi pracę ani kiedy parlament zajmie się „Strategią”. Tymczasem jedno nie ulega wątpliwości: w najbliższych miesiącach, a może też latach, to migracja będzie jednym z ważniejszych tematów politycznych w Maroku.

© AGNIESZKA ROSTKOWSKA

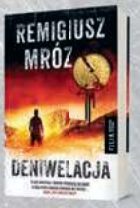
REKLAMA

WIELKI FINAŁ PENTALOGII

Z KOMISARZEM WIKTOREM FORSTEM







Książka do kupienia w salonach **empik**

www.wydawnictwofilia.pl

Nuklearny poker

ROMAN HUSARSKI

Otwartość Kim Dzong Una bywa najczęściej uznawana przez ekspertów za wyraz słabości Korei Północnej. Nic bardziej błędnego.

ZAKOŃCZYŁ SIĘ TRZECI W HISTORII SZCZYT Korea Północna–Korea Południowa. 27 kwietnia w Panmunjom Kim Dzong Un, dyktator Północy, spotkał się z prezydentem Południa Moon Jae-inem. Po raz pierwszy od 65 lat przywódca KRLD odwiedził Południe i skłonił jego lidera do wspólnego przekroczenia granicy. Podpisano nawet deklarację, w której znalazła się wzmianka o denuklearyzacji Korei Północnej.

Sceptycy narzekają, że słowa o rozbrojeniu nie padły z ust Kim Dzong Una i że zapis ten znalazł się na samym końcu deklaracji. Jednakże wszystko wskazuje na to, że już za niecały miesiąc dojdzie do spotkania Kima z prezydentem Donaldem Trumpem, podczas którego pokojowe rozmowy będą kontynuowane.

Historia blefu

Korea Płn. ma długą tradycję zwodzenia ze wewnętrznego świata. Po wojnie koreańskiej (1950-53) skutecznie sprzedawała wizerunek modelowego państwa socjalistycznego. Do tego stopnia, że odwiedzający ją nieliczni goście z Zachodu określali jej gospodarkę jako „cud”. Nie zauważali skutków głodu z 1955 r. (efekt kolektywizacji wsi), jak i wyeksploatowanej siły roboczej. W latach 60. i 70. XX w. Korea z powodzeniem przekonywała świat, zwłaszcza dekolonizujące się kraje Afryki i marksistowskich intelektualistów, że jest państwem kierującym się doktryną samowystarczalności i pełną niezależnością – w rzeczywistości kraj był skrajnie uzależniony od pomocy „bratnich narodów sowieckich”. Po dołączeniu KRLD do Ruchu Państw Niezaangażowanych w 1975 roku Kim Ir Sen promował się jako lider tzw. Trzeciego Świata. Publikowane książki na temat filozofii dżucze miały przedstawić go jako humanistycznego intelektualistę. Ale w sekracie przygotowywano kolejny atak na Koreę Południową.

Zbyt często przypisuje się Koreańczykom brak racjonalności i nie dostrzega ich konsekwentnej polityki. Selig S. Harrison z Woodrow Wilson International Center for Scholars wielokrotnie odwiedzał Koreę. W 1972 r. jako pierwszy Amerykanin po wojnie koreańskiej przeprowadził wywiad z Kim Ir Senem. Spotkania doprowadziły go do poglądu, że zbrojenie nuklearne Półwyspu można zatrzymać. To m.in. on przekonał administrację Billa Clintona, która początkowo rozważała prewencyjne uderzenie na reaktory nuklearne, by rozwiązać problem na drodze dialogu. W myśl porozumienia podpisane go w 1994 r. Korea (w zamian za rezygnację z projektu nuklearnego) miała otrzymać m.in. pomoc paliwową, złagodzenie ograniczeń handlowych oraz gwarancje bezpieczeństwa.

Gdy w Waszyngtonie ogłaszano dyplomatyczny sukces i świętowano początek normalizacji stosunków, wewnętrzna propaganda KRLD zakomunikowała kapitulację jankesów i szydziła ze słabości Ameryki. W tym samym roku Kim Dzong-il ogłosił politykę *songun* („po pierwsze armia”), która dobrze oddawała to, co już od dawna działa się wewnątrz kraju. Militarystyki KRLD i rozwoju technologii nuklearnej nie zatrzymał nawet powszechny głód. Koreańskie dążenie do uzyskania broni masowego zniszczenia dobrze obrazują słowa Zulfikar Ali Bhutto, twórcy pakistańskiego programu atomowego: „Będziemy jeść trawę lub liście, nawet głodować, ale zbudujemy naszą bombę”.

Mistrzowskim posunięciem Pjongjangu była zgoda na rozmowy pokojowe z Koreą Płd. Ukoronowaniem nowej tzw. słonecznej polityki, która miała na celu ocieplenie kontaktów było spotkanie obu przywódców i podpisanie w Pjongjangu Północno-Południowej Wspólnej Deklaracji z 15 Czerwca w 2000 roku, w której obie Koree zadeklarowały chęć współpracy na



rzecz zjednoczenia. Fortel polegał na tym, że KRLD za nic niekosztujące rozmowy i deklaracje przyjęła od Południa gigantyczne pieniądze, które posłużyły do ukończenia projektu nuklearnego. W 2007 r. doszło do szczytu, w którym z Kim Dzong-il spotkał się prezydent Południa Roh Moo-hyunem. Wizytę zakończyła kolejna deklaracja. Również wtedy strona północnokoreańska podnosiła potrzebę formalnego zakończenia wojny i likwidacji arsenałów nuklearnych.

Najnowszy szczyt w deklaracjach jest więc bliski temu z 2007 roku. Trzeba jednak pamiętać, że przez cały ten czas propaganda KRLD w wymyślny sposób przedstawiała zbliżenie jako próbę Południa na wyrwanie się z rąk Wuja Sama. O rezygnacji z atomu mówiono tylko w kontekście... rozbrojenia się Ameryki. Nie raz z dumą komunikowano potęgę własnego kraju, który posiada broń tak potężną, że boją się jej największe mocarstwa.

Kim silny jak nigdy dotąd

Kim Dzong Un od objęcia władzy w 2011 r. długo czekał na pierwszą zagraniczną podróżą. Pogłoski o planowanej delegacji do Pekinu nie sprawdzały się. Nie czuł się jednak pewny na tyle, by zaryzykować opuszczenie posterunku. Dopiero 26 marca tego roku Kim Dzong Un nieoczekiwanie pojawił się w Pekinie, gdzie spotkał się z Xi Jinpingem. Wielu ekspertów komentowało nagłą otwartość Kima jako słabość reżimu, który zmuszony jest iść na ustępstwa.

W rzeczywistości wydaje się być odwrotnie. Kim Dzong Un po dokonaniu wielokrotnych czystek na szczycie jest już na tyle pewny siebie, by swobodnie podróż



Prezydenci Kim Dzong Un i Moon Jae-in na linii demarkacyjnej, Panmunjom, 27 kwietnia 2018 r.

zować. Dzięki jednej z najpotężniejszych armii na świecie i broni nuklearnej jest też w stanie nie tylko pozostać bezkarny w obliczu zarzutów o łamanie praw człowieka, morderstwa polityczne dokonywane w innych krajach i sprzedaż broni Asadowi w Syrii czy Hezbollahowi – może również narzucać swoją wolę społeczności międzynarodowej. Stany Zjednoczone dobrze wiedzą, że atak na KRLD byłby zbyt kosztowny, a jego skutki niepewne. Pozostają im albo sankcje, albo próby dialogu. Spotkanie Kim Dzong Una z Donaldem Trumpem w oczach wielu będzie legitymizacją reżimu.

„Od sojuszników gorszy jest tylko ich brak”, mówił Winston Churchill. Korea Północna jest od lat pariasem Dalekiego Wschodu i nawet stosunki z Chinami, które często wskazywane są jako gwarancja bezpieczeństwa KRLD, nie należą do najłatwiejszych. Dziś jednak Kim posiada najbardziej mu sprzyjający rząd Korei Południowej od czasów „słonecznej polityki”. Moon Jae-in, którego rodzice pochodzili z Północy, już podczas wyborów ogłaszał chęć powrotu do dialogu. Kilkakrotnie rozważał zjednoczenie Półwyspu na zasadach konfederacji – nie odrzucił pomysłu nawet po kolejnych próbach nuklearnych Pjongjangu. Gdy Trump groził na Twitterze „ogniem i furią”, Moon wytknął mu imperialne praktyki naliczania się ze zdaniem Koreańczyków i przypomniał, że „nie dopuści do wojny za wszelką cenę”.

Moon i tak może jednak wydawać się umiarkowanym politykiem. Im Jong-seok, szef sztabu prezydenckiego, który był odpowiedzialny za przygotowanie szczytu pomiędzy oboma krajami, w mło-

dości prowadził propółnocnokoreańską organizację studencką. We współpracy z agentami z Północy w 1989 r. wysłał do Pjongjangu studentkę na antyamerykańską konferencję. Za swoją działalność wywrotową spędził trzy i pół roku w więzieniu. Suh Hoon, nowy szef Narodowych Służb Wywiadu, odpowiedzialny był za zorganizowanie spotkań dwustronnych w 2000 roku. Suh towarzyszył marcowej delegacji do Pjongjangu, którą poprowadził Chung Eui-yong, dyrektor Biura Bezpieczeństwa Narodowego, który od objęcia urzędu zapowiadał nową politykę, w której sport, kultura i spotkania socjalne zastąpią wzajemną wrogość. Dla weteranów „słonecznej polityki” jej przywrócenie pozostaje kwestią obrony honoru. A także opłacalnym biznesem. Koreański naród był już zmęczony napędzającym się kołem politycznej przemocy. Teraz zaś, po szczycie, sondaże Moona poszybowały. Kilka dni temu prezydent uzyskał aż 70 proc. poparcia.

Szczyt północnokoreański był również wizerunkowym zwycięstwem KRLD. Pomimo apeli organizacji praw człowieka temat zbrodni reżimu nie pojawił się w rozmowach ani razu. Politycznie na nowej deklaracji KRLD niczego nie traci, a wiele zyskuje. Podpisanie pokoju i ścisła współpraca z Koreą Płd. zapewnią jej gwarancje bezpieczeństwa od USA, a może nawet doprowadzą do złagodzenia sankcji. Ponowne otwarcie Obszaru Przemysłowego Kaesong i regionów turystycznych również służy interesom KRLD. Kaesong, ze względu na swoją nieprzewidywalność, nie cieszy się szczególnym zainteresowaniem inwestorów. Dla Korei Płd. to bardziej kwestia wizerunkowa, ale dla Korei Płn. – czysty zysk.

Co wobec tego Pjongjang ma zamiar dać w zamian? Czy doczekamy się prawdziwych ustępstw? Samo zadeklarowanie chęci zrezygnowania z broni atomowej to za mało. Nawet zamknięcie stanowiska nuklearnego Punggye-ri niczego nie zmienia. Od października, po katastrofie w tunelu, w wyniku której mogło zginąć ponad 200 osób, stanowisko jest niezdolne do przeprowadzania testów. Dopóki zatem nie zobaczymy rzeczywistych czynów i ustępstw ze strony KRLD, nie ma wielu powodów do radości.

Cele długoterminowe

Pod koniec 2017 r. w Korei Płd. miał premierę „Stalowy deszcz” – kolejny film dotyczący współpracy pomiędzy Koreami. Film opowiada o nieudanym zamachu na Kim Dzong Una (nazywanego w filmie „Numer Jeden”). W obronie lidera stają agent specjalny z Północy i sprytny prawnik z Południa. Film jest intrygujący, nie tylko ze względu na sugestię, że Kim nie jest najgorszym rozwiązaniem, a generałowie, którzy mogliby go zastąpić, byłiby bardziej nieprzewidywalni, ale także dlatego, że kończy się wizją zjednoczonego Półwyspu, w której KRLD jest nuklearno-wojskową siłą obronną Korei.

Moon Jae-in w udzielanych wywiadach i przemówieniach kilkakrotnie rozważał sojusz militarny pomiędzy krajami. Wydaje się jednak, że ma świadomość, iż w przypadku posiadania przez KRLD broni nuklearnej zbliżenie może okazać się niebezpieczne. Choć obie Koree chciałyby konfederacji, to różnią się co do szczegółów. Korei Płd. przede wszystkim zależy na współpracy gospodarczej i stabilnych relacjach. Największą przeszkodą w zrealizowaniu tego planu jest atomowy arsenał Północy. Towarzysze z Pjongjangu chcieliby z kolei konfederacji, której głównym sponsorem staje się Południe. W wizji tej Seul przestaje również blokować północnokoreańską propagandę i uznaje historyczną rację Północy.

Niebezpieczeństw nie brakuje. Hide-shi Takesada, profesor Uniwersytetu Takushoku w Tokio, argumentuje w swoich pracach, że program nuklearny KRLD nie powstał jedynie w celach obronnych, a jego ostatecznym celem będzie podporządkowanie sobie południowych braci. Japoński profesor zwraca uwagę, że KRLD coraz częściej wypowiada się z pozycji siły. Nie trzeba dodawać, że obecne deklaracje Kima postrzega jako wpisujące się w długą tradycję matactw politycznych.

Na razie w Korei Płd. czeka nas dużo entuzjazmu i propagandy sukcesu. Choć najważniejsze spotkanie już za nami, pierwszy w historii szczyt pomiędzy USA a Koreą Płn. również może być spektakularny. Trumpowi zależy, by rozwiązanie (przynajmniej w deklaracjach) problemu Korei odbyło się za jego kadencji. Moon Jae-in zasugerował właśnie, że Trumpowi należy się pokojowy Nobel. Jego słowa to zachęta dla prezydenta USA, by również przyjął ideały „słonecznej polityki”. ©



JUSTYNA GÓRNIAK

Część kolekcji Filipa (rocznik 1981) w nowym muzeum, Sarajewo, listopad 2017 r.

Wojenne dzieci Sarajewa

JUSTYNA GÓRNIAK Z BOŚNI I HERCEGOWINY

Pokazuje je takim, jak widzieli je najmłodsi: Muzeum Wojennego Dzieciństwa. Powstało w stolicy Bośni, której oblężenie – trwające prawie cztery lata – zaczęło się 26 lat temu, wiosną 1992 r.

GDY SĄSIAD PODAROWAŁ MAŁEMU Ljiljanowi jabłko, ten zaraz ugryzł je łapczywie. Nie jadł owoców od dawna. Jego posiłki były monotonne: codziennie fasola z puszki, ryż, chleb. Jabłko to był rarytas.

Ljiljan nie pojął, czemu cała rodzina wybuchła śmiechem. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że usiłuje zjeść woskową temperówkę w kształcie jabłka. – Dziś też się z tego śmieję. Ale wtedy chciałem schować się pod ziemię. Jak mogłem nie zauważyć, że to przedmiot – mówi 33-letni Ljiljan. Na woskowej powierzchni sztucznego jabłka do dziś widać ślady jego zębów.

Filip, rocznik 1981: – Chyba każde dziecko w jakimś momencie zaczyna coś zbierać. Gdy po raz pierwszy ktoś przyniósł nam kawę, makaron i małą puszkę z mięsem, mówiąc, że jesteśmy w kryzysowej sytuacji, pomyślałem, że to szaleństwo, bo za kilka dni sytuacja na pewno się uspo-

koi – opowiada. – Postanowiliśmy z mamą i bratem zachować na pamiątkę tę miniaturową puszkę, bo nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy w sklepach.

Guinness za kolekcję śmieci

Sytuacja się nie uspokoiła. Przeciwnie: słychać było coraz więcej eksplozji. W kwietniu 1992 r. zaczęło się oblężenie Sarajewa przez siły Jugosłowiańskiej Armii Ludowej i Republiki Serbskiej, które miało potrwać aż do początku roku 1996 – wtedy, niedługo po podpisaniu układu pokojowego, wycofały się ostatnie wojska.

W tym czasie w Sarajewie sklepy były zamknięte lub puste, bo brakowało towaru. Sąsiedzi rozdzielali między siebie dostępną żywność. Z czasem ważnym źródłem zaopatrzenia stała się pomoc humanitarna, docierająca do miasta w konwojach.

Filip nie wyrzucał opakowań po jedzeniu, które otrzymywała jego rodzina: – Ciocia pracowała w telewizji. Kiedyś razem z nią odwiedziła nas dziennikarka z Niemiec. Zobaczyła moją kolekcję, już pokazała. Zdziwiła się i zapytała, do kiedy chcę zbierać opakowania. Odpowiedziałem, że albo dopóki nie znajdę się w Księdze rekordów Guinnessa, albo dopóki nie skończy się wojna.

Dziennikarka notowała, zrobiła zdjęcia. Poprosiła, by napisał krótki list o tym, co robi. Po jakimś czasie przyszła przesyłka z dyplomem. Dyplom z 1995 r. głosi, że Filip ustanowił rekord Guinnessa w posiadaniu najbardziej niezwykłej kolekcji śmieci.

Wszystkie opakowania, puszki po konserwach czy etykiety gromadzone przez Filipa pochodzą z paczek humanitarnych dostarczanych mieszkańcom Sarajewa.

Kontur w kształcie serca

Mersiha była nowa w szkole. Jej rodzina uciekła w 1993 r. z miejscowości Donji Vakuf do Bugojna, skąd pochodzi jej mama. Dziewczynka miała wtedy 13 lat.

– Dzieci na początku mnie przeżywały, śmiały się, że jestem uchodźcą. Może dlatego przykładalam się do nauki. Chciałam być prymuską, aby im zaimponować. Od uczenia się przy świeczce, bo rzadko mieliśmy prąd, pogorszył mi się wzrok. W końcu znalazłam nowych przyjaciół.

Czasem, z powodu silnego ostrzału, nie mieliśmy lekcji przez tydzień czy dwa. Jak ja wtedy tęskniłam za szkołą – opowiada Mersiha.

Zaangażowała się w tworzenie szkolnej gazetki. – Jako członkowie zespołu redakcyjnego czuliśmy się bardzo ważni – śmieje się dzisiaj. – Gazetka nazywała się „Pierwsza Miłość”. Koleżanka zrobiła rysunek na okładkę. Namalowała chłopca i dziewczynkę z plecakami, para była otoczona konturem granic Bośni i Hercegowiny.

Niektórym kontur ten przypomina serce.

Przez ponad 20 lat Mersiha trzymała szkolną gazetkę razem z innymi pamiątkami w pudełku pod łóżkiem. Opakowania gromadzone przez Filipa leżały w pudełkach na strychu. Jabłko Ljiljana przez lata stało na półce jako dekoracja.

Dziś wszystkie te przedmioty są częścią zbiorów Muzeum Wojennego Dzieciństwa. Kolekcja liczy ponad 4 tys. eksponatów i wciąż rośnie.

Wspomnienie jak esemes

Jasminko Halilović, rocznik 1988, od dawna myślał o tym, by spisać wspomnienia o dzieciństwie spędzonym w oblężonym Sarajewie. Ale rozmawiając z rówieśnikami zdał sobie sprawę, że każdy nosi w sobie coś niepowtarzalnego. Zdecydował, że zbierze i opublikuje wspomnienia od większej liczby osób.

W 2010 r. przez internet poprosił, aby kto tylko chce i może, odpowiedział na pytanie: „Czym było dla ciebie wojenne dzieciństwo?”. Tylko krótko – w 160 znakach.

Dlaczego Jasminko ograniczył wypowiedzi do długości jednego esemesa? Bo chciał, aby ludzie pisali to, co pierwsze przyjdzie im na myśl, bez zastanowienia. W krótkim czasie na jego skrzynkę mailową zaczęły spływać wiadomości od ludzi rozsianych dziś po świecie.

Maila od Mai czytał wielokrotnie. Nie pamiętał jej, choć pewnie mijali się na ulicy.

Maja napisała: „Ulica Hasana Kikicia, Mirela Pločić, dzień, w którym ją straciliśmy”.

To właśnie jej – Mireli – Jasminko od początku dedykował swój projekt. Była jego sąsiadką i pierwszą dziecięcą miłością. Znał ją z widzenia, wstydził się podejść. Dziewczynka była od niego o kilka lat starsza. Miał nadzieję, że gdy dorosną, różnica wieku nie będzie mieć znaczenia.



Puszka po konserwach z pomocy humanitarnej (kolekcja Filipa) oraz temperówka w kształcie jabłka (podczas wojny własność Ljiljana).



Ale 11-letnia Mirela zginęła – od kuli snajpera, w pobliżu swego domu.

Ostrzał, strach, śmierć i głód, ale też zabawa, przyjaźń i miłość: to jedne z najczęściej powtarzających się słów w książce, która powstała po dwóch latach pracy. „Wojenne dzieciństwo” to mozaika ponad tysiąca krótkich wspomnień o dorastaniu podczas wojny w Bośni i Hercegowinie.

Razem z krótkimi wiadomościami Jasminko czasem otrzymywał też skany zdjęć, dokumentów czy pamiątek. Część włączył do książki – w tym zdjęcie puszek po konserwach z kolekcji Filipa.

Widząc, że wiele osób zachowało nie tylko wspomnienia, ale też przedmioty, Jasminko postanowił je zebrać i upublicznić. Tak narodził się pomysł Muzeum Wojennego Dzieciństwa.

Przekazać, czyli umuzealnić

Do Jasminka dołączyło kilkoro pasjonatów, którzy też uważali, że takie muzeum ma sens.

Na początku ich rozmowy toczyły się przy kawie. – Można powiedzieć, że muzeum powstało w sarajewskich kawiarniach – uśmiecha się Jasminko. – Nie mieliśmy biura, ale pracowaliśmy intensywnie – dodaje.

Przez kilka miesięcy mały zespół, w którym znaleźli się antropologowie, historycy i psychologowie, obmyślał, jak powinno wyglądać takie muzeum. W tym – jak zdobyć fundusze.

Jako pierwsze do zbiorów trafiło kilka rzeczy przekazanych od osób, których wspomnienia znalazły się w książce. Jasminko: – Muzeum wydawało się naturalną kontynuacją książki. Od początku najważniejsze w obu projektach było za-

ufanie ich uczestników. Nasz zespół to również „wojenne dzieci”. Ludzie czuli, że jesteśmy kompetentni, by zająć się tym tematem. Myślę, że to także uczciwość i spójność naszych działań pokazały, iż mogą nam zaufać – zaznacza.

W 2015 r. na konferencji prasowej ogłosili plan założenia muzeum. Przez media tradycyjne i społecznościowe poinformowali, że zbierają przedmioty związane z dorastaniem podczas wojny.

– Powstał nawet neologizm: „umuzealnić”. Bo oddanie przedmiotu do naszego muzeum nie jest tylko prostym aktem donacji – mówi Amina Krvavac, dyrektorka muzeum, od początku zaangażowana w projekt.

Wyleczenie ran

Mersiha: – Moja rodzina musiała opuścić dom i utraciła dorobek życia. Ale i tak miałam szczęście, bo podczas wojny nie straciłam nikogo bliskiego. Szkoła była wtedy dla mnie najważniejsza, dzięki niej zapomniałam, co dzieje się na zewnątrz. Ciężko było mi oddać do muzeum tę szkolną gazetkę. Ona przywołuje ciepłe wspomnienia o nauczycielach i przyjaciółach. Ale to lepsze miejsce niż pudełko pod łóżkiem.

Filip od dawna chciał oddać gdzieś swoją kolekcję: – Nasza szkoła została spalona, długo nie mieliśmy lekcji, co mnie cieszyło. Ale doskwierała mi nuda, nie mogliśmy często wychodzić z domu z powodu ostrzałów. Dzieci z bloku bawiły się więc na klatce schodowej. Musieliśmy →

Filip z dyplomem i Księgą Rekordów Guinnessa, Sarajewo, listopad 2017 r.



JUSTYNA GORNIAK

→ wymyślać sobie zabawy. Najmłodszy może nie rozumieją, czym jest zabijanie, ale zdają sobie sprawę, że coś jest nie tak. Zbieranie, układanie, przeglądanie tysięcy opakowań było dla mnie sposobem nie tylko na zabicie czasu, ale też na to, aby nie myśleć, co się dzieje dookoła.

– Sądzę, że moja kolekcja wiele mówi o tamtym okresie, dlatego chciałem się nią podzielić – mówi Filip. Jednak przez lata nie mógł znaleźć dla niej odpowiedniego miejsca. Gdy powstało muzeum, wiedział od razu, że tam trafią.

Kiedy Ljiljan usłyszał o muzeum, sztuczne jabłko było pierwszą rzeczą, która przyszła mu na myśl: – Nie mam pojęcia, dlaczego. To ciekawe, jak taki mały nieznaczący przedmiot może przenieść do przeszłości i ożywić wspomnienia. Nie, nie było mi trudno rozstać się z jabłkiem, bo zostawiłem przeszłość za sobą i staram się żyć teraźniejszością. Z drugiej strony ciężko ignorować coś, co jest częścią mnie.

– Ci, którzy decydują się coś oddać, dzielą się z nami, obcymi przecież ludźmi, wspomnieniami związanymi z tym przedmiotem. Czasem zabawnymi, czasem tragicznymi – mówi dyrektorka Krvavac. – Często na ich twarzach widzę ulgę. Opowiedzenie swojej historii i poznawanie historii innych to szansa na wyleczenie ran. Z kolei inni podchodzą do tego bardziej racjonalnie: chcą oddać swoją pamiątkę, żeby więcej osób poznało rzeczywistość dorastania podczas wojny. Wiedzą, że jeśli ją zatrzymają, nikt się o niej nie dowie.

Zanim powstało muzeum

Ludzie chcą się dzielić swoimi historiami.

– Przez ponad 20 lat od końca wojny nie było w naszym kraju miejsca pozwalającego na mówienie o przeżyciach – mówi Jasminko Halilović. – Miejsca, gdzie ludzie czują się bezpiecznie i są pewni, że ich opowieści nie zostaną wykorzystane nieodpowiednio, do innych celów.

Jasminko podkreśla, że wielu nie chce upubliczniać swoich wspomnień: – My to szanujemy. Dobrowolność to nasza zasada. Nigdy nie prosiliśmy bezpośrednio nikogo o przekazanie swoich przedmiotów, nawet znajomych czy rodziny.

Kolekcja muzeum szybko rosła: po roku zbiór liczył ponad 3 tys. przedmiotów i dodatkowo 100 godzin nagranych wspomnień. Przedmioty przechowywali w użyczonych pomieszczeniach.

Mały zespół instytucji, która fizycznie nie istniała, postanowił zorganizować



DZIĘKI UPRZEŻMOŚCI MUZEUM

„Pierwsza Miłość”
– gazetka szkolna Mersihy

pierwszą tymczasową wystawę. Trwała 10 dni i przyciągnęła 4 tys. zwiedzających. To ich upewniło, że nie tylko oni widzą sens w powstaniu takiego muzeum.

Instytucje kultury w Bośni i Hercegowinie często są niedofinansowane. Pomysł nowego muzeum wydawał się odważny.

– Od początku zaznaczaliśmy, że jesteśmy neutralni i nie stoimy po żadnej stronie, nie wspieramy żadnej politycznej i etno-nacjonalistycznej narracji – mówi Amina. – Interesuje nas tylko dokumentowanie historii ludzi, którzy jako dzieci doświadczyli wojny.

Amina sądzi, że może również dlatego tak trudno było im znaleźć stałe lokum i fundusze.

Szybko zorientowali się, że nie mogą liczyć na pomoc bośniackich władz i instytucji. Jasminko: – Starając się o zagraniczne fundusze, musieliśmy udowodnić, że projekt ma lokalne poparcie. Popierała nas społeczność, ale władze już nie. To był problem, bo potencjalni sponsorzy mogli myśleć, że coś jest nie tak. Ale udało nam się wykazać, że mamy wsparcie od ludzi i że oni chcą takiego muzeum.

W trakcie poszukiwań stałego miejsca i funduszy głosy poparcia dostawali od ludzi zwykłych i znanych. Były listy otwarte, kampanie w mediach społecznościowych, o pomysły stało się głośno za granicą. Czasem oznaki wsparcia ujawniały się w nieoczekiwany sposób: podczas lokalnego meczu piłki nożnej kibice jednej z drużyn wywiesili na trybunach banner z napisem: „Chcemy otwarcia Muzeum Wojennego Dzieciństwa”.

W końcu zdobyli sumę potrzebną na zabezpieczenie działalności. Fundusze pochodzą głównie od organizacji zagranicznych i międzynarodowych. Pieniądze wpłynęły też ze zbiórki przez platformę crowdfundingową. Udało im się w końcu znaleźć też lokal w centrum Sarajewa – wynajmowany od gminy, na komercyjnych warunkach. Dziś muzeum utrzymuje się również z własnej działalności, sprzedaży biletów.

Godność i pewność

Muzeum działa od stycznia tego roku. W gablotach stoją obok siebie pluszaki, lalki, figurki zwierząt, pamiątniki, walkman, szachy. Są też przedmioty o większych rozmiarach: gitara, rower czy huśtawka. Przy każdym eksponacie można przeczytać związaną z nim historię. Wystawa zmienia się co kilka miesięcy – przestrzeń muzeum jest w stanie pomieścić naraz tylko ok. 50 eksponatów.

– Nasze muzeum to muzeum opowieści. Same przedmioty bez kontekstu nie miałyby znaczenia. To odróżnia nas od innych placówek, skupionych na eksponatach – mówi Jasminko.

Gdy Jasminko zaproponował Aminie dołączenie do zespołu, nie zgodziła się od razu.

– Miałam obawy przez podjęciem tak emocjonalnie ciężkiej pracy, jaką jest dokumentowanie doświadczeń osób dorastających podczas wojny – wspomina dyrektorka. – Jasminko poprosił, żebym na początku przeczytała książkę. Wyłaniają się z niej wszystkie emocje: te dotyczące tragicznych przeżyć, ale i opór, nadzieja, radość. Tak samo jest w muzeum. Przedmioty i związane z nimi historie powodują czasem uśmiech, czasem płacz.

– Nie umniejszając traumy związanej z dorastaniem podczas wojny, chcemy pokazać, że nawet w tak ekstremalnej sytuacji toczy się życie, a dzieci są po prostu dziećmi. Chcą się bawić, nudzą się, mają marzenia – dodaje Amina.

Sanja, która podczas wojny straciła brata, oddała do muzeum prowizoryczną kuchenkę zrobioną przez jej tatę, służącą też za piecyk. Po obejrzeniu wystawy napisała w księdze gości: „Dziękuję za zwrócenie najmłodszym ofiarom ich godności i pewności siebie”.

Od niedawna zespół muzeum dokumentuje też historie dzieci z Syrii i Ukrainy.

WOJCIECH

Bonowicz:

Na wszystko trzeba mieć sposób



MÓJ TATA WYDAŁ WŁAŚNIE KOLEJNĄ KSIĄŻKĘ – zbiór „Opowieści wieczornych”, którymi raczyli się mieszkańcy jego rodzinnej wsi Kwaczały w czasach, kiedy nie było telewizora. Jest tam m.in. historia o miejscowym szewcu, u którego zamówił buty proboszcz

parafii z Babic (do której należała wtedy Kwaczała). Szewc nazywał się Melchior Kowalski i robił buty dwojakiemu rodzajowi: dla zamożniejszych klientów z cienkiej, błyszczącej skóry zwanej boksową, a dla biedniejszych – z grubszej i twardszej zwanej juchtową. Melchior wyszukiwał księdza buty oczywiście z tej pierwszej. Bardzo się nad nimi napracował, ale kiedy wybierał się do Babic, by je wręczyć zleceniodawcy i odebrać zapłatę, żona poprosiła, aby potraktował księdza ulgowo („Ksiądz ołtarzowi służy i z ołtarza żyje, nie żądać więc od niego za wiele”). Proboszcz buty przymierzył, był zadowolony, ale kiedy szewc wymienił cenę, mocno zaniżoną, wpadł w gniew. „W butach za pięć reńskich to chłopci chodzą” – krzyczał. Z wściekłości ściągnął obuwie i cisnął nim o podłogę: „Więcej mi się z takim towarem nie pokazuj!”.

Przez dwa tygodnie Melchior chodził jak struty. Skóra sporo kosztowała, nie miał pieniędzy na nową. W końcu przyszedł mu do głowy szalony pomysł: wziął tę samą parę butów, raz jeszcze starannie napastował, wyglansował, zawinął w papier i poszedł do Babic. Ksiądz długo przymierzał przyniesiony to-

war, w końcu zadowolony zapytał o cenę. „Dziesięć reńskich” – bez namysłu wypalił szewc. Ksiądz się ucieszył, sięgnął po portfel i odliczył żadaną sumę. A na pożegnanie powiedział pojeżdżawczo: „Sam widzisz, że jak człowiek nie krzyknie, nie tupnie nogą, to się z wami ciężko dogadać. Dziękuję, idź z Bogiem”.

Na wszystko trzeba mieć sposób. W Łopusznej była przed laty karczma. Nie stała jednak w centrum wsi, tylko po drugiej stronie drogi prowadzącej z Nowego Targu do Krościenka. Droga z czasem zrobiła się ruchliwa i kiedy chłopci po pijanemu wracali do domów, zdarzało się, że na tej drodze wpadali pod samochody i nierzadko ginęli. W końcu łopusznianki postanowiły zrobić z karczmą porządek. Przygotowały pismo do rady narodowej z wnioskiem o zamknięcie lokalu i zaczęły zbierać podpisy.

Najaktywniejsza w ich zbieraniu była Marysia Klamerusowa. Kiedy stawiała się w urzędzie z podaniem, okazało się, że na liście podpisali się niemal wszyscy dorośli mieszkańcy wsi, nawet największy pijak. Urzędnicy nie mogli wyjść ze zdumienia, ale pismo przyjęli i karczmę wkrótce zamknęto. Ludzie we wsi pytali potem Marysię, jak to zrobiła, że nawet tak wielki pijak poparł akcją trzeźwościową. „Przecie to tak, jakby podpisał na siebie wyrok śmierci” – mówili, nie dowierzając. A Marysia na to spokojnie: „Obiecałak mu ćwiórkę wódki, to mi podpisał”. Znalazł się sposób? No hej. Karczmy do tej pory ni ma.

Słusznie się domyślacie: opowiadam Wam te historie nie tylko po to, żeby Was rozweselić, ale również dlatego, że wybory samorządowe coraz bliżej, a specjaliści od politycznego PR-u podnoszą stawki za swoje usługi i zacierają ręce. Ja specjalistą od politycznego PR-u nie jestem, ale i mnie raz po raz ktoś zagaduje, jak by też można te najbliższe wybory wygrać albo przynajmniej nie przegrać z kretelem. Co mam odpowiedzieć? „Przed wszystkim nie strzelajcie sobie samym w stopy i kolana”? To akurat ci, którzy wybrali się do polityki, powinni wiedzieć już dawno. Ale chyba nie wiedzą. A niektórzy nie wiedzą nawet bardzo, tak bardzo, że aż żal patrzeć.

No więc niech się uczą sprytu politycznego od szewca z Kwaczały albo od kobiet z Łopusznej. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

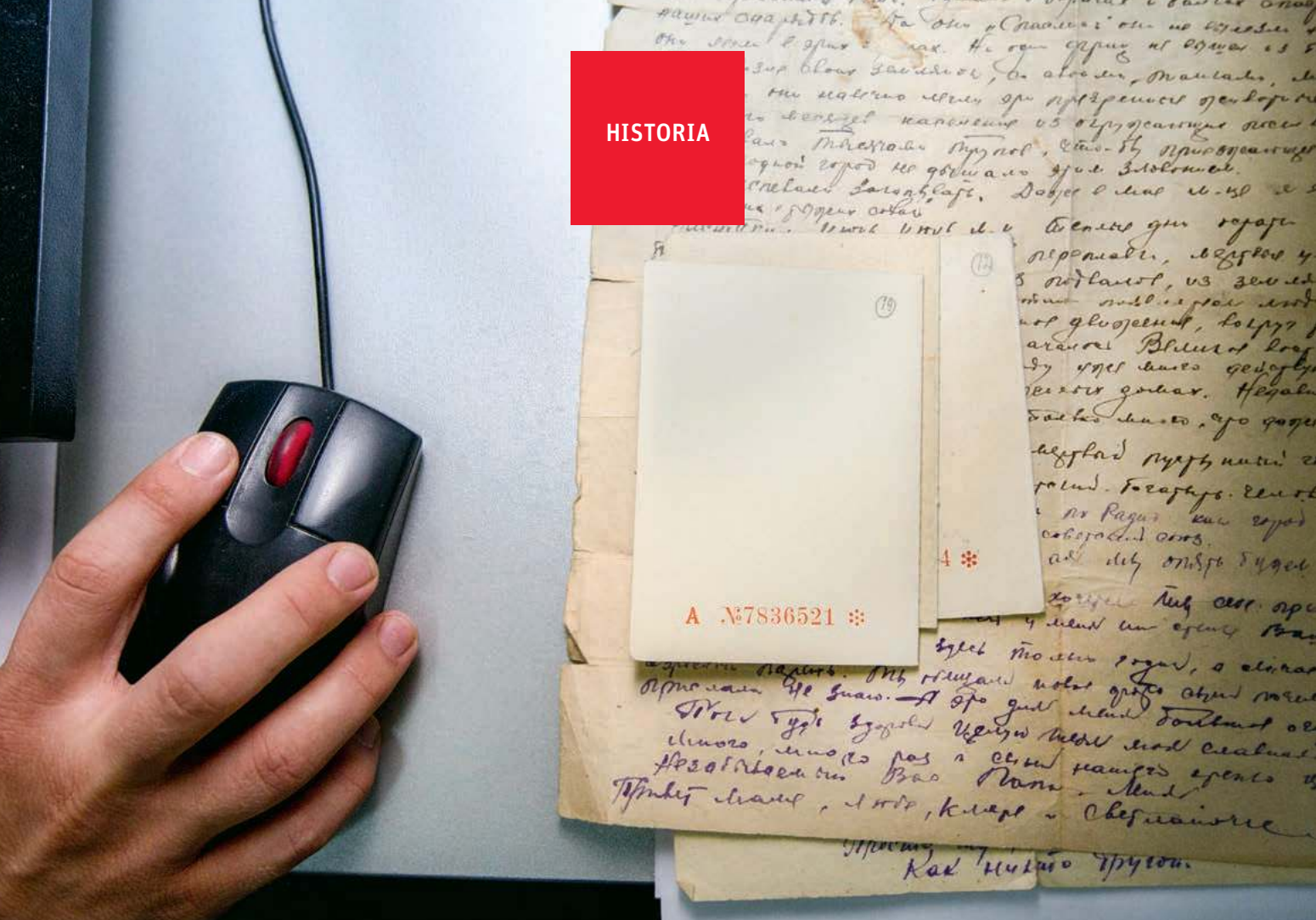
W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 1151/16, toczy się postępowanie z wniosku Impuls-Leasing Polska sp. z o.o. w Warszawie, Getin Noble Bank S.A. w Warszawie, o stwierdzenie nabycia spadku po Bogdanie Józefie Bisie, s. Józefa i Bożeny, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Szymańskiego 1 m. 43, ur. 8 czerwca 1955 r. w Bydgoszczy, zm. 20 września 2015 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 80/18, z wniosku Henryka Józefa Bazela, toczy się postępowanie o uwłaszczenie nieruchomości składającej się z działek gruntu nr 297, 298, o powierzchni 1,32 ha, położonej w miejscowości Józefin, gm. Chełm, pow. chełmski, woj. lubelskie, dla której nie została urządzona księga wieczysta, a której samoistnym posiadaczem była Maria Bazela.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi uwłaszczenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

OGŁOSZENIA



HISTORIA

Analiza dokumentów osób ocalałych z Holocaustu w laboratorium cyfrowym instytutu Yad Vashem, Jerozolima, 2014 r.

CISI SPRAWIEDLIWI

Lista Sprawiedliwych wśród Narodów Świata liczy niemal 27 tys. nazwisk, w tym prawie 7 tys. polskich. Nie jest zamknięta. Problem w tym, że instytutowi Yad Vashem brakuje ludzi i środków, aby ich szukać.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

CZASEM O WSZYSTKIM DECYDUJE PRZYPADOK: kilka zdań z książki, luka w drzewie genealogicznym, plik znalezionych listów. Ktoś połączy fakty z życia dziadków. Ktoś inny zorientuje się, że historia opisana w czyjejś archiwalnej relacji zasługuje na medal. Sprawdzi na stronie instytutu Yad Vashem – i zdziwi się, że nazwiska tam jeszcze nie ma. Napisze do Departamentu Sprawiedliwych w instytucie lub w ambasadzie Izraela.

Jeśli nie napisze – wtedy być może historia nigdy nie ujrzy światła dziennego. Bo instytut Yad Vashem do tej pory bada głównie zewnętrzne zgłoszenia, i to przede wszystkim od samych ocalałych lub ich rodzin.

– Mamy dużo pracy. Prawdę mówiąc, trudno nam nadążyć za zgłoszeniami. Napływają codziennie z całego świata – tłumaczy Irena Steinfeldt, dyrektor Departamentu Sprawiedliwych w Yad Vashem.

Jej samej udało się odnaleźć kilku przyszłych Sprawiedliwych w sytuacjach, gdy na początku był zupełny przypadek.

„Człowiek postępowy”

Z protokołu zeznania, które w sierpniu 1948 r. w krakowskim oddziale Żydowskiego Instytutu Historycznego złożył Dawid Fromowicz (pisownia oryginalna): „26 listopada 1942 roku opuściłem ghetto w Tarnowie i udałem się

wraz z żoną w grupie liczącej 14-cie osób do lasu pod Biadolinami [Radłowskimi], pow. Brzesko k. Tarnowa. Byliśmy uzbrojeni w dwa karabiny ręczne i kilka rewolwerów, broń zakupioną u Antoniego Stolarza, zam. w Biadolinach Radłowskich. Po zastrzeleniu przez nas Niemca, leśniczego, 10 osób z grupy naszej bojąc się obławy wróciło do ghetta, a ja wraz z trzema braćmi i żoną udałem się do Jana Stolarza zam. w Biadolinach Radłowskich, który nas u siebie ukrył w piwnicy. Jana Stolarza znaliśmy z przed wojny, mieszkając z nim w jednej wsi. Był to człowiek stary, podówczas ponad 60-dziesiątkę liczący, przekonań bardzo postępowych”.

Na czym polegała „postępowość” Jana Stolarza, Fromowicz wyjaśnia tak: „W roku 1938 na skutek agitacji endeckiej spotkali się Żydzi zamieszkali w Biadolinach Radłowskich z bojkotem gospodarczym. Kilka rodzin żydowskich posiadało gospodarstwo wiejskie i w czasie żniw na skutek bojkotu, nie mogli Żydzi dostać ludzi do pomocy. Wtedy Stolarz Jan samorzutnie zgłosił się do mojej matki Estery Fromowicz, która też miała gospodarstwo wiejskie, ok. 4-ro morgowe i zaproponował swoją pracę. Nie chciał przyjąć zapłaty”.

Końcówka 1942 r. i połowa roku 1943 upływa Fromowiczowi na serii ucieczek i powrotów do tarnowskiego getta. Gdy 2 września 1943 r. Niemcy zarządzają jego likwidację, Dawid z żoną się ukrywają. Akcja likwidacyjna kończy się 7 września. Dawid zabiera żonę, trzech braci, „jednego chłopca z Łodzi” i „jeszcze jedną kobietę z 7-letnią dziewczynką” – i ucieka do Biadolin Radłowskich.

Wszystkich ośmiu przyjmuje znów Jan Stolarz. Od 8 września 1943 r. do końca okupacji grupa chroni się w Biadolinach, „częściowo w lesie, a częściowo – gdy w lesie nie czuliśmy się bezpiecznie – u Jana Stolarza”. Fromowicz: „Stolarz uzczył nam zawsze schronienia, dostarczał nam wszystkim żywności i stale się z nami kontaktował gdyśmy przebywali w lesie. Stolarz ostrzegał nas zawsze przed obławami i innymi niebezpieczeństwami i donosił żywność do lasu. Byliśmy wtedy bez pieniędzy. Stolarz pomagał nam zupełnie bezinteresownie, nie brał w ogóle pieniędzy za żywność. Mimo zakazu wjeżdżania do lasu wydanego przez Niemców, przywiózł nam sam swoim koniem 20 metrów ziemniaków na zimę”.

„Póki on żyje, my żyć będziemy”

Jan Stolarz pomaga też innym Żydom. Ukrywa się u niego adwokat z Wojnicza, dr Cries. Ktoś to odkrywa i donosi na Polaka. W marcu 1944 r. nadjeżdża policja niemiecka, wyciąga adwokata z kryjówki, a z mieszkania Antoniego Stolarza, syna Jana. Obu, Żyda i Polaka, mordują zaraz przed domem.

Fromowicz i jego grupę ratuje tylko to, że nie ma ich w tym czasie u Stolarzów. Z zeznania: „Słyszałem wówczas t.j. w czasie okupacji, że Stolarz pomaga wielu ukrywającym się Polakom. Stolarz okazywał wielką odwagę i poświęcenie w udzielaniu nam pomocy. Nawet utrata syna, który zginął z powodu ukrywania Żyda, nie wpłynęła na jego postępowanie. Twierdził, że póki on żyje, to i my żyć będziemy. Wierzył w przetrwanie wojny i nadejście Czerwonej Armii i narażał się w dalszym ciągu”.

Wejście armii sowieckiej w styczniu 1945 r. zastało Fromowicza w lesie. Końca wojny nie doczekali jego bracia: Samuel i Leon. „Poświęceniu Jana Stolarza zawdzięczają swe życie prócz mnie: Fromowicz Roman, Fromowicz Chaja, Fromowicz Regina, Fromowicz Bronisława, Heber Mojżesz” – relacjonował.

W swoim zeznaniu Fromowicz dodaje jeszcze, że Jan Stolarz po wojnie trafił do tarnowskiego więzienia, miał być „oskarżony o współpracę z Niemcami”, co – jak zauważa Fromowicz – jest „ironią losu”.

Relację Fromowicza przytacza prof. Barbara Engelking w książce „Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945”. Gdy w 2016 r. książka ukazuje się w angielskim tłumaczeniu, trafia do rąk Ireny Steinfeldt. Historia Fromowicza zwraca jej uwagę. Dyrektorka działu Sprawiedliwych łapie się za głowę: okazuje się, że Jana Stolarza nie ma dotąd na liście Sprawiedliwych.

Steinfeldt dociera do oryginału protokołu zeznania Fromowicza z archiwum ŻIH-u w Warszawie – i od razu rozpoczyna postępowanie w Instytucie. Jan Stolarz zostaje nagrodzony tytułem Sprawiedliwego. Yad Vashem nie odnalazło jednak jego rodziny.

Niedofinansowany departament

Jak to się stało, że Jan Stolarz z Biadolin Radłowskich czekał na uhonorowanie tak długo? Od pierwszego wydania publikacji prof. Engelking w języku polskim minęło przecież siedem lat.

Irena Steinfeldt: – Program Sprawiedliwych w naszym Instytucie bazuje na indywidualnych wnioskach. To znaczy, że przyjmujemy zgłoszenia najczęściej od samych ocalałych lub członków ich rodzin albo od osób, które ratowały Żydów i ich bliskich czy znajomych. Weryfikujemy te informacje, a jeśli spełniają wszystkie warunki – przygotowujemy kartotekę.

Potem, na podstawie dokumentów, decyzję o przyznaniu tytułu podejmuje specjalna komisja.

Ale jest i druga strona medalu: Yad Vashem z zasady nie inicjuje poszukiwań na własną rękę. Jeśli ocalały nie miał żadnego kontaktu z rodziną ratującego albo nie wiedział, kim byli ludzie, którzy mu pomagali, nie znał ich dzieci czy nie wiedział, jak zacząć samodzielne poszukiwania, wtedy nie miał co liczyć na to, że Yad Vashem tę historię odnajdzie sam. Departament musiałby mieć więcej środków i pracowników, aby móc inicjować poszukiwania.

„I mimo zagrożenia”

Irena Steinfeldt przyznaje, że setki nadsyłanych każdego roku wniosków wymagają dokładnych badań, co szczególnie wypełnia grafik pracowników departamentu. Z tego, co mówi, wynika też, że Departament Sprawiedliwych jest niedofinansowany. Steinfeldt: – Ponieważ tych zgłoszeń jest wciąż tak wiele, nie doszliśmy jeszcze do etapu, w którym zmienilibyśmy zasady działania i zaczęlibyśmy poszukiwania na własną rękę. Oczywiście prawdą jest – i to odnosi się do wielu aspektów działalności Instytutu – że jeśli masz więcej środków, możesz przeprowadzić więcej badań, więcej działań edukacyjnych, zebrać więcej dokumentacji itd.

Dodaje jednak, że nie jest prawdą, jakoby pracownicy byli bierni i nie podejmowali poszukiwań w przypadku nowych historii: – Choć program faktycznie bazuje głównie na zgłoszeniach, inicjujemy sprawy, gdy odnajdujemy świadectwa o ocaleniu. Np. pracownicy naszego archiwum są proszeni o zgłoszenia, gdy tylko napotkają na świadectwo o ocaleniu. Kontaktujemy się też z organizacjami ocalałych i prosimy je o współpracę i informowanie członków o naszej działalności, tak aby mogli zgłaszać swoje świadectwa, o ile dotąd tego nie zrobili.

W Yad Vashem wydarzyła się niedawno historia, której pozytywnego zakończenia nikt się nie spodziewał. Na biurko Ireny Steinfeldt trafił – za sprawą polskiego →

→ pracownika archiwum ks. Jakuba Wekslera-Waszkina – plik listów, spisywanych tuż po wojnie aż do lat 60. w języku niemieckim.

Irena Steinfeldt: – Ich autor nazywał się Erich Gottschalk, pisał do Polaka o nazwisku Jan Kuś, zamieszkałego w miejscowości Zabrzeg w powiecie bielskim. Wspominał, że zachował go w pamięci, że jest mu wdzięczny za uratowanie, że chce się jakoś odwdziżyć, przekazać pieniądze. Zorientowałam się jednak, że podane w liście informacje to za mało, by móc założyć Kusiom kartotekę. Byłam sceptyczna, nie sądziłam, że uda się na tej podstawie wszcząć postępowanie. Zaczęłam szukać w archiwum.

Okazało się, że Erich Gottschalk zmarł w Holandii w latach 90. Natomiast Irena Steinfeldt znalazła w archiwum Yad Vashem świadectwo, które dotyczyło innej osoby, ale wspominało o Gottschalku. Część danych się zgadzała. Skontaktowała się z osobą, która świadectwo (po hebrajsku: *dafed*) spisała: mężczyzna okazał się dalekim krewnym Ericha. Jego historię znał mgliście: okazało się, że zakładając po wojnie nową rodzinę w Holandii, Gottschalk nie mówił o swoich ciężkich przeżyciach.

Był niemieckim Żydem, uciekł do Holandii. Tam, już pod okupacją niemiecką, wraz z żoną Rosą i córeczką Rene został złapany i deportowany do Auschwitz. Żona z córką zginęły, jego popędzono w „marszu śmierci”. Po drodze stracił przytomność, upadł w śnieg. Gdy odzyskał świadomość, wkoło było pusto. Poszedł w stronę stodół, które zobaczył na horyzoncie. Wszedł do jednej z nich. „Polak wziął mnie do siebie, i mimo zagrożenia” – pisał w liście. Tym Polakiem był Jan Kuś.

Irena Steinfeldt zaczęła procedurę, w listopadzie 2017 r. małżeństwo Kusiów otrzymało tytuł Sprawiedliwych.

Kilkaset tytułów rocznie

Irena Steinfeldt: – Czasami odnajdujemy jakieś świadectwo sprzed 20 lat, widzimy historię, która zasługuje na uznanie, więc kontaktujemy się z tą osobą i – jeśli jeszcze żyje – pytamy: dlaczego wcześniej nie dałeś nam [Departamentowi Sprawiedliwych – red.] znać? Odpowiedzi są różne: myślałam, że moja mama już do was napisała, nie miałem czasu, nie pomyślałem. Albo: tak, rodzice ocalili, ale jest coś, o czym nie chcieli wspominać w swoim



W archiwum Yad Vashem, podczas przekazywania archiwalnych fotografii, 2011 r.

świadectwie, a co zmienia charakter tej historii.

Aby zacząć procedurę przyznania tytułu, departament – po otrzymaniu zgłoszenia – podejmuje poszukiwania śladów tej historii w różnych źródłach. Sprawą zajmuje się osoba znająca język, w którym zgromadzono dowody. Gdy zbierze się wystarczający materiał, jest kierowany do wspomnianej komisji, której członkami są przeważnie osoby ocalałe z Holocaustu, a przewodniczącym – emerytowany sędzia izraelskiego Sądu Najwyższego. Zebrane dowody jeszcze raz analizuje ten z członków komisji, który zna dany język. Następnie pisze raport i poddaje go pod obrady.

Dużym wyzwaniem jest rozpoznanie motywacji ratujących, sprawdzenie, czy wiedzieli, że ratują Żyda, albo co się działo, gdy ratowanym skończyły się pieniądze. Analiza musi wyważyć wszystkie aspekty danej historii – pamiętając, że mowa o okolicznościach wojny.

Komisja głosuje nad danym przypadkiem, przygotowuje protokół i dopiero po jego akceptacji decyzja staje się oficjalna. Rocznie komisja przyznaje 400-500 tytułów Sprawiedliwych. Zdarza się, że jeden przypadek dotyczy wielu osób ratujących, albo że jakaś osoba była chroniona nie przez jedną, lecz kilka rodzin, wówczas departament szuka informacji także na temat tych osób, których nazwiska były ocalałemu nieznane.

Na stronie internetowej Yad Vashem można znaleźć informacje, jak napisać zgłoszenie (również po polsku). Irena Steinfeldt zapewnia, że analizuje każdą, nawet najmniej rokującą wiadomość: – Dostaję np. maila: mój tata uratował Żyda. I nazwa wioski. Pytam: czy wiesz, jak miał na imię ten Żyd? Odpowiedź brzmi: Mosze. Trudno wytropić z tych danych przebieg historii, prawda? Ale czasem się udaje. Sprawdzam najpierw, ilu Moszech mieszkało w tej wsi. Potem – czy mamy w archiwum jakiegokolwiek informacje ich dotyczące. Taką drogą docieramy czasem do przedziwnych historii. Tak więc nawet z enigmatycznego maila może się wyłonić historia Sprawiedliwego.

Bywa, że po długich poszukiwaniach kartoteka zostaje zamknięta. Następuje to wówczas, gdy motywacje i postępowanie ratujących nie okazały się bezinteresowne. Albo gdy po prostu jest za mało informacji, dowodów.

Irena Steinfeldt: – Rodziny czasem obrażają się, odbierają to tak, że jeśli ich bliski nie otrzymał medalu, to oznacza to, iż miałby być „niesprawiedliwy”, że nie był dobrym człowiekiem. To temat delikatny. Nieuznanie kogoś za Sprawiedliwego naprawdę ludzi rani. Uznaliśmy więc, że procedura zamknięcia niepełnych kartotek pozwoli uniknąć nieporozumień.

Większość ludzi nie wie

O ile przyznanie tytułu odbywa się „odgórnie” – i za życia, i po śmierci osób ratujących – o tyle ich rodziny nie zawsze są odnajdywane. Te, które udaje się odnaleźć i poinformować o przyznaniu tytułu, są zapraszane na wręczenie medalu w Izraelu lub w jego placówce dyplomatycznej.

Jednak w praktyce szukanie rodzin odbywa się niejako przy okazji, jeżeli podczas poszukiwań informacji dotyczących samej historii uda się zdobyć ich adres. Pozostali mogą nawet nie wiedzieć, że w ich rodzinie jest osoba uhonorowana tytułem – pomijając już fakt, że nikt nie organizuje im ceremonii. Ile jest takich przypadków? Nie wiadomo, Yad Vashem nie prowadzi statystyk. Wśród osób zajmujących się tematem mówi się jednak, że to większość uhonorowanych.

Czasem w poszukiwaniu włączają się rodziny ocalałych. Chcą znać swoich „przyszywanych krewnych”. W wielu przypadkach to dzięki ich zaangażowaniu i *de facto* prywatnym śledztwom udaje się odnaleźć ratujących.

Dlaczego szukanie rodzin ratujących nie jest dla Yad Vashem priorytetem? Irena Steinfeldt: – Nie zawsze mamy taką możliwość, by ich odnaleźć. Bazujemy głównie na relacjach ocalałych, a oni nie zawsze mają kontakt z tymi osobami. Przyczyny są różne, np. w czasie komunizmu Polacy bali się utrzymywać kontakty z Izraelem. Znamy też przypadki osób, które nie chciały ceremonii z obawy przed tym, że o ratowaniu przez nich Żydów dowiedzą się sąsiedzi.

„Wzięliśmy go do siebie”

Gidi Poraz jest – jak to się mówi – detektywem historycznym (albo: detektywem genealogicznym). Pracuje także z ocalałymi lub ich rodzinami.

– Szukanie rodzin jest czasochłonne i trudne – mówi Gidi Poraz. – Z łatwością odnajduję nazwiska Żydów, bo wiem, jak dotrzeć do baz danych. Ale z poszukiwaniem np. polskich rodzin jest znacznie trudniej. Dzwonię, piszę, jeżdżę do urzędów z małych miejscowości, przeszukuję archiwa, pytam na forach. Ale jest prawo o ochronie danych osobowych, nie mogę po prostu zbierać tych nazwisk, nie mając np. pozwolenia sądu.

Rodzin Polaków, którzy ratowali Żydów, Gidi szuka bardzo często. Zwykle na zlecenie dzieci lub wnuków ocalałych. Tak było z rodziną Tornów: skontaktowali się z Gidim, bo chcieli odnaleźć rodziców Waldka-Izraela.

Poraz: – On miał pięć lat, gdy wraz z rodzicami zamknięto go w warszawskim getcie. Matka wychodziła co chwilę poza getto po jedzenie. Miała polski wygląd, mogła przechodzić niezauważona. Pewnego razu po prostu zniknęła. Niedługo potem Niemcy zamordowali ojca. Waldek został sam.

Z oświadczenia Zofii i Stanisława Pszkitów, poświadczonego notarialnie w 1958 r. w Warszawie (pisownia oryginalna): „Waldemara Torna, ur. w 1935 r. znaleźliśmy we wrześniu 1943 r. (...), ukrytego w krzakach, po jego ucieczce z miejsca, w którym zabito jego rodziców. Wzięliśmy go do siebie i przechowywaliśmy przez cały czas okupacji. W okresie od Powstania w Warszawie t.j. od sierpnia 1944 r. do lutego 1945 r. był on razem z nami w obozie pracy na Bielanach koło Warszawy. W czasie, gdy ukrywaliśmy go u siebie, nie mogliśmy posyłać go do szkoły z powodu jego żydowskiego pochodzenia”.



Zofia i Stanisław Pszkitowie

ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY TORNÓW

Gidi: – Zofia powiedziała Waldkowi, że nie może ujawniać swojego prawdziwego imienia [Izrael – red.], jak i tego, że jest Żydem. Po latach przypomniał sobie, że w tamtym okresie spotkał na ulicy kobietę, która zadała mu dokładnie te dwa pytania. Odruchowo zaprzeczył. Potem przez całe życie myślał, że tą kobietą mogła być jego zaginiona mama. Nie mógł sobie darować, że nie powiedział jej prawdy.

Waldek miał przeczyć, że matka żyje. Gidi szukał jej długo. Dotarł do informacji, że ojciec mężczyzny był wcześniej żonaty i miał dwójkę dzieci. Przeżyli, w Izraelu założyli rodziny. Waldek nie zdążył się z nimi zobaczyć, mógł jednak spotkać się z ich wnukami. O matce nie dowiedział się niczego.

„Jesteśmy przecież rodziną”

Gidi: – Wówczas, w październiku 2016 r., poprosił mnie, abym złożył w Yad Vashem wnioski o przyznanie Zofii i Stanisławowi Pszkitom tytułu Sprawiedliwych. Bardzo szybko do tego doszło. Zaczęliśmy szukać ich rodziny. Trwało to ponad rok i było skomplikowane. Maile z informacją o Pszkitach rozsyłałem po całej Polsce. Wreszcie udało mi się ich odnaleźć.

– O tym, że pan Waldek żyje i szuka z nami kontaktu, dowiedzieliśmy się pod koniec ubiegłego roku. Byliśmy zaskoczeni, szczególnie że nie żyje już nikt ze starszego pokolenia, kogo moglibyśmy zapytać o szczegóły – pisze w mailu Magda-

lena Królik, wnuczka Bolesława, starszego brata Stanisława Pszkitów. – Pamiętam Stanisława z czasów mojego dzieciństwa, gdy dziadkowie mieszkali w sąsiednim domu przy ul. Chmielnej. Nawet jeżeli dziadkowie wiedzieli, że Stanisław z żoną ukrywają Waldka, to na pewno nie powiedzieli o tym swoim córkom. Mama opowiadała, że Zofia płakała długo po wojnie, po tym, jak Waldek został zabrany z ich domu i zawieziony do Izraela. Kilka lat po wyjeździe z Polski utrzymywali korespondencję, ale później listy przestały przychodzić, czemu winna była komunistyczna cenzura.

Magdalena pisze, że jest jej przykro, iż Pszkitowie nie dożyli uznania ich zasług. Jest pewna, że najważniejsza byłaby dla nich informacja, że „ich” Waldek jest szczęśliwy, że założył w Izraelu rodzinę.

Magdalena nawiązała kontakt mailowy z rodziną Waldka Torna. Przesyłają sobie zdjęcia rodzinne, utrzymują relację. – W końcu – pisze w mailu – w jakimś sensie jesteśmy przecież rodziną.

Gdy odchodzą świadkowie

Gidi Poraz zabiega o to, aby instytut Yad Vashem zorganizował wkrótce ceremonię przekazania medalu bliskim Zofii i Stanisława. Do Jerozolimy na zaproszenie rodziny Tornów przyjedzie 89-letnia Barbara (matka Magdaleny) z dwiema wnuczkami. Dla obu rodzin to wielkie wydarzenie.

Pytanie, ile takich spotkań nie dojdzie do skutku wobec upływającego czasu, umierających świadków czy przypadków, które nie zechcą się wydarzyć, by odpowiednie dokumenty mogły trafić do Yad Vashem.

Bez wątpliwości ekipa Ireny Steinfeldt wykonuje wielką pracę, aby zachować pamięć o Sprawiedliwych. Jednak wszystko jest kwestią priorytetów: Yad Vashem, finansowany z pieniędzy rządowych i donacji, jest dziś zaangażowany w wiele projektów na rzecz zachowania pamięci o Holokauście (np. budowanie bazy danych o ofiarach). Może więc pamięć o zmarłych jest ważniejsza niż pamięć o ratujących? Bez wątpliwości Izrael może zrobić więcej, aby tej pamięci pomóc. To ostatni dzwonek.

Irena Steinfeldt: – Zdaję sobie sprawę, że Sprawiedliwych jest znacznie więcej. Nie mam pojęcia, ilu. Potrzeba nam czasu, zgłoszeń, badań. A jednak z roku na rok tracimy ostatnich świadków i ocalałych. Dlatego dotarcie do nich i ich świadectwo jest dla nas priorytetem. Robimy, co możemy. © KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

ZŁOTE JABŁKA HESPERYD

Cytrusy, powszechnie znane
i hodowane od tysięcy lat rośliny,
dopiero teraz zaczęły odsłaniać
przed nami tajemnice
swojego pochodzenia.

SYMON DROBNIK



KIEDY KRÓL EURYTEUSZ KAZAŁ HERAKLESOWI przynieść w ramach jednej z jego prac jabłko z tajemniczego ogrodu Hesperyd, nie zdawał sobie pewnie sprawy z botanicznego *faux pas*, które popełnił. Oczywiście, nie nam oceniać naukową poprawność przynależności gatunkowej owoców strzeżonych przez nimfy zachodzącego Słońca, Hesperyd. Większość mitoznawców zgadza się jednak, że to nie jabłka były owocami rozsławiającymi ten leżący w północnej Afryce u stóp gór Atlas ogród. Do jego geograficznego położenia, a także do opisu samych owoców (według mitologii były złociste, kuliste i miały obezwładniająco piękny zapach) najbardziej pasuje zupełnie inna, równie popularna i rozpoznawalna grupa owoców, rodzonych przez rośliny z rodziny rutowatych. Dającym wieczne życie „jabłkiem” Hesperyd oraz odpowiedzialnym za wojnę trojańską „złotym jabłkiem niezgody” był najprawdopodobniej owoc rośliny z rodzaju cytrus (łac. *Citrus*).

Ale owoc cytrusowy był jabłkiem niezgody nie tylko dla Hery, Ateny i Afrodyty – jest nim od dawna także dla badających go botaników. I chociaż wiele ścieżek prowadzących od pierwotnych przodków cytrusowej rodziny do znanych nam współ-

cześnie ich przedstawicieli pozostaje niezbadanych – mamy obecnie coraz więcej informacji i danych genetycznych, by zrekonstruować ogólną historię tej fascynującej grupy roślin użytkowych. Wylania się z tych danych obraz bardzo skomplikowanej sieci powiązań genealogicznych, łączących ze sobą zarówno gatunki doskonale nam znane z targów i supermarketów, jak i te mniej popularne i rzadziej spotykane w handlu.

Pomarańczowe jagody

Cytrusy to rośliny pełne sprzeczności i niezwykłych, rzadko spotykanych cech. Zacznijmy od tego, że ich owoce – choć zupełnie nie kojarzą nam się z borówkami czy pomidorami – są podobnie jak one jagodami. Z botanicznego punktu widzenia jagoda to po prostu wyjątkowo mocno mięsisty rodzaj owocu, w którym cała zalążnia przekształca się w pełną miąższu strukturę, wypełnioną licznymi nasionami i pokrytą niezbyt grubą, niezdrewniałą skórką. Jagodą jest więc borówka, pomarańcza czy cytryna – ale też ogórek, dynia, cukinia, żurawina czy kaczek. Jagody powstały w toku ewolucji jako narzędzie manipulacji zwierzętami i są najczęściej niezwykle kolorowe oraz

zasobne w cukier, wodę i inne substancje o kuszącym smaku i zapachu. Jedynym celem jagody jest bycie zjedzoną i wyprawienie zawartych w niej nasion w podróż wewnątrz przewodu pokarmowego jagodowego smakosza. Oddalając się od rośliny macierzystej, wydała on zjedzone nasiona wraz z odpowiednią ilością żywnego, odżywczego nawozu, rozsiewając je i niosąc znacznie dalej, niż mogłyby same się przemieścić za pomocą innych znanych roślinnych mechanizmów rozsiewania nasion.

Zerknijmy zatem do wnętrza cytrusowej jagody – bo jedno trzeba przyznać: jest to jagoda niezwykła (dzięki czemu zasłużyła też na osobną nazwę, *nomen omen*, tzw. *hesperidium*).

Na zewnątrz takiego owocu mamy egzokarp – zwany też u cytrusów flawedo. O flawedo wszystko mówi jeden prosty eksperyment: bierzemy do ręki skórkę pomarańczy i ściskamy, patrząc na nią pod światło. Potraktowana w ten sposób zewnętrzna warstwa pomarańczy eksploduje setkami mikroskopijnych gejerów, wyrzucających miniaturowe fontanny przejrzystego płynu. Nieopatrznie zbliżenie skórki do oczu może się skończyć źle: flawedo jest bowiem odbezpieczonym pi-



Peter Paul Rubens, „Sąd Parysa”,
ok. 1638–1639, ze zbiorów Muzeum
Narodowego Prado

nym stopniu ich ekologiczne uwarunkowania – oraz przede wszystkim ewolucyjna historia tej grupy roślin.

Miejscem pierwotnego położenia cytrusowego drzewa ewolucyjnego jest Azja Południowo-Wschodnia, blisko lądowej granicy oddzielającej Półwysep Indochiński od reszty kontynentu. To tam narodziły się pierwsze cytrusowe gatunki – i stamtąd rozpoczęły one swój marsz, niejednokrotnie wspierane przez kolonizacyjne i migracyjne zapędy ludzi. Znalezione obecnie gatunki i odmiany cytrusów naukowcy wywodzą z trzech głównych pni ewolucyjnych, których bezpośrednimi przedstawicielami są obecnie: cytron (*C. medica*), pomelo (*C. maximum*) oraz mandarynka prawdziwa (*C. reticulata*). Od czasów niedawnej rewizji cytrusowego drzewa ewolucyjnego dodano do niego także jeszcze jeden rodzaj (kumkwat, czyli *Fortunella*).

Pierwotni przedstawiciele cytrusów to gatunki bardzo zróżnicowane. Mandarynki nikomu przedstawiać nie trzeba – dwa pozostałe owoce nie są już tak popularne i rozpowszechnione. Cytron to aromatyczna, ale posiadająca znacznie mniej miąższu bliska krewniaczka cytryny. Hodowany głównie dla aromatycznej skórki cytron znany jest ze swojej niezwyklej odmiany mutacyjnej, zwanej „ręką Buddy” (dzięki licznym, powykręcanym rozgałęzieniom tego owocu przypominającym palce). Wreszcie pomelo – to największy owoc cytrusowy. Często waży ponad kilogram, z czego sporą część stanowi bardzo gruba, 2-3 centymetrowa warstwa flawedo i albedo.

No dobrze – skąd w takim razie wzięły się inne bliższe nam i chętniej spożywane gatunki cytrusów?

Zanim przyszedł człowiek

Skomplikowana sieć połączeń między znanymi obecnie gatunkami roślin z grupy cytrusów zakorzeniona jest właśnie w trzech głównych gatunkach wyjściowych, z których krzyżówki oraz epizody tzw. apomiksji (bezpłciowego rozmnażania polegającego na produkcji nasion bez zapylania) stworzyły współczesne bogactwo cytrusowego królestwa. ➔

stoletem, naładowanym miksturą kilkudziesięciu drażniących nasze oczy i nos substancji. Są wśród nich olejki eteryczne – nadające owocom cytrusowym doskonale nam znany aromat i ostry smak, i jednocześnie zabezpieczające ich skórę przed wysychaniem w ostrym, podzwrotnikowym klimacie. Eteryczne skarby cytrusowych skórek to w przypadku wielu gatunków (np. cytronu, wielu limonek, limekwat, yuzu) najważniejsza wykorzystywana praktycznie część owocu.

Pod skórą znajduje się albedo (przekształcony mezokarp). Jest to z reguły najmniej lubiana i często usuwana część owocu, zresztą niesłusznie. Albedo, choć gorzkie i włókniste, jest bardzo bogatym źródłem pektyn, flawonoidów oraz terpenów – związków poprawiających sprawność naszego przewodu pokarmowego, stymulujących układ odpornościowy oraz usuwających z organizmu wszystkie szkodliwe substancje utleniające (oksydanty).

Azjatyckie korzenie

Najgłębiej znajduje się endokarp – cienka błonka osłaniająca każdą cząstkę owocu cytrusowego, wywodząca się z wewnętrznej ścianki zalążni owocującego kwiatu. Wrasta ona do wnętrza każdej cząstki

owocu setkami maleńkich, jednokomórkowych włosków, które ulegają rozdzieleniu i wypełniają się sokiem bogatym w cukier, kwas cytrynowy i barwniki, stanowiącym najcenniejszy chyba element cytrusowego owocu. Pomiedzy nimi, blisko centralnej osi owocu, rozmieszczone są nasiona. No właśnie – nasiona cytrusów to dość rzadko spotykany element owocu we współcześnie uprawianych i dostępnych w sklepach gatunkach i odmianach, które dzięki latom ostrożnej selekcji utraciły wiele kłopotliwych cech – w tym zdolność produkcji nasion irytujących amatorów cytrusów.

Współcześnie ten niezwykle zestaw owocowych cech trudno przypisać do konkretnej lokalizacji geograficznej – kupując cytrusy rzadko zastanawiamy się nad ich pochodzeniem. Poza tym, będąc symbolem egzotycznych owoców w krajach o umiarkowanym i chłodnym klimacie, cytrusy stały się najbardziej chyba demokratycznymi owocami świata: sok pomarańczowy jest równie łatwo dostępny w lodówkach polarników na norweskim Spitsbergenie, jak i w przybliżonym barze nad lazurowymi wodami Szeszeli. Za tak szerokie rozprzestrzenienie się i udomowienie cytrusów odpowiadają w pew-

→ Pierwotnie cytrusowi przodkowie występowali najpewniej w północnej części Półwyspu Indochińskiego – to stamtąd prowadzą genetyczne ścieżki ewolucji rodzaju *Citrus*, podążające ściśle za najważniejszymi korytarzami geograficznymi w regionie (wzdłuż największych rzek oraz poprzez cieśniny oddzielające od siebie wyspy Indonezji). Pierwotne wyście cytrusów z ich indochińskiego maciecznika szacuje się na okres ok. 8 mln lat temu, a główny etap ich radiacji – różnicowania się na kolejne odmiany i gatunki – na późny miocen, ok. 4-6 mln lat temu. Sam proces przebiegał niezwykle szybko jak na standardy ewolucyjnych skał czasowych. W przeciągu niespełna 2 mln lat doprowadził do powstania doskonale nam znanych jadalnych gatunków, takich jak grejpfrut, słodka pomarańcza czy cytryna. Tendencje cytrusów do wspomnianego bezpłciowego rozmnażania apomiktycznego tylko przyspieszały proces różnicowania się, tworząc liczne, blisko spokrewnione taksony, z łatwością ulegające krzyżowaniu. Późniejsze procesy związane już z ingerencją człowieka oraz udomowienie mandarynek i pomarańczy doprowadziły do powstania całej kolekcji odmian i mieszańców tych jadalnych owoców, różniących się smakiem, poziomem kwasności, kolorem czy zawartością wody.

Z genealogii limonki

Większość najpopularniejszych obecnie owoców cytrusowych to krzyżówki pierwotnych trzech gatunków, różniące się liczbą krzyżowań od ostatniego „czystego” przodka oraz kierunkiem krzyżówki (czyli tym, który rodzic w krzyżówce dostarczał pyłku, a który był tzw. rodzicem nasiennym – dostarczającym zalążka). I tak np. z połączenia pomelo i pyłku mandarynki powstała kwaśna pomarańcza – prekursora cytryny (krzyżówki kwaśnej pomarańczy i cytronu). Z kolei pyłek mandarynki zapylających nieznaną współcześnie krzyżówkę mandarynki i pomelo dał w rezultacie słodka pomarańcza – dominującą obecnie na cytrusowym rynku (jej bardzo popularną mutacją jest tzw. krwawa albo czerwona pomarańcza, o intensywnie krwistoczerwonym miąższu).

Pomarańcza nie zaprzestała swojego pochodzenia przez kolejne mieszańce: po skrzyżowaniu się po raz kolejny z pomelo dała w rezultacie grejpfruta, cytrusa o charakterystycznym gorzkawym smaku.



Owoc pomelo, chromolitografia, ok. 1885 r.

Z połączenia pomelo i pyłku mandarynki powstała **kwaśna pomarańcza**, prekursora cytryny (krzyżówki kwaśnej pomarańczy i cytronu).

Osobną historią są limonki – wywodzone z tzw. papedy i powstałe przez jej krzyżówki z cytronem. Z szeregu innych połączeń pochodzą takie egzotyczne rzadkości jak tangelo, cytryna Meyera czy limekwat (krzyżówka limonki i niewielkiego, przypominającego śliwkę kumkwatu).

Czy ta szybka radiacja cytrusów oraz eksplozja ich różnorodności i przydatności spożywczej miały jakiekolwiek podłoże ekologiczne i środowiskowe? Okazuje się, że na długo zanim człowiek zaczął swoimi sprytnymi metodami rolniczymi wpływać na ewolucję cytrusów, znaczący ślad w ich ewolucji pozostawiły zmiany klimatyczne oraz postępujące ocieplenie wschodnioazjatyckiego wybrzeża. Dla cytrusów charakterystyczna jest preferencja ciepłych, ale też umiarkowanie wilgotnych warunków klimatycznych. Są one doskonale do takich warunków przystosowane: gruba warstwa wosku pokrywa ich liście i łodygi, zapobiegając parowaniu wody. Dodatkowym zabezpieczeniem są olejki eteryczne, wydzielane w ich owocach i liściach, tworzące wokół rośliny lotną otoczkę, także spowalniającą parowanie. Będąc stosunkowo tolerancyjnymi, cytrusy nie są jednak sukulentami (do których należą m.in.

baobaby), słynącymi z umiejętności przetrwania przy ograniczonym dostępie do wody – każde zaburzenie optymalnego rytmu temperatury i wilgotności to dla nich wyzwanie. Z radiacją cytrusów pokrywa się dość drastyczna zmiana w intensywności monsunów – okresowych oscylacji klimatu charakterystycznych dla Azji Południowo-Wschodniej. Ich osłabienie doprowadziło do znacznego wysuszenia klimatu, promując ewolucyjne zmiany zwiększające adaptację do suchych warunków i przyspieszające gwałtowne różnicowanie się cytrusów na ich liczne mieszańcowe linie.

W stronę cytrusa idealnego

Działalność człowieka nie była tutaj bez znaczenia. Słodkie, pożywne i zasobne w witaminy cytrusy stanowiły prawdziwy spożywczy skarb (zupełnie jak mityczne jabłka Hesperyd!) – miały jednak wiele cech niekoniecznie pożądanых przez wybrednych i inteligentnych roślinożerców. Ludzie starali się więc ukierunkować cytrusowe cechy ku mniejszej kwasności owoców, większej proporcji miąższu w stosunku do grubości skórki oraz... bardziej atrakcyjnego, mniej zielonego koloru, tak ważnego w handlowym obrocie owocami. Liczne próby stworzenia cytrusa idealnego skutkowały powstaniem sieci blisko spokrewnionych odmian, głównie w grupie mandarynek. Selekcja wprowadzana przez człowieka była bardzo konsekwentna – np. próbując zmniejszyć kwasowość owoców przez wprowadzenie genów słodkiego pomelo, hodowcy nieświadomie sterowali ewolucją pewnego enzymu, odpowiedzialnego za produkcję nadającego cytrusom smak kwasu cytrynowego. Z kolei selekcja na kolor skórki przede wszystkim kształtowała grupy genów odpowiedzialne za syntezę karotenu oraz szybszy rozkład zielonego chlorofilu, obecnego w skórce niedojrzałych cytrusów.

Z tego skomplikowanego i ciągle mocno aktywnego połączenia setek genetycznych ścieżek powstał bulgoczący kocioł roślinnej ewolucji, a cytrusy osiągnęły niezwykle stopień zróżnicowania i bogactwa form, z których korzystamy do dziś.

Pewnie nigdy się nie dowiemy, które z nich były mitycznymi jabłkami wiecznego życia i trojańskiej niezgody. Rajskie czy nie, cytrusy z pewnością nie stracą swojej pozycji w poczcie jadalnych owoców świata.

© SZYMON DROBNIĄK

Odłamki nieznanej przyszłości

ŁUKASZ LAMŻA

Zegary jądrowe, nanomaszyny z DNA, kwantowy generator liczb losowych – te wynalazki z osobna brzmią umiarkowanie interesująco, ale postawione obok siebie jeżą włos na głowie.

TRUDNO ODGADNAĆ PRZYSZŁOŚĆ. PRZE-widzieć, co okaże się wielkim wydarzeniem transformującym dzieje ludzkości, a co – choćby brzmiało fascynująco – ślepą uliczką. Kiedy więc czytamy bieżące doniesienia naukowe, nie da się powiedzieć, które z nich będzie za dziesięć lat (bo tempo zmian jest dziś takie, że mowa właśnie o dziesięciu latach, a nie o nieokreślonej „dalekiej przyszłości”) kluczową cegiełką tego wielkiego-czegoś, co zmieniło nasze życie. A perspektywy są rozległe. Ot, parę wybranych na chybił trafił doniesień z samego tylko kwietnia 2018 r.

Grupa naukowców donosi w „Nature Nanotechnology” (J. Valero i in. „A bio-hybrid DNA rotor-stator nanoengine...”) o skonstruowaniu nanosilniczka zdolnego do przesuwania się wzdłuż nici DNA wyłącznie dzięki energii chemicznej. Jest to interesująca hybryda mechaniczno-biologiczna. Z jednej strony ma ona stator i rotor – jak silnik do kosiarki (tylko jest od niego 10 mln razy mniejsza). Z drugiej – elementy te wykonane są z DNA (!), a „jądrem energetycznym” całej maszyny jest naturalnie występujący w komórkach żywych enzym.

Inni badacze (J. Thielking i in. „Laser spectroscopic characterization of the nuclear-clock...”) konstruują zabawki w jesz-

cze mniejszej skali. Okazuje się, że jeden z izotopów pierwiastka toru (^{229}Th) może służyć za zegar, dokładniejszy o wiele rzędów wielkości, a także znacznie stabilniejszy od istniejących zegarów atomowych, co otwiera drogę do „zegarów jądrowych”.

Jeszcze inna grupa (H.E. Lee i in. „Amino-acid- and peptide-directed synthesis of chiral...”) przez ładnych parę lat bawiła się w tworzenie nanokryształków złota, które narastały na ziarenku („zarodku”) zbudowanym z aminokwasów albo ich prostych związków – peptydów. Występują one w dwóch postaciach, różniących się kierunkiem, w jakim są skręcone, czyli chiralnością. Okazuje się, że grudki złota „wyhodowane” na tych cząsteczkach kopiują po nich kierunek skręcenia. Zastosowanie? Chociażby „skręcanie” fali świetlnej: materiał zbudowany z tak powstałych nanogrudków złota może posłużyć do bardzo precyzyjnego manipulowania światłem.

Jedziemy dalej? Na Uniwersytecie w Kolorado stworzono (P. Bierhorst „Experimentally generated randomness certified...”) najlepszy generator liczb losowych na świecie. Naukowcy posłużyli się laserem wywołującym emisję dwóch fotonów

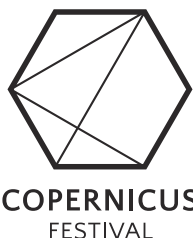
połączonych ze sobą poprzez szczególny efekt kwantowy nazywany splątaniem. Z kolejnych par takich fotonów możliwe jest wydobywanie „naprawdę losowych” bitów. Tak bardzo losowych, że – jak zauważają z dumą autorzy – wydobyć porządku z wygenerowanego przez nich ciągu 1024 zer i jedynek wymagałoby złamania elementarnych praw fizyki. Tego typu procedura ma olbrzymie znaczenie dla kryptografii, czyli bezpieczeństwa danych i komunikacji.

A na koniec najbardziej chyba gadzeciarsko brzmiący wynalazek: udało się (G. Scuri „Large excitonic reflectivity of monolayer MoSe_2 ...”) stworzyć materiał o grubości pojedynczego atomu, który zachowuje się jak lustro. Mowa o związku o nazwie diselenek molibdenu, który tworzy sieci krystaliczne przypominające grafen: cieniutkie, ale rozciągające się dowolnie daleko w dowolnym kierunku płachty o grubości zaledwie jednego atomu. Zwykle tak cienkie struktury są przezroczyste (przepuszczają światło) lub nieprzezroczyste (pochlaniają je). Tym razem udało się jednak wywołać odbicie światła, choć trzeba dodać, tylko o ściśle określonej długości fali.

Ufff... głowa mała, prawda? Nawet przy założeniu, że zrozumieliśmy wszystkie te doniesienia, szalenie trudno wyobrazić sobie, jakie właściwie jest ich znaczenie. W zwyczajowo podawanej na końcu artykułu liście potencjalnych zastosowań znajdują się najczęściej liczne, mało precyzyjne, ogólnikowe zapewnienia. Czasem może oczywiście chodzić o to, że równolegle trwają prace wdrożeniowe, które mają zakończyć się patentem – w takim razie nie wypada odkrywać kart. Najczęściej jednak sami autorzy nie mają pojęcia, jakie zastosowania dla ich wynalazku znajdują inżynierowie przyszłości. Możliwości jest po prostu zbyt dużo. Tego nikt nie ogarnia. ©

*Czy nanogrudki złota będą „skręcać” światło?
To jeden z nowych pomysłów naukowców.*





COPERNICUS
FESTIVAL

ZWYCIĘZCY MAJĄ FARTA

Według Roberta Franka o sukcesie ekonomicznym decyduje przypadek.
Trudno jednak nam w to uwierzyć,
co prowadzi do szkodliwych konsekwencji społecznych.

MARCIN GORAZDA

W 1993 R. ROBERT H. FRANK, AKTUALNIE profesor ekonomii na Uniwersytecie Cornell w Stanach Zjednoczonych, razem z dwoma innymi badaczami opublikował artykuł, w którym postawił zaskakującą tezę, iż studiowanie ekonomii prowadzi do kształtowania postaw racjonalnych w wąskim rozumieniu.

Aby nie brzmiało to tak zagadkowo, odwołajmy się do eksperymentu znanego w teorii gier jako „dylemat więźnia”. To szczególnie przypadek gry, w której współpraca między dwoma graczami prowadzi do wyniku zdecydowanie lepszego dla nich obu niż działanie podporządkowane wyłącznie własnemu interesowi – czyli racjonalne w wąskim rozumieniu.

Dwóch ujętych przez policję przestępców, każdy z nich z osobna, bez możliwości komunikowania się, zostało postawionych przez prokuraturę przed następującym dylematem: albo sprawca będzie współpracował z organami ścigania, złoży zeznania obciążające drugiego współnika i dostanie łagodniejszą karę, albo ryzykuje tym, że jeśli drugi współnik pójdzie na taką współpracę, to wymiar kary będzie zdecydowanie surowszy. Możemy posłużyć się konkretnymi wartościami: jeśli sprawca A będzie zeznawał, podczas gdy B będzie milczał, to A dostanie rok więzienia, a B pięć lat. Jeśli obaj

będą zeznawać, to każdy dostanie po trzy lata. Jeśli jednak obaj będą milczeć, to sąd z braku dowodów będzie musiał ich uniewinnić.

Ponieważ nie wiemy, jak zachowa się współnik, optymalnym rozwiązaniem tej gry jest zawsze współpraca z prokuratorem. W klasycznym rozumieniu jest to tym samym najbardziej racjonalne zachowanie. Reguły życia społecznego sprawiają jednak, że w wielu przypadkach, do których zastosowanie miałyby podobna matryca gry (niekoniecznie przestępczych), zachowujemy się „nieracjonalnie”, antycypując podobnie „nieracjonalne” zachowanie drugiego „gracza” – ufamy w jego skłonność do kooperacji. W efekcie, jeśli nasze zaufanie nie zawiedzie, możemy osiągnąć dużo lepszy rezultat. Co jednak determinuje nasze zaufanie?

Klasyczne modele ekonomiczne zakładają, że gracze na rynku są doskonale racjonalni (to właśnie oznacza osławiony *Homo oeconomicus*). Eksperyment przeprowadzony przez Franka i współpracowników polegał na przedstawieniu decyzyjnego dylematu więźnia studentom pierwszego oraz ostatniego roku ekonomii. Ci drudzy okazali się zdecydowanie bardziej racjonalni. A zatem wieloletnia ekspozycja na modele ekonomiczne – gwarantowana podczas wielu lat studiów tej dzie-

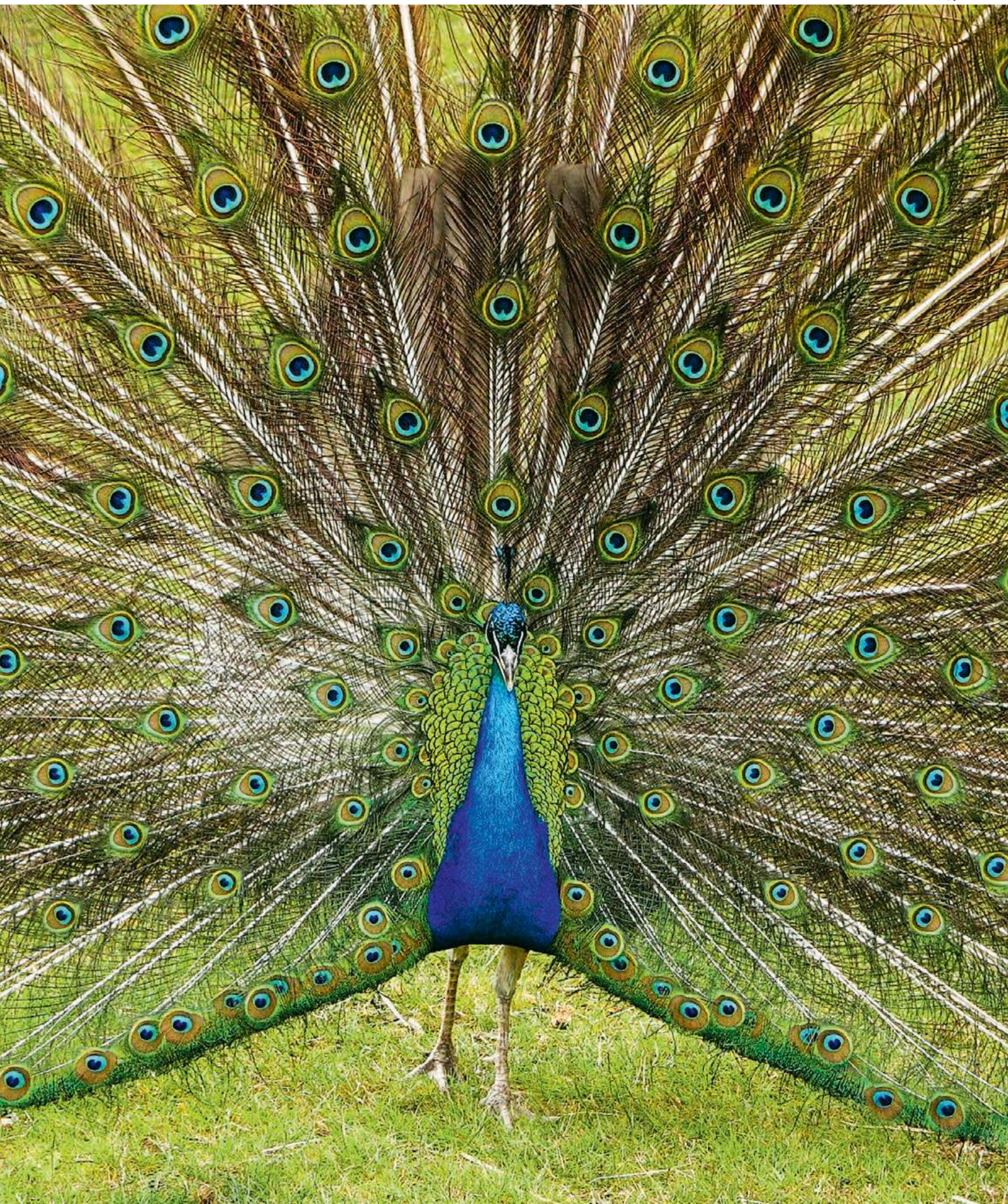
dziny – sprawia, że jesteśmy w mniejszym stopniu skłonni do kooperowania.

Sęk w tym, że w ten sposób owe modele zamiast opisywać rzeczywistość gospodarczą, stają się samosprawdzającą się przepowiednią, a o naszym poziomie instrumentalnej racjonalności lub skłonności do zachowań kooperacyjnych decydują uwarunkowania kulturowe. Co więcej, istotną część tych uwarunkowań jest związana z naszym ewolucyjnym dziedzictwem, w którym bardziej chodzi o sukces prokreacyjny niż o maksymalizację użyteczności rozumianą w kategoriach materialnych.

Wyścig zbrojeń

Dlatego w jednym ze swoich esejów pisanych do „New York Timesa” Robert Frank stwierdził, że być może w przyszłości za ważniejszego ekonomistę od Adama Smitha uważany będzie Karol Darwin. Darwin zauważył bowiem intrygujący paradoks ewolucji, która prowadzi do wykształcenia się cech gatunkowych, które nie tylko nie sprzyjają przetrwaniu, ale wręcz mu przeszkadzają. Do takich cech należy pawi ogon lub też ogromne poroże łosia. W obu przypadkach cechy te narażają osobnika na atak drapieżników i utrudniają ucieczkę. Są one jednak przy tym oznaką siły i zdrowia, co pozytywnie rokuje co do jakości genotypu ich





→ posiadacza. Dlatego pawie z większym pióropuszem i łosie z większym porożem są chętniej wybierane przez samice na partnerów seksualnych i w efekcie statystycznie mają więcej potomstwa. Tym samym pozornie nieadaptacyjna cecha (wyselekcjonowana przez dobór płciowy) zaczyna się rozprzestrzeniać.

Na to, że podobne efekty funkcjonują na rynku, zwrócili uwagę prekursorzy ekonomii instytucjonalnej pod koniec XIX wieku. Thorstein Veblen ukuł określenie „ostentacyjna konsumpcja” – służy ona przede wszystkim manifestacji pozycji społecznej w celu zwiększenia zainteresowania płci przeciwnej. Frank poszedł jednak dalej. Jeśli w istocie w społeczeństwie trwa konkurencja o pozycję społeczną, to ów niekończący się wyścig zbrojeń prowadzi do ogromnego marnotrawstwa ograniczonych zasobów ekonomicznych i w efekcie wszyscy znajdują się w sytuacji gorszej niż wyjściowa. Jako jeden z takich przykładów podaje drastyczny wzrost kosztów organizacji przyjęć weselnych w Stanach Zjednoczonych, który aktualnie wynosi przeciętnie ok. 30 tys. dolarów – to trzy razy więcej niż w roku 1980.

Ten wzrost nie przekłada się na to, że małżonkowie są szczęśliwsi (niektóre badania wskazują nawet na odwrotną zależność), powoduje natomiast zwiększone obciążenie osób mniej zamożnych (czyli tych, którzy procentowo większą część swoich zasobów muszą przeznaczać na udział w wyścigu zbrojeń) i niechęć do dąnin publicznych, z których finansowane są inwestycje służące całemu społeczeństwu. Aby zobrazować to zjawisko, Frank proponuje następujący eksperyment myślowy: czy wolelibyśmy posiadać porsche 911 turbo (w USA kosztuje ok. 150 tys. dolarów) i poruszać się nim po dobrze utrzymanych autostradach, czy też ferrari F12 berlinetta (333 tys. dolarów), ale z perspektywą jazdy po dziurawych drogach? Ów pozycjonujący wyścig zbrojeń prowadzi właśnie do wyborów drugiego typu.

Zwycięzca bierze wszystko

Czy jednak podobne mechanizmy nie działały także przez kilkadziesiąt tysięcy lat rozwoju gatunku *Homo sapiens*, prowadząc w rezultacie (przy wszystkich zastrzeżeniach) do całkiem komfortowego, cywilizowanego społeczeństwa? Jeśli tak, to czemu mielibyśmy założyć, że właśnie teraz szczególnie pożądane jest powszechne „rozbrojenie”? Robert Frank i na to pyta-

Jeśli w społeczeństwie trwa konkurencja o pozycję społeczną, to niekończący się
wyścig zbrojeń
prowadzi do ogromnego marnotrawstwa
ograniczonych zasobów ekonomicznych.
Na czym wszyscy tracą.

nie proponuje odpowiedź. Przemiany gospodarczo-technologiczne, które dokonały się w ostatnich dekadach XX wieku, ukształtowały, jego zdaniem, szczególnie, jak dotąd nieobserwowany w historii ludzkości fenomen, jakim jest społeczeństwo *winner-take-all* (zwycięzca bierze wszystko).

Gospodarkę takiego społeczeństwa wyróżniają dwie cechy. Po pierwsze, finansowy sukces dowolnego przedsięwzięcia lub produktu zależy znacznie słabiej od jego bezwzględnej jakości, a znacznie silniej od jakości względnej, ustalonej w porównaniu z innymi, konkurującymi produktami. Pojęcie „produktu” jest tu jednak bardzo szerokie. Nawet wybitna tenisistka nie osiągnie oszałamiającego sukcesu tak długo, jak w grze będzie jej nieco lepsza rywalka. Jeśli jednak rywalka (choćby na krótko) zniknie ze sportowego „rynku”, dochody tej pierwszej radykalnie wzrosną. Po drugie (co poniekąd jest następstwem pierwszej cechy), owoce owego finansowego sukcesu będą miały tendencję do koncentrowania się w rękach kilku najlepszych (a może nawet niekoniecznie najlepszych) wykonawców. Cała reszta, choćby jakość ich produktu różniła się bardzo nieznacznie, pozostanie daleko w tyle.

Jest wiele powodów ukształtowania się takiego rynku, ale dominującym są zmiany technologiczne, które radykalnie zwiększyły zasięg takich produktów (łatwość wymiany informacji niezależnie od odległości, redukcja kosztów logistyki itp.). Rynek „zwycięzców” prowadzi jednak do pogłębiającego się rozwarstwienia społecznego, nierówności dochodowych i majątkowych, a to z kolei powoduje, że koszty „wyścigu zbrojeń” w niepropor-

cjonalny sposób obciążają tych, którzy do grupy zwycięzców się nie zakwalifikowali. W tym miejscu nasuwa się kolejne istotne pytanie.

Dlaczego zwycięzcy zwyciężają?

Można odpowiedzieć krótko: zwyciężają, bo mają szczęście, czyli przypadkowo. Przypadek, a więc szczególnie zbieg okoliczności zewnętrznych, niezależnych od talentu, predyspozycji i ciężkiej pracy poświęconej na „samorozwój”, decyduje o sukcesie w znacznie większym stopniu, niż sami zwycięzcy ekonomicznego wyścigu lub też społeczeństwo są skłonni przypuszczać. To najnowsza i chyba najbardziej obrazoburcza teza Roberta Franka. Na jej poparcie przytacza szereg matematycznych eksperymentów związanych z działaniem przypadku i rachunku prawdopodobieństwa i naszego sposobu postrzegania tzw. nieprawdopodobnych zdarzeń, zestawiając je np. z rzeczywistymi wynikami zawodów sportowych, gdzie rozstrzygający może okazać się niewielki podmuch wiatru.

Wyobraźmy sobie, że mamy do czynienia z konkurencją, w której uczestniczy 100 tys. zawodników. Wynik każdego może zależeć od poziomu jego talentu i włożonej w jego rozwój pracy (w różnych częściach), czyli od jego predyspozycji, ale także od przypadkowych okoliczności zewnętrznych (szczęście). Jakość owych predyspozycji mierzona jest w skali od 1 do 100 i ich rozkład pomiędzy uczestnikami jest losowy. Przy dużej liczbie uczestników, i przy pominięciu elementu szczęścia, przeciętny poziom predyspozycji zwycięzcy będzie bardzo wysoki (99,9) i będzie różnił się o ułamek punktu od tych, którzy zajmą drugie lub trzecie miejsce. Jeśli jednak wynik końcowy będzie tylko w dwóch procentach zależał od szczęścia, które również określimy w skali od 1 do 100, i rozłożymy przypadkowo pomiędzy uczestnikami, to okaże się, że 78,1 proc. zwycięzców nie będzie posiadało najwyższego poziomu predyspozycji (wielu było lepszych od nich, a mimo to nie wygrali) i przeciętny poziom szczęścia u zwycięzców wyniesie 90,23 – zwycięzcy mają farta!

Rzecz nie w tym, że owe predyspozycje nie mają znaczenia, ale w tym, że nawet znikomy czynnik przypadkowy oddziałuje na wynik końcowy znacznie silniej, niż nasza intuicja nam podpowiada. Zawody, które wyłaniają największych,

ekonomicznych zwycięzców na rynku, przyciągają miliony uczestników, wśród których jest wielu niezwykle utalentowanych i zmotywowanych do sukcesu. W większości przypadków jednak ci, którzy ów sukces osiągnęli, mają też nieprawdopodobne szczęście.

Nasze fałszywe przeświadczenia o roli szczęścia i talentu w osiąganiu ekonomicznego sukcesu mają się jednak dobrze głównie z tego powodu, że są one ewolucyjnie użyteczne. Silne przekonanie, że „cierpliwością i pracą ludzie się bogacą”, dodaje motywacji do owej pracy, podczas gdy bardziej realistyczne podejście nieco podcina skrzydła.

Złudzenie onnipotencji

Przypisywanie talentowi i pracy wyłącznej roli w osiąganiu ekonomicznego sukcesu ma negatywne konsekwencje społeczne. Ludzie przekonani o tym, że swój sukces zawdzięczają wyłącznie sobie, są zdecydowanie mniej skłonni dzielić się nim z innymi i postrzegają daniny publiczne jako formę przymusowego wywłaszczenia lub wręcz pasożytnictwa na nich przez nieudaczników. Frank przytacza szereg eksperymentów psychologicznych, z których wynika, że poczucie wdzięczności, przekonanie, że mój aktualny dobrostan jest nie tylko moją zasługą, sprawia, że stajemy się bardziej skłonni do dzielenia się nim z innymi. W społeczeństwie potrzebującym powszechnego „rozbrojenia”, zatrzymania pozycjonującego wyścigu marnotrawiącego zasoby społeczne, w społeczeństwie, w którym „zwycięzcy biorą wszystko” przyczyniając się do narastających nierówności, taka hojność byłaby bardzo pożądana. Możemy zaś ją sprowokować zarówno przymusowym podatkiem konsumpcyjnym, który proponuje Robert Frank, jak edukacją nakierowaną na odwrotny efekt niż wykazany w przywołanym na wstępie eksperymencie ze studentami ekonomii.

Liberalnych ekonomistów nadal niepokoić będzie jednak wątpliwość, czy każdy rząd może efektywnie zagospodarować owe zaoszczędzone dzięki powszechnemu rozbrojeniu zasoby i czy przypadkiem ich „ewolucyjna” alokacja, pomimo niewątpliwego marnotrawstwa, nie będzie *per saldo* lepsza.

© MARCIN GORAZDA

Autor jest doktorem filozofii i adwokatem. Opublikował m.in. „Filozofię ekonomii” (CCPress 2013).



UNIVERSITY PHOTOGRAPHY

ROBERT HARRIS FRANK (ur. 1945) jest matematykiem, statystykiem i profesorem ekonomii w Samuel Curtis Johnson Graduate School of Management. Stały autor esejów ekonomicznych w „New York Timesie”. Ma za sobą szereg publikacji w uznanych czasopismach ekonomicznych („American Economic Review”, „Econometrica”, „Journal of Political Economy”), jest też autorem lub współautorem ponad

10 książek (w tym „Principles of Economics”, napisanej wspólnie z Benem Bernankem, szefem Rezerwy Federalnej w kryzysowych latach 2006-14). W Polsce ukazały się jego książki: „Mikroekonomia jakiej jeszcze nie było” (2007), „Dlaczego piloci kamikadze zakładali hełmy? Czyli ekonomia bez tajemnic” (2009) oraz „Społeczeństwo, w którym zwycięzca bierze wszystko. Dlaczego garstka

najbogatszych posiada o wiele więcej niż reszta z nas” (2017). Wkrótce nakładem PWN ukaże się kolejna książka Franka: „Sukces i szczęście”. Robert Frank będzie jedną z gwiazd tegorocznego Copernicus Festival, podczas którego wygłosi główny wykład i weźmie udział w debacie dnia. Szczegóły na copernicusfestival.com oraz w katalogu festiwalowym, w następnym numerze „Tygodnika”.

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. ■

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją
zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu
opisanymi poniżej.

■ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się
z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 20/2018

Nagroda Poetycka
SILESIVS

Redakcja: MICHAŁ SOWIŃSKI

GRAŻYNA MAKARA



„Daj mu tam, gdzie go nie ma” – postulował w swoim słynnym eseju Bohdan Zadura, laureat tegorocznej Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” za całokształt pracy twórczej. Zdanie to, które, jak dobrze wiemy, miało genezę pingpongową (w luźnej translacji: zaserwuj tam, gdzie nie będzie mógł odebrać), wywołało burzliwą debatę o znaczeniu i miejscu poezji w życiu społecznym. Żarliwie i emocjonalnie dyskutowany wtedy problem, choć przeniół się w inne rejestry i obiegi, nie stracił wcale na aktualności. Nie możemy zapomnieć, że poezja wyrasta z przestrzeni tego samego języka, co wszystkie inne kanały naszej codziennej komunikacji. Potraktowana w ten sposób, jako poważny i równoprawny element naszej rzeczywistości językowej – a więc zarówno politycznej i społecznej, jak i intymnej oraz prywatnej – okaże się bezcennym sojusznikiem w walce z opresyjną miałkością i bylejąkością współczesnego świata. Drodzy Czytelnicy, z wielką przyjemnością oddajemy w Wasze ręce specjalny dodatek poświęcony Nagrodzie „Silesius”, w którym, jak co roku, prezentujemy dziesięć tomików poetyckich – trzech poetów nominowanych w kategorii „Debiut roku” oraz siedmiu w kategorii „Książka roku”. Oprócz tego znaleźć w nim można rozmowę z Bohdanem Zadurą (który ostrożnie przyznaje się do wiary w sprawczą moc literatury) oraz esej Grzegorza Jan-kowicza, członka kapituły Nagrody, w którym tłumaczy, dlaczego poezja jest kluczowym narzędziem dla naszej komunikacji.

Michał Sowiński
„Tygodnik Powszechny”

PARTNERZY DODATKU

Wrocław miasto spotkań

 nova™



ARCHIWUM UM WROCŁAW



Kto choć raz gościł w naszym mieście, ten wie, że Wrocław kocha literaturę. Naszą dumą i ogromną satysfakcją są nowo powstające biblioteki, tytuł Światowej Stolicy Książki czy światowy kongres bibliotekarzy, który odbył się latem ubiegłego roku. To wszystko nie byłoby możliwe, gdyby nie szczególne uzależnienie wrocławian od czytania, ale też specjalna atencja, jaką otaczani są tu pisarze i poeci. My, wrocławianie, wierzymy, że świat byłby lepszy, gdyby rządili nim poeci. Dlatego tak ważna jest dla nas Nagroda „Silesius”. Nagroda ta od pierwszego momentu jest naszą dumą. Na kilka dni zjeżdżają do Wrocławia najwybitniejsi poeci i toczą rozmowy o literaturze, w których wszyscy możemy uczestniczyć. Przyjeżdżają też ci początkujący, z których wielu już niedługo stanie się wybitnymi. Jeżeli, w najmniejszy choć sposób, potrafimy im w tym pomóc, to znaczy, że dobrze wykonujemy nasz obowiązek.

Poeci to zazwyczaj ludzie cisi, skromni. Tomików ich wierszy nie publikuje się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Ale znaczenia ich pracy, talentu i siły cichego głosu nie sposób przecenić. Pokazują nam piękne i brzydkie strony życia, nie dają spokojnie drzemać w fotelu, budzą sumienia. A czasem też każą się zatrzymać, popatrzeć dokoła, dostrzec piękno, przypomnieć sobie, że jest jeszcze miłość i dobro na świecie.

Zapraszam Państwa do Wrocławia, zapraszam na święto poezji, na rozdanie Nagród „Silesiusa”. I mam dla nas wszystkich dobrą radę: słuchajmy poetów, od tego stajemy się lepsi.

Prezydent Wrocławia
Rafał Dutkiewicz

Znośna lekkość słów



TOMIK ZACZYNA SIĘ OSTRO i bez zbędnych wstępów, choć skok „ślicznej Evelyn” z wieżowca na Manhattanie musiał być dobrze przemyślany. Wystrojona, lekkim krokiem wbiegła na górę, żeby bez marudzenia rzucić się w przepaść. Śmierć jednak nie przyniosła jej ulgi, wręcz przeciwnie, po upadku jedynie znieruchomiła przepelniona frustracją i „z ustami rozchylonymi w nagłym zdziwieniu że to już”. Skoro samobójstwo, niczym kiepski seks, jedynie rozczarowuje, to co może być dalej? Tomik Emanuela Czeladki jest pokrętną próbą odpowiedzi na to pytanie. „Są w nas puste przestrzenie ciemności / do wypełnienia mrocznym krajobrazem” – mimo wyczuwalnej tu i ówdzie egzaltacji oraz retorycznego przepychu, tę akurat deklarację należy potraktować zupełnie serio. Oswajanie ziejącej pustki odbywa się oczywiście poprzez język, który w tomiku rozlewa się szeroko, choć ani na chwilę nie traci na wartości. Nie chodzi jednak o zwyczajne zagadywanie tego, co nieobecne. Frazy zarzucane są możliwie szeroko, aby później destylować z nich okrucieństwa realności, gdyż słów wydaje się być zawsze o wiele więcej niż elementów składających się na nasz świat. Tym, co osiadzie na sicie języka, można potem dociążać irytująco lekką egzystencję, miotaną przypadkowymi (albo złośliwymi) pływami. „Podajcie mi słońce niechaj wszędzie z rana” – brzmi ostatni wers tomiku, co chyba oznacza nadzieję.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

■ **Emanuela Czeladka NAPŁYW**,
WBPiCAK w Poznaniu, Poznań 2017

Znaki wojny i miłości



TOMIK AGATY JABŁOŃSKIEJ otwiera wiersz będący odległą parafrazą „Non omnis moriar” Horacego. „Nie cały umrę” – pisze rzymski poeta, a Jabłońska nawiązuje do niego frazą „Jeśli umrę sama / Jeśli umrę tobie”, rodzajem medytacji nad samotnością i rozstaniem. Daleki to wiersz od naszego wyobrażenia o wojennych raportach. Ale charakterystyczny dla tomu, różnorodnego i wielopoziomowego, w którym znaki wojny i znaki miłości stają się znakami ofiar: poszkodowanych, żyjących w nieustannym lęku przed ostrzałem (znakomity wiersz „Nogi”). Całość rozpoczynają utwory o rozstaniach – osobiste, z obrazami nieco rozmazanymi, choć zarazem plastycznymi i realistycznymi. Ładnie komponowanymi: „Największe tajemnice poznaję jak zwykle po kaczkach / płyną w stygający świt”. Od któregoś jednak momentu pojawiają się wiersze wprowadzające innych bohaterów niż zraniony podmiot kobiecy. W „Rozumie i godności człowieka” Jabłońska opowiada o chłopskiej rodzinie, w „Notatce z Kongresu Pokoju” komentuje bezpośrednio pewne etyczne postawy, w „Mówieniu Nie. Instruktażu” również w sposób bezpośredni, w duchu nowofalowym, posługuje się językiem zaangażowania. A jej zaangażowanie zawsze odwołuje się do splotu cielesności i znaków. Gdy uczy mówienia „nie”, uczy przełamywania oporu przede wszystkim własnego ciała. Gdy pisze o rozstaniach, wierzy ciału bez zastrzeżeń, a zarazem odmawia mu zaufania. To nowy, ciekawy etap poetyckiej żarliwości.

© ANNA KAŁUŻA

■ **Agata Jabłońska RAPORT WOJENNY**,
Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017

Chwiać się również z trawą



„**NIEBIESKA GODZINA**” to pora rzeczy pięknych i przedśmiertnych. Spacer obrzeżem, miejsce rozstań. Starannie skomponowany tomik, flirtujący z *haikai*, przypomina zmysłowy dziennik przebudzeń. Niedziejko dokumentuje przeobrażenia i przemiany – nie tylko w poetyckim obrazie, ale także na poziomie konstrukcji nasączonych idiomami wypowiedzi. Wielopoziomowe, krótkie zdania są jak delikatne, choć mocno związane supełki, których rozplątywanie przynosi nieoczekiwane rezultaty. Niedziejko jest bowiem bliżej słów niż ciała, mimo że jej poezja rodzi się raczej z dotyku i patrzenia niż dźwięków – za cały *soundscape* robi tu warkot psa i kosiarki. Żywiołem wierszy jest woda, jedzenie ma smak jeziora, korzenie zapuszczają się w kałuży. W języku japońskim istnieje określenie *mushin*, składające się z dwóch *kanji*, z których jedno wyraża niebyt, a drugie serce. Aby wyjaśnić znaczenie *mushin*, przywołuje się zwykle spokojny obraz odbijającego się w jeziorze księżycy, obecny (albo lepiej: zatopiony) także w „Niebieskiej godzinie”. To stan, w którym nie istnieje wysiłek woli, a który pozwala być blisko świata. Bez goryczy rozzarowania współczująco „obracać w liście”. Jak na razie jesteśmy – powtarza Niedziejko – „oddech roztopia nam płuca”. A co dalej? Jutro to tylko brokat i ciepłe kraje o białych plażach. „Wszystko co widzisz wynika z podniebienia”.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

■ **Julia Niedziejko NIEBIESKA GODZINA**,
Fundacja Duży Format,
Warszawa 2017



WŁODZIMIERZ WASYLUK / REPORTER

Bohdan Zadura, Warszawa, wrzesień 2007 r.

Jeden niezrozumiały wiersz

BOHDAN ZADURA:

W PRL-u dostrzegałem olbrzymie znaczenie literatury, ale też widziałem, że gra ona nie swoją rolę, jakby w zastępstwie czegoś innego. Dlatego nie zdziwiły mnie drastyczne zmiany po 1989 roku.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Kilka lat temu rzucił Pan palenie. Udręka się skończyła?

BOHDAN ZADURA: Tak, to nie było straszne, ale trwało długo. Najgorszy był wtórny analfabetyzm, który mnie wtedy dopadł. Ostatnie papierosy wypaliłem 7 maja 2013 r., między 8.30 a 9.00 rano, w liczbie siedmiu. Byłem w redakcji „Twórczości”, wypilem pierwszą kawę i zaparzyłem drugą. Dzień był bardzo piękny, wiosna w rozkwicie, bez jednej chmurki. Pisałem tekst o ukraińskim prozaiku Wołodzimyrze Jaworskim, gdy nagle niektóre litery na ekranie kompu-

tera zamieniły się w czarne i nieczytelne plamy. To ciekawe, ale zawał okazał się w sumie bezbolesny, poczułem jedynie niepokój i spływający po całym ciele pot. Zdążyłem jeszcze zawołać Anetę, sekretarz redakcji, i straciłem przytomność.

Z dnia na dzień koniec?

Tak, choć przedtem paliłem 75 papierosów dziennie. Przez dłuższy czas nie wyobrażałem sobie życia bez nich, o pisaniu nawet nie wspominając. Chodziły mi po głowie dwa poematy pozawałowe, bo po beta-blokerach miałem wiele fajnych snów – na przykład w scenerii północno-

koreańskiej. A moje wcześniejsze doświadczenie było proste: gdy wiersz przychodzi, trzeba go od razu zapisać. Dwa, trzy papierosy i miałbym te poematy. Ale w tej sytuacji...

To jak się Pan nauczył pisać na nowo?

Zacząłem od przekładów – praca nad nieswoimi słowami była łatwiejsza. Nie wspomagałem się żadnymi medykamentami ani landrynkami, z czego byłem dumny. Na szczęście dla otoczenia w ogóle nie stałem się bardziej nerwowy.

A pierwszy wiersz w nowym życiu?



→ Łatwo go zidentyfikować, bo ma tytuł „Pierwszy od 1963 roku wiersz od papie-rósów” z tomiku „Kropka nad i”.

O rzucaniu palenia mógłbym z Panem długo rozmawiać, bo sam się teraz z tym zmagam. Ale przejdźmy do poezji – tej współczesnej. Czytuje ją Pan? Troszkę.

I jak się Panu podoba?

Najogólniej mówiąc: różnie. Coś bardzo, wtedy nie zastanawiam się, czy i dlaczego to są bardzo dobre wiersze. Czytałem tomik jak powieść kryminalną. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że wszystko mam pod kontrolą. Tak może było jeszcze w latach 90. Przeczytałem ostatnio antologię młodej, współczesnej poezji zaangażowanej „Zebrało się śliny”, wydaną przez Biuro Literackie. Sam tytuł bardziej mnie odpychał, niż przyciągał. Ze środkiem było lepiej, na przykład podobały mi się wiersze Kiry Pietrek, Piotra Przybyły, Ilony Witkowskiej. Ale nie ukrywam, że miałem czasem kłopoty z czołowymi dla tego nurtu postaciami.

Pytam o to w kontekście Pana słynnego eseju „Daj mu tam, gdzie go nie ma”, który był odczytywany przez wielu jako manifest nowej poezji. Podpisałby się Pan pod nim dziś?

To dobre pytanie, bardzo na czasie. Wróciłem właśnie z Łucka na Ukrainie, gdzie prowadziłem warsztaty translato logiczne na tamtejszej polonistyce. Zaczęłem od tego właśnie tekstu, bo on w dużej mierze adresowany był do tłumaczy. Długo żyłem w przeświadczeniu, że udał mi się ten esej, że był, przynajmniej swego czasu, ważny. Miałem na to też parę namacalnych dowodów. Ale gdy go teraz przeczytałem, wydał mi się dość cienki...

Dlaczego?

Sam nie wiem. Miałem potem spotkanie w Klubie Polskim, publiczność stanowili głównie Polacy, w tym – pracownicy konsulatu oraz młodzież uniwersytecka. Akurat była to rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim. Krzysztof Sawicki, organizator wieczoru, chciał do tego jakoś nawiązać. Przeczytałem więc dwa wiersze Zuzanny Ginczanki, której dwujęzyczny wybór poezji niedawno wyszedł w Lwowie. Pomyślałem, że to najstosowniejsze, że jest w tym coś nienachalnie symbolicznego i zarazem konkretnego. A potem po-

BOHDAN ZADURA:

Buntuję się, gdy słyszę o poezji niezrozumiałej, no bo przecież prostszych i czytelniejszych wierszy niż moje to chyba już być nie może.

myślałem, że to może ostatnia okazja w życiu, żeby publicznie raz jeszcze przeczytać „Ciszę”. Upowiedziałem, że trwa to 28 minut 30 sekund. Publiczność zniosła tę lekturę mężnie i reagowała wspaniale, ale miałem poczucie, że czegoś brakuje, że coś z tego poematu wyparowało, podobnie jak z „Daj mu tam, gdzie go nie ma”.

Nie zgadzam się z tym, ale zostawmy to na boku. Pytam, bo tekst ten wywołał poważną dyskusję. Pojawiły się emocjonalne głosy, a stawki kłótni były wysokie. Szkoda, że dziś nie mamy podobnych sporów.

Język dyskursu niespecjalnie mnie już frapuje. Zamiast wymądrzać się na ogólne tematy, wolę przetłumaczyć wiersz. Poza tym nie mam już tej panoramicznej perspektywy, bez której ciężko uczciwie zabrać głos.

A sama poezja – wycofała się ostatecznie z debaty publicznej?

Tak zwana społeczna rola literatury osłabła. Nie wczoraj, nie rok temu. Jeżeli pyta pan o wiarę w jej bezpośrednią sprawczą moc, to straciłem ją przestając być nastolatkiem. Ten posąg, w który nas wyposaża edukacja szkolna i romantyzm, jest oczywiście wspaniały, ale dobrze go w pewnym momencie przepracować. Mówiąc inaczej – powinniśmy umieć obcować z urodą poezji, ale nie dać się jej ogłupić. W PRL-u dostrzegałem olbrzymie znaczenie literatury, ale jednocześnie widziałem, że gra ona nie do końca swoją rolę, zastępuje coś innego. Gdy cała rzeczywistość została wywrócona do góry nogami, nie zdziwiła mnie zmiana także w tej kwestii. Czego niestety chyba nie można powiedzieć o wielu moich kolegach.

Niektórzy twierdzą, że poezja jest sama sobie winna, bo popadła w niezrozumiałość, wycofała się w intymność i idiomatyczność.

Zrobię małe zastrzeżenie – jedyna rzecz, na której jako tako się znam, to moje własne wiersze. Dlatego buntuję się, gdy słyszę o poezji niezrozumiałej. No bo przecież prostszych i czytelniejszych wierszy niż moje to chyba już być nie może. Oczywiście najprzyjemniej byłoby rozmawiać, nie odnosząc się w ogóle do rzeczywistości za oknem, ale tak się nie da. Z drugiej strony, jeśli powrót do prostoty miałby wyglądać tak, jak w niektórych wierszach Jarosława Marka Rymkiewicza, to ja jednak postulowałbym pewną niezrozumiałość.

W Pana najnowszym tomiku, „Po szkoldzie”, pojawia się wiele wyimków z rzeczywistości, a obok teksty, gdzie pamięć łączy się ze snami. To dwa oddzielne poetyckie tryby?

Nie całkiem, one się mocno łączą ze sobą. Zwłaszcza, z braku lepszego określenia nazwy, w prozach poetyckich w drugiej części tomu zatytułowanej „Maszyna losująca”. Są tam kawałki lepsze i gorsze, ale ich wspólnym mianownikiem jest – aż sam nie wierzę, że to mówię – prawdziwość.

Poważna deklaracja.

W młodości święcie wierzyłem, że „sztuka jest sztuczna”, a samo sugerowanie w przypadku wiersza takiej kategorii jak prawdziwość zakrawało mi na absurd i bluźnierstwo. Wiersz mógł być co najwyżej dobry albo zły, ewentualnie ciekawy, szalony, ale nigdy prawdziwy! Bo czym miałby być, pytając od drugiej strony, wiersz fałszywy? Ale teraz wspólny mianownik jest taki właśnie...

Też odrobinę boję się zapytać, ale na czym ta prawdziwość polega?

Zmyślenie sprowadzone jest do minimum i pojawia się właściwie wyłącznie wtedy, gdy tekst wywiedziony jest ze snu. Ale i w tym przypadku dotyczy raczej samego zapisu czy, lepiej, transkrypcji.

Skąd ta potrzeba prawdziwości?

Obok tych małych utworów jest jeszcze w tym tomiku część trzecia, o nazwie „Skarbnica narodowa”. Poemat, ale w całości zrobiony z cytatów znalezionych w sieci. Nie ja-Poeta przez duże „P” mam obowiązek, ale raczej ja-B.Z. mam prawo i powinność – najlepiej ująć to w pleonazm – wyrażenia swoich wrażeń, zareagowania na rzeczywistość. „Skarbnica narodowa” to właśnie taka reakcja, która pozwala zająć stanowisko, powiedzieć:

widzę, myślę – a jednocześnie nie angażować się w bieżącą młóckę. Czego nie mogę do końca powiedzieć o innych wierszach z tego tomu.

W kilku miejscach język współczesnej polityki i mediów przesącza się do Pana wierszy.

Tak, ale wsącza się nie tylko to. Gdy piszę „brud wejdzie do śródmieścia”, to chciałbym, żeby czytelnik wiedział, iż ta linijka to parafraza innej. Może to bezczelność mieć nadzieję, że tytuł „Po szkodzie” skojarzy się komuś z Kochanowskim. Jakież rzeczy, myślę nieśmiało, udało mi się zuniwersalizować, a więc znaczą także poza bieżącym kontekstem. Choć niekoniecznie w przypadku wiersza „Co ta polityka robi z ludźmi?”...

„Doszło do tego / że w meczu Węgry-Rosja / kibicuję Rosji”...

A przecież Węgry były kiedyś moim, poza Polską, ukochanym krajem. A teraz... Czuję się poniekąd okradziony. A najsmutniejsze jest to, że znaczna część moich węgierskich przyjaciół odnalazła się w obecnej węgierskiej rzeczywistości. No, uwiera mnie odgórnie dekretowana przyjaźń między narodami. Henryk Berezka kiedyś powiedział, że jedną z największych udręk w życiu jest rozmowa z człowiekiem niekompetentnym... Ciężko już mi nawet polemizować z wieloma głosami, bo nie chcę wywieszać sobie na piersiach tabliczki informującej cały świat, z czym się zgadzam i przeciwko czemu protestuję.

Wspomniał Pan wcześniej poemat „Cisza” – to dla mnie jeden z najważniejszych literackich dokumentów stanu wojennego. Nie boi się Pan, że trzeba będzie pisać kontynuację?

Analogii między dawnymi a obecnymi czasami widzę mnóstwo, ale w aspek-

cie pańskiego pytania jest jedna zasadnicza różnica. Kiedy pisałem „Ciszę”, to naprawdę myślałem o niej jako o liście w butelce wrzuconym do morza. Dopuszczałem myśl, że może to być jedyne świadectwo tamtych czasów, jakie się zachowa. Dziś, jakkolwiek sprytna byłaby polityka historyczna, wiem, że na dłuższą metę ona nie może się udać. Wtedy wierzyłem, że władza może dowolnie kształtować rzeczywistość.

Przy okazji Ashbery’ego napisał Pan, że poezja umiera, gdy nieruchomieje język. Więc może odwrotnie, może poezja nas ocali przed zasychającym błotem, które nas oblewa z wielu stron?

Boję się, że pana nadzieja okaże się płonna. Nie sądzę, żeby przy pomocy poezji dało się kształtować i odrodzić debatę publiczną. Te czasy minęły i chyba już nie wrócą. Usłyszałem ostatnio określenie „osamotniony wyborca” – tak się sam czuję od jakiegoś czasu. Pewnie też jestem osamotnionym telewizorem. Nie chodzi mi tylko o programy polityczne czy informacyjne. Telewizje śniadaniowe – publiczne czy prywatne, reżymowe czy opozycyjne – to jest prawdziwy front jedności narodu. Ponownie sparafrazuję Berezę: pora umierać. Uniwersum kultury to zestaw naczyń połączonych – nie da się oddzielić jednej przestrzeni języka od innej. A znaczenie zależy od kontekstu.

To może tym bardziej literatura powinna być antidotum?

Użył pan frazy, której nie lubię: „powinna być”. Używając takiego zwrotu nie w pytaniu, lecz w odpowiedzi, można bezprawnie poczuć się przedstawicielem całej literatury i ferować wyroki. Dla mnie wszelka sztuka to dziedzina wolności, w której nic się nie musi. Dlatego słowo „powinna” budzi mój opór. Z dru-

giej strony, chciałbym, żeby miał pan rację. Dawno temu, gdy byłem w okolicach czterdziestki, nie przyszłoby mi do głowy, żeby męczyć kogoś moimi czy cudzymi wierszami. A teraz...

...jest inaczej?

Do pewnego stopnia. Pewnie dlatego, że nie mam powodów, aby skarżyć się na – proszę wybaczyć słowo – recepcję swojej poezji. Mógłbym też zaczerpnąć odrobinę optymizmu z własnej odległej młodości. Z czasów licealnych zapadło mi w pamięć spotkanie z Andrzejewskim – zwyczajny wieczór autorski okazał się dla mnie szalenie ważny. Podobnie głosy poetów słuchane w radiu pod koniec lat 50. – Broniewski czy Gałczyński. Kiedy je sobie przypomnę, to jeszcze dziś czuję, jak prąd spływa mi od włosów aż po czubki palców. Może to, co piszę ja i moi koledzy, też kiedyś okaże się dla kogoś równie ważne?

Czyli jednak optymistycznie.

No tak, udało się panu na koniec wydożyć ze mnie wyznanie pewnej ostrożnej wiary w literaturę.

© © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

BOHDAN ZADURA (ur. 1945) jest poetą, prozaikiem, tłumaczem, krytykiem literackim i redaktorem. Debiutował w 1962 r. na łamach miesięcznika „Kamena”. Przez wiele lat związany z kwartalnikiem „Akcent”, od 2004 r. redaktor naczelny „Twórczości”. Kilka miesięcy temu ukazał się kolejny jego tomik „Po szkodzie”. Autor licznych przekładów z węgierskiego i ukraińskiego. Mieszka w Puławach. W tym roku został laureatem Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” za całokształt pracy twórczej.

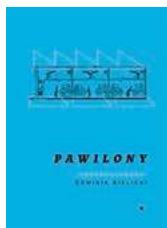
Jurorzy Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius”

ANDRZEJ ZAWADA (ur. 1948) – przewodniczący jury, historyk literatury polskiej, krytyk i eseista, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego.
GRZEGORZ JANKOWICZ (ur. 1978) – filozof literatury,

redaktor „TP”, dyrektor Festiwalu Conrada, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego.
PIOTR KĘPIŃSKI (ur. 1964) – poeta, krytyk literacki, eseista, w latach 2007-16 juror Nagrody Angelus.

KAROL MALISZEWSKI (ur. 1960) – krytyk literacki, poeta, prozaik, pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego.
ADAM POPRAWA (ur. 1959) – historyk literatury, krytyk, prozaik i poeta, pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego.

TADEUSZ SŁAWEK (ur. 1946) – literaturoznawca, anglista i amerykanista, tłumacz, eseista, poeta, profesor Uniwersytetu Śląskiego.
JUSTYNA SOBOLEWSKA (ur. 1972) – krytyczka literacka, redaktorka działu Kultura „Polityki”.



Nowe dekoracje

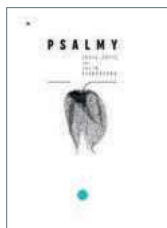
TOM WIERSZY Dominika Bielickiego otwiera motto zaczerpnięte z Jane Jacobs, aktywistki miejskiej, dziennikarki i urbanistki, znanej ze swojego sprzeciwu wobec zastępowania starej zabudowy nowymi, często zabójczymi

dla życia miejskiego pomysłami czołowych architektów XX wieku. Przestrzenność, sygnalizowana już w tytule tomu, to dla Bielickiego kluczowe, organizujące cały zbiór pojęcie. Tytuły poszczególnych wierszy pochodzą z szeroko rozumianego języka urbanistyki („Warszawa”, „Beverly Hills”, „Dom handlowy”, „Utrudnienia w ruchu”), który służy mu jako narzędzie do oglądania i komentowania polskiej rzeczywistości. Wiersze o współczesności wyrastają z konkretnych miejsc, rozrzuconych gdzieś między szarym murem z napisem „zakaz gry w piłkę” a „opieką *concierge*” monitorowanego osiedla. W Polsce „Pawilonów” jest miejsce zarówno dla focacci, jak i dla ketchupu Włocławek, a wspólnota, o której mówi poeta, potrzebuje jednego i drugiego.

Nie ma tu za to miejsca na cynizm, o który przecież łatwo, gdy pojawia się kicz polskiego miasta połączony z amerykańską prząsnością. Bielicki, zgodnie z myślą Jane Jacobs, pokazuje, że „nowe idee potrzebują starych budynków”, że nowość *à la polonaise* przyrasta do istniejących już, nieredukowalnie z nami związanych scenografii i fantazji, które zarówno łączą, jak i dzielą przestrzeń oraz jej mieszkańców.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ **Dominik Bielicki PAWILONY**, Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2017



Księga uważności

„**NIKTÓRYCH WIERSZY** nie można już napisać. / niektórych nie dało się napisać wcześniej” – mówi głos pierwszego psalmu z tomu Julii Fiedorczuk. Bo jak w tradycji psalmicznej wypowiedzieć doświadczenie

współczesności? „Psalmy” sięgają do biblijnej księgi, by nadpisać ją doświadczeniami współczesnej poetki, bacznie obserwującej swoją rzeczywistość. Dlatego tuż obok żałoby po ofiarach wojennych i krytyki ludzkiej zachłanności w czynieniu sobie ziemi podległą pojawiają się także intymne doświadczenia i uczucia. Dykcja psalmiczna pozwala przełamać osaczający nas język medialnych komunikatów, umożliwia mówienie bez uproszczeń, bez popadania w banał. Dzięki tej ramie otwierają się nowe przestrzenie: „telewizja nadawała Polskę, / która zginęła, a potem nie zginęła, a potem znowu / zginęła, a potem nie, a potem słońce / podbiło wycinankę gałęzi”.

Psalmistce udaje się jednak uniknąć sytuacji, w której życzliwym, ale i opresyjnie porządkującym gestem używa głosu bytom pozabawionym go, utrwalając tym samym własną pozycję. W „Psalmach” nie chodzi też o wycofanie własnego „ja” i ustępowanie miejsca. Stawką jest raczej maksymalne

rozszerzenie spektrum uwagi, która ma objąć nawet najdrobniejsze, molekularne wymiary świata. Wtedy to, co ludzkie, stanie się tylko jednym z wielu elementów.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ **Julia Fiedorczuk PSALMY**, Fundacja im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2017



Odchodzenie od poezji

NA SAMYM KOŃCU najnowszego tomiku Jacka Gutorowa małą czcionką, jakby od niechcenia, przeczytać możemy, że „Rok

bez chmur” może być czytany jako kontynuacja „Kartek” wydanych w 2015 r. Informacja ta, schowana między podziękowaniami a stopką redakcyjną, ma kluczowe znaczenie dla odczytania najnowszych wierszy Gutorowa – radykalnie innych od tych sprzed trzech lat. Nie ma tu typowego dla autora eleganckiego, klasycyzującego tonu, ujawniającego rzadko spotykaną erudycyjną finezję. Oba tomy różnią się diametralnie, bo „Rok bez chmur” to poezja ekstremalna, efekt skrajnej redukcji języka, sprowadzonego do nieredukowalnej resztki. Nagie słowa, które w milczeniu przyglądają się same sobie. Jeśli zatem to kontynuacja, to na zasadzie awersu albo drugiego, domykającego skrzydła ołtarza.

Niebo bez chmur to epifania: poznanie pełne i doskonałe, w którym widać rzeczy w sposób niezapśredniczony. Oczywiście osiągnięta – unieważniłaby sens istnienia poezji (bo po co szukać nowych słów, jeśli wiemy już o świecie wszystko?). Gutorow-dekonstrukcjonista wie, w jak niebezpieczną grę próbuje nas wciągnąć, dlatego zatrzymuje się tuż przed krawędzią tej świetlistej przepaści. „Odchodzenie od poezji / To też poezja” – tłumaczy się na zakończenie wiersza poświęconego Różewiczowi.

© © MICHAŁ SOWIŃSKI

■ **Jacek Gutorow ROK BEZ CHMUR**, WBPiCAK w Poznaniu, Poznań 2017



Konsolacje

PUSTE NOCE to odchodzący w niepamięć zwyczaj całonocnego czuwania nad ciałem zmarłego, któremu towarzyszy nieprzerwany śpiew. „To wtedy gdy / ktoś z nas umarł, a wiesz, zanim go pochowa,

zbiera się / w domu zmarłego, odmawia pacierze i do białego rana / śpiewa. Obejrzałem na youtube” – pisze Janiewicz. Siła pustonocnych żałobnych pieśni, prowadzonych zwykle przez męski głos, a jednocześnie ich nużąca powtarzalność, mantryczne niemal zawrodożenie („Halele, halele, do rana”), żywym przynosi ukojenie, a zmarłemu zapewnia bezpieczną podróż w zaświaty. Ale otwierając książkę wiersz, nawiązujący w tytule do kaszubskiego rytuału, jest spisana

na wzór i melodię „Hush, Little Baby” kołysanką, pełną czułych, baśniowych obietnic, charakterystycznych także dla zakochanych. „Rozstrzygnięcia” pustych nocy dotyczą bowiem u Jarniewicza „tak żywych, jak umarłych”. Poza tym, co intymne – seksem, snem i wspomnianiem bliskich, którzy odeszli – dużo tu spraw doraźnych, wspólnych: protestyzydentów, tweety Magdaleny Ogórek, „harcerki, które przegrały / z drzewem zwalonym przed nawałnicą”. News jest pieśnią żywych: „w »Zdrowiu« piszą, że kto pije kawę, jest mniej / narażony na śmierć”.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

■ Jerzy Jarniewicz **PUSTE NOCE**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017



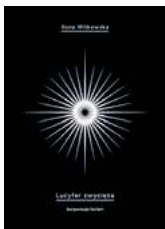
Prosto z lodówki

DLA CZYTELNIKÓW, którzy zaufali niegdyś obietnicom Barańczaka, że „można siłą kochania uchronić coś przed zmianą”, tom Marty Podgórnicy będzie wyzwaniem na miarę Ice Bucket Challenge. To książka

zimna podwójnie. Zmyślne, krągłe formy rymów i rytmów, jakimi – nie bez uszczypliwości – wyraża się tu wściekłość i frustrację z powodu utraconej miłości („rysopis cieniowany żartem”), kuszą chłodną elegancją. Ta wysmakowana wstrzeźliwość nie detonuje jednak uczuć, nie przynosi ulgi – przeciwnie, podsycia ból. Słowa „dzielone brutalnie jak lepkie truchło żaby” pozwalają emocjom powoli sączyć się i niepostrzeżenie rozrastać jak „pleśń w przeprosinowym koszu z owocami”. Ale u Podgórnicy pisze się właśnie po to, by zachować afekty *in statu nascendi*, wypreparować je i obejrzeć przez „zgruchotany kalejdoskop”. Narzędzia są niedoskonałe, a metafory eksploatowane w miłosnej poezji narzucają się same – jak porównanie do Sida i Nancy. Bo czy wszystko, co czujemy, nie jest ostatecznie tylko kulturowym palimpsestem, „lusterkiem wstecznym”? Podgórnica jest w najnowszej książce chłodną materialistką – jeśli coś nas ocala, to na pewno nie miłość, „w przyrodzie ciała giną”.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

■ Marta Podgórnica **ZIMNA KSIĄŻKA**, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2017



Naiwność liczby mnogiej

W TOMIE Ilony Witkowskiej „Lucyfer zwycięża” najmocniej wybrzmiewa powtarzające się pytanie: „kim jesteśmy my?”. Zadane powraca wielokrotnie i uparcie – zawsze, gdy głos w wierszu, trochę z rozpędu, trochę dobroduszenie, użyje liczby mnogiej: „(odruchowo używając formy nas, / kogo miałam na myśli?)”. Idea wspólnoty jest tu nieustannie kontrowana sceptycyzmem, który podważa możliwość jej za-

istnienia. Minimalizm i oszczędny język służą jako narzędzia krytycznej reakcji na każdą próbę stworzenia uniwersalnej identyfikacji. Wiara w istnienie „nas” ufundowana jest bowiem, jak zdaje się twierdzić Witkowska, na zamaskowanej konieczności wykluczenia kogoś z tej grupy. Choćby dżdżownic, które trzeba zdeptać, albo psa, którego trzyma się po to, aby poczuć wyższość na gatunkowej drabinie. Drut kolczasty z tytułowego wiersza dobitnie rozbija naiwną wiarę we wspólnotę, ta bowiem daje się pomyśleć tylko jako segregowanie i oddzielanie.

Witkowska w wielu miejscach stawia pytania, które wymuszają weryfikację chętnie wykorzystywanych frazesów: „my tu się śmiejemy, oni tam umierają. / więc co? mamy się nie śmiać? / kiedy się nie śmiejemy, to też umierają”. „Lucyfer zwycięża” to wiwisekcja skumulowanej w języku naiwności, która wcale nie jest niewinna, bo skutecznie maskuje reguły ludzkiego ZOO.

© KATARZYNA TRZECIAK

■ Ilona Witkowska **LUCYFER ZWYCIĘŻA**, Korporacja Ha!art, Kraków 2017



Plastyczność życia

„MINIMUM” Urszuli Zajączkowskiej to niemalże *artbook*. Oprócz wierszy znajdziemy tu również ryciny botaniczno-anatomiczne, komentowane

przez autorkę i realizujące jej główny zamysł: pokazania świata w niedostępnych dla ludzkiego oka obrazach. Przyrodniczo-biologiczna perspektywa u Zajączkowskiej daje efekty zarazem tradycyjne, jak i nowatorskie. Poetka oprowadza nas po świecie mikroelementów, złożonych eko-układów, zarazem porządkując je i oswajając. Nie są to jednak wiersze rozpisane wyłącznie na złagodzonych napięciach i opanowanych impulsach, choć fraza Zajączkowskiej jest bardzo spokojna i leniwa. W „Minimum” świadomość, że wszelkie układy może rozerwać nieznana energia, towarzyszy nam niemal cały czas. Najlepiej świadczy o tym wiersz „Łąka”, w którym dominuje zdziwienie możliwością przeżycia w świecie potencjalnie groźnym. Podobnie wiersz tytułowy, opowiadający o nadmiernej, potężnej energii przepływającej przez świat.

Zajączkowską najbardziej interesuje opowieść, która lawirowałaby między horyzontem poznawczo-badawczym a plastyczno-zmysłowym. Jej estetyka wyrasta właśnie z prób odnalezienia strefy wyobraźni, w której np. schematy ruchów rzęsek, opisane za pomocą matematycznych wykresów, mogą zostać uznane za manifestację radości i fantazji życia, a komunikacyjne zdolności glonów nie wynikają wyłącznie z potrzeby wymiany informacji, ale także z miłości. Niewiele w ostatnim czasie powstało książek, w których witalistycznie konstruowane obrazy byłyby tak wiarygodne, a zarazem pewne siebie.

© ANNA KAŁUŻA

■ Urszula Zajączkowska **MINIMUM**, Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2017

Wiersz jako akustyczne lustro

GRZEGORZ JANKOWICZ

**Zadura – za pomocą swoich najlepszych wierszy
– przywraca nam zdolność
trzeźwego myślenia i przytomnej komunikacji.**

1

W lipcu 1812 r. Goethe przyjechał do Cieplic (czeskich, nie jeleniogórskich) dla podreperowania zdrowia. W tym samym czasie w kurorcie bawił Beethoven. Pewnego dnia obaj panowie wybrali się na spacer do parku zdrojowego. Po kilku, może kilkunastu minutach w parku pojawił się cesarski orszak ze świtą. Na widok najważniejszych dostojników Europy Goethe przystanął, by już po chwili włączyć się w szpaler gapiów i złożyć stosowny ukłon. Dla odmiany Beethoven przyspieszył kroku, zmuszając nadchodzących do ustąpienia mu miejsca.

W eseju „Jeszcze o konfucjańskim ukłonie Goethego w Cieplicach” Andrzej Sosnowski pisze, że wspomniane gesty można potraktować jako figury dwóch postaw poetyckich. Pierwszy z nich – ukłon – wskazuje na całkowitą podległość poety względem instytucji zapewniającej ład. Grupa dostojników symbolizuje źródło porządku, przed którym Goethe kloni głowę. Składa hołd nie tyle konkretnym postaciom, ile uosabianym przez nie funkcjom i wartościom. W jego przekonaniu brak stabilnego fundamentu doprowadziłby do rozpadu świata na nieprzystające do siebie części. Rzeczywistość utraciłaby sens i stałaby się siedliskiem chaosu. Niemożliwe byłoby również tworzenie poezji, każdy bowiem wiersz Goethego to rodzaj ukłonu, za pomocą którego poeta oddaje szacunek symbolom ładu.

Drugi z gestów – szarża – jest świadectwem niezależności graniczącej z anarchią. Beethoven, który w tej mitologicznej opowieści ucieleśnia ducha artystycznego i politycznego buntu, występuje przeciwko zastanemu porządkowi. Nie kłania się światowym i pozaświatowym potęgom. Przekracza ustalone granice (polityczne, religijne, estetyczne), by wypró-

bować nowe – z perspektywy Goethego: niezrozumiałe – środki ekspresji.

Dwa gesty, dwie postawy, dwie koncepcje poezji (a szerzej: sztuki, kultury i polityki), które – jak argumentuje Sosnowski – są ze sobą ściśle splecione, połączone dialektycznym węzłem. Czy możliwe jest pisanie wierszy poza tym układem, poza poetycką dialektyką, która polega na tym, że emblematyczny „Goethe” i nie mniej umowny „Beethoven” nieustannie się ze sobą ścierają, a obecność jednego usprawiedliwia i nadaje sens obecności drugiego? Tak – odpowiada Sosnowski – istnieje trzecia droga, trzeci gest, a mianowicie wzruszenie ramion, dzięki któremu intensywność wspomnianej dialektyki błyskawicznie słabnie, a wszystkie stawki, o które wcześniej toczyła się zacięta walka, zostają zakwestionowane.

Właśnie w taki sposób pisze Bohdan Zadura.

2

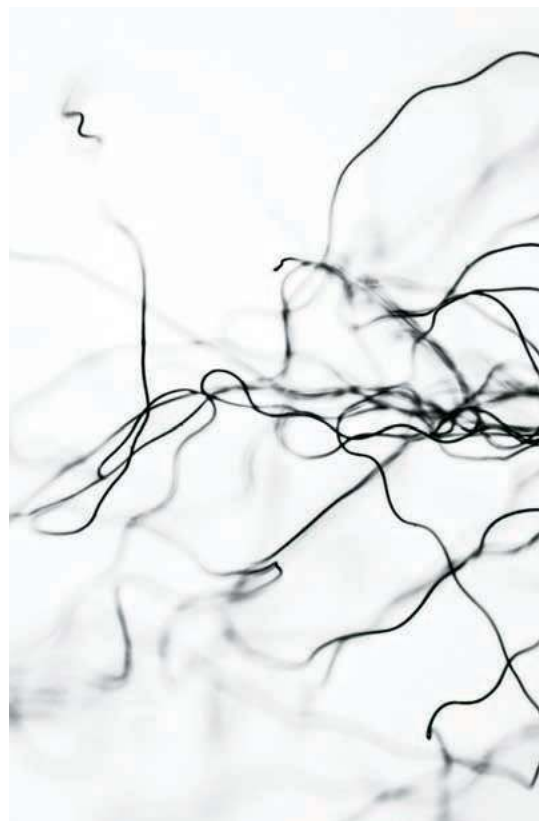
A raczej „pisał”, bo szkic Sosnowskiego powstał w 1992 r. i zdawał sprawę z ówczesnej sytuacji – był wyrazem oczekiwań sporej grupy poetów, którzy okres ustrojowej transformacji wykorzystali jako pretekst do porzucenia dawnych sposobów poezjowania. Z dzisiejszej perspektywy wszystkie z wymienionych gestów jawią się jako nieco anachroniczne, ale nie dlatego, że znikły z przestrzeni społecznej, lecz dlatego, że wykonywane są błyskawicznie i przechodzą prawie niezauważone.

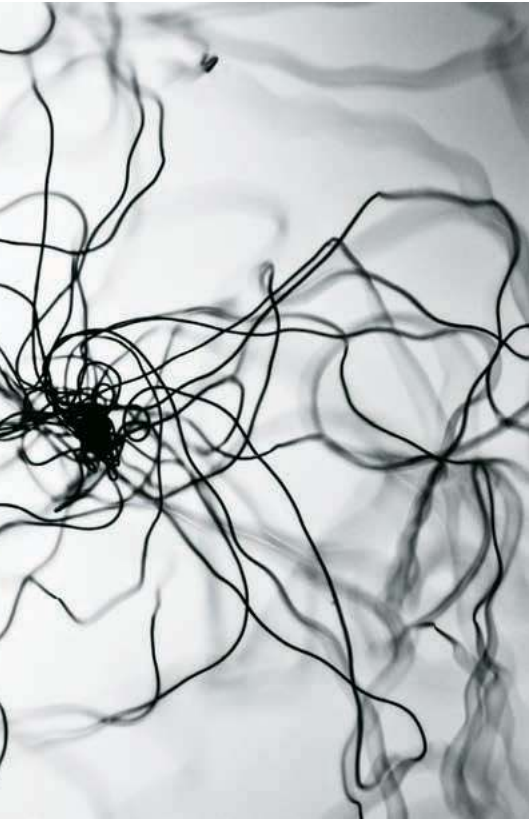
Pod koniec lat 80. i na początku 90. postawa Zadury stanowiła jednak kuszącą alternatywę. Doceniali ją wszyscy – nie tylko poeci i poeci – którzy mieli odwagę przyznać, że adoracja symboli i praktyka rewolucyjna są na dłuższą metę męczące. „Tyle lat stresów załamań i rozterek /

przejmowania się ogólnymi zdaniem” – pisał poeta w tomie „Prześwietlone zdjęcia” z 1990 r. I dodawał: „Lubię to co potrafię I chciałbym / by to co potrafię cieszyło tych których lubię / (nie zamieniłbym ich na klasę naród ani ludzkość)”. Ukłony i rewolucje mają sens wyłącznie wtedy, gdy ich odbiorcy należą do klasy, narodu lub ludzkości. Wzruszenie ramion to komunikat dla wąskiego grona, które potrafi docenić wdzięk, czujność i ironię.

Jednak poezja Zadury nie zawsze była taka i nie pozostała taką na zawsze. Zaczynał pod koniec lat 60. jako neoklasycysta, autor kunsztownych form poetyckich, które stanowiły wyraz jego przeświadczenia, zgodnie z którym przymus estetyczny może być źródłem wolności. Ten sposób poezjowania porzucił w trzecim tomie pt. „Pożegnanie Ostendy”, w którym pisał, że neoklasycyzm był „szkołą rygoru i dyscypliny Pewnej (...) / Odpowiedzialności intelektu uczył rzetelności”. Ale w pewnym momencie – parafrazując Zadurę – wiersz przestał się składać wedle starej składni, gdyż wedle starej składni przestał się składać świat.

Niniejszą formułę można rozumieć na dwa sposoby. Na pierwszy rzut oka chodzi o to, że zmieniający się świat dyktuje warunki i domaga się od poety odpowiedniego wyrazu. Uważna lektura odsłania przed nami inną możliwość: wiersz nie





ISTOCK / GETTY IMAGES

jest odzwierciedleniem świata, lecz narzędziem, za pomocą którego można poskładać elementy rzeczywistości. Aby ta sztuka się udała, narzędzie musi być sprawne. W ostatnim tomie z lat 70. zatytułowanym „Małe muzea” Zadura pisał, że „wiersz / winien się sprawdzać / na wszystkich piętrach / znaczeń”. Neoklasycystyczna forma poetycka została odstawiona do archiwum, gdyż okazała się nieefektywna.

Kolejne książki przynosiły utwory, w których coraz ważniejszą rolę zaczęła odgrywać anegdota, nie tylko w sensie potocznym, ale także etymologicznym (coś, co nie zostało wcześniej udostępnione). Wzruszenie ramion wiąże się bowiem nie tylko z odrzuceniem pewnych obowiązków, ale także z afirmacją tego, co było wcześniej przez poezję (przynajmniej polską) ignorowane: codzienności, prywatności i banalności. Wiersze Zadury powstające od połowy lat 80. były rozpisane na wiele odcinków rozmową o codzienności prowadzoną z językiem, z innymi poetami i czytelnikami.

W zasadzie na każdym etapie swojej twórczości poeta spotykał się z zarzutami, że nie wypełnia powierzonej mu misji. Największe cięgi zbierał w okresie transformacji, gdy jego poetyckie poglądy nagle zostało przez niektórych krytyków uznane za ostateczną zdradę wartości, a raczej zdradę tych, którzy owe warto-

ści wzięli w obronę – tym razem nie przed polityką, lecz wolnym rynkiem i kulturą masową.

I gdy wszystkim się zdawało, że Zadura już zawsze będzie pisał tak, jakby gwizdał, on po raz kolejny wykonał woltę.

3

W jednym ze swoich szkiców napisał, że skoro fizyk zajmuje się rozwiązywaniem problemów fizycznych, matematyk – matematycznych, a pedagog – pedagogicznych, to logiczne, że poeta powinien mieliby swój czas wyłącznie na rozwiązywanie problemów poetyckich. No dobrze, ale co to za problemy? Jeśli rzeczownik „poezja” wywodzi się od greckiego czasownika „poiein”, który oznacza „robić” lub „wytworzyć”, to znaczy, że zadanie poetki/poety polega na przewycięzaniu problemów związanych z wytwarzaniem wierszy z języka, a ostatecznie także problemów związanych z samym językiem, ze sposobem, w jaki się nim posługujemy. W drugiej połowie lat 90. Zadura zajął się naszymi prywatnymi i publicznymi językami, ale już nie po to, by prowadzić rozmowę o codzienności, lecz po to, by odsłonić to, co się w naszej mowie zagnieżdżyło: absurd, sentymentalizm, okrucieństwo i głupotę.

W wierszu „Proste zasady” z tomu „Kaszel w lipcu” (wyd. 2000) pisał: „Mając do dyspozycji »widzisz« i »a nie mówiłem« / wybieram to pierwsze (...)”. Nie zawsze wybiera to pierwsze, ale najlepszy jest właśnie wtedy, gdy jego wiersz staje się dla naszego języka „akustycznym lustrem”. Nie tylko podrzuca nam wówczas przykłady słownych nadużyć, ciemnych językowych interesów, przekrętów, nierzetelności i przewalaniek, ale także daje wgląd w mechanizmy, które determinują naszą komunikację i nasze społeczne interakcje.

Chciałbym to z całą mocą podkreślić: w ostatnich dwóch dekadach Zadura nie był wyłącznie ironistą wykazującym głupotę opętanej ideologiczną szajbą jednostki, klasy czy ludzkości, lecz poetyckim analitykiem języka. Andrzej Sosnowski nazwał to „oświeceniową poetyką oświeclania publicznej rzeczy”, czyli publicznej mowy, jeśli pamiętamy, że „rzecz” pochodzi od „rzekać”. W wierszu „Tak wolę” (z tomu „Nocne życie”, wyd. 2010) Zadura pisze: „prawo moralne nade mną / i niebo gwiżdżiste we mnie”, co odczytuje jako wskazówkę dotyczącą jego metody. Oświeceniowa z ducha racjonalność nie zostaje odrzucona, lecz odwrócona,

co pociąga za sobą zmianę perspektywy: oto prawu moralnemu i innym instrumentom, za pomocą których organizowane jest życie wspólnoty, przyglądamy się z dystansu, a nawet z ukosa, słowem: krytycznie.

Oto garść przykładów. W przywołanym już tomie „Kaszel w lipcu” znajdujemy kawałek pt. „Dwa transparenty (1968 – 1995)”: „Młodzież zawsze z partią / Salezianie zawsze z Papieżem”. Refleksja po pierwszej, szybkiej lekturze? Ta sama forma, inna treść. Sprawa jest jednak poważniejsza: otóż ta sama forma, czyli ten sam gramatyczny i stylistyczny mechanizm, sprawia, że różnica treści traci znaczenie. Bezwład umysłu, który przyswoił sobie te frazy, jest niemal absolutny.

A wiersz „Postę” (z wydanego w ubiegłym roku tomu „Po szkodzie”), w którym czytamy: „Patriotyczną młodzież / zastąpiła patriotyczna odzież”? Wszak 11 listopada jedynymi otwartymi w Warszawie sklepami są butiki z odzieżą patriotyczną, by każdy mógł się wyposażyć w bluzę lub opaskę z plemiennymi znakami. Co to mówi o naszym sposobie świętowania? Czy nie powinno nas niepokoić, że – jak czytamy w innym wierszu z tej samej książki – „Nasze dzieci mają białoczerwono w głowach”? Czy przechwycona przez Zadurę wypowiedź prawicowego publicysty – „miałem przyjemność / czytania stenogramów / procesu norymberskiego” – to efekt beznamiętnego „gadania”, czy też mimowolnie ujawniony dowód perwersyjnej rozkoszy, której źródłem jest obcowanie z zeznaniami zbrodniarzy, a szerzej – dokumentami zbrodni?

Zaryzykowałbym następującą tezę: wykonany w odpowiednim momencie gest wzruszenia ramion pozwolił autorowi „Prześwietlonych zdjęć” uniknąć poetyckiego zramolenia, które innym – często dużo młodszym od niego – uniemożliwia kontakt z mową współczesnego świata. Gdy co poniektórzy wciąż jeszcze się kłaniają lub szarżują, Zadura – za pomocą swoich najlepszych wierszy – przywraca nam zdolność trzeźwego myślenia i przytomnej komunikacji. Przesuwa skompromitowane prawo moralne ponad nasze głowy („Chrześcijańska nienawiść jest o niebo lepsza” – pisze w wierszu „Dopowiedzenie” z tomu „Otwarte”), a w środku instaluje gwiaździste niebo będące metaforą zbioru rozdrobnionych myśli, które pilnie trzeba nam połączyć w nowe konstelacje. ©P

PORZĄDKOWANIE ŻYCIA

ANDRZEJ FRANASZEK:

Biograf nie jest od tego, żeby się wzruszał. Chodzi o jak najuczciwszy obraz bohatera i pocucie, że nie robisz czegoś gorzej, niż możesz. W efekcie mówisz więcej rzeczy trudnych, niżbyś z początku zamierzał.

MICHAŁ OKOŃSKI: Zrobiłem sobie notatki do naszej rozmowy na czerpanym papierze. Znalazło się go trochę przy okazji remontu w redakcji.

ANDRZEJ FRANASZEK: Już się cieszę na myśl, że to będzie pierwsze pytanie.

Chodzi mi o to, że i dla Ciebie, i dla bohatera Twojej ostatniej książki przedmioty są ważne.

To prawda. W „Diariuszu greckim” Herbert opisuje np. zauroczenie poznaną w Atenach młodą prostytutką z Pireusu. Zachwyca go jej wygląd, zachowanie... wszystko, z wyjątkiem imienia. Dziwne imię Vivien – pisze – zupełnie niepasujące do całej tej postaci. Czytałem ten tekst dawno temu, a potem w archiwum, w jednej z tysięcy teczek i kopert odnalazłem wizytówkę z imieniem Vivien i numerem telefonu. To, że ona rzeczywiście istniała, było w jakiś sposób poruszające.

Ale w jaki?

Napisałem niedawno, niebezpiecznie zmierzając w stronę patosu, że dzięki tym przedmiotom obcuje z duchami zmarłych. Biograf musi szukać sposobów umożliwiających czytelnikowi znalezienie drogi do swojego bohatera. Jeśli jednak w tej rozmowie chcesz mnie pocią-

gnąć w rejony osobiste, to egocentrycznie wyznam, że odkąd pamiętam, interesowała mnie przeszłość. Nawet w domu rodzinnym zwracały moją uwagę nieliczne dawne przedmioty: wyróżniały się z tłą, zadawały pytanie, jakie jest ich przeznaczenie i kto ich dotykał.

Przestrzeń myślowa związana z odchodzeniem, śmiercią i przemijaniem jest dla mnie po prostu istotna.

Dlaczego Herbert zachowywał te wszystkie przedmioty?

Ano właśnie: czy chodzi o melancholię, z którą gromadzimy różne rzeczy, żeby ustabilizować świat, w którym żyjemy? W nas samych jest tyle niepokoju, że zbieranie przedmiotów jest sposobem potwierdzenia naszego istnienia?

Jest jeszcze inna możliwość – przekonać o własnej wielkości. I Miłosz, i Herbert mogli sądzić, że to, co z nimi związane, będzie ważne dla tzw. potomności.

Standardowe pytanie do biografów: czy pan żyje życiem swojego bohatera, czy się pan z nim utożsamia?

Zawsze mówiłem, że to nieprawda, ale... Nieco przesadzając: więcej przecież wiem o spotkaniach Zbigniewa Herberta z Leopoldem Tyrmandem w latach 50. niż

o bieżącej sytuacji politycznej. Literackie dylematy Miłosza czy Herberta wydają mi się ciekawsze niż poetów współczesnych. Nie mówię tego w sensie wartościującym, tylko oddając prywatną perspektywę.

A nie są to te same dylematy? Jako tzw. młody krytyk pisywałeś jednak o współczesnych poetach.

To było dawno temu. Mam też wrażenie, że nas obu dotknęło coś podobnego. Ty przecież też pojawiłeś się wcześniej w „Tygodniku” i „Tygodnik” wrzucił cię w świat ludzi znacznie starszych. Miałeś dwadzieścia parę lat i było dla ciebie całkiem naturalne, że jedziesz do Neapolu robić wywiad z Herlingiem-Grudzińskim. „Tygodnik” umożliwił nam poznanie ludzi, których rówieśnicy nie poznawali, ale w kwestii wrażliwości i zainteresowań przeniósł nas w bardzo dorosłe rejony.

Ciekawe, że mówisz w liczbie mnogiej.

Dobrze, będę mówił w pojedynczej. Kiedyś mnie ten dysonans przejmował, ale później dokonałem wyboru. Nie zamierzam jeszcze umierać, ale uświadamiam sobie, że czas płynie, a chciałbym zrobić jeszcze coś ważnego dla siebie i może dla innych) więc łatwiej mi myśleć z prawdziwym przejściem np. o Józefie Czapskim,



ANDRZEJ FRANASZEK (ur. 1971) jest dziennikarzem „TP” i wykładowcą Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Właśnie ukazała się jego dwutomowa biografia Zbigniewa Herberta, wcześniej opublikował podobną pracę o Czesławie Miłoszu.

niż zastanawiać się, czy nowa książka Masłowskiej jest lepsza od poprzedniej.

Ale skoro już przywołałeś naszą młodość, to ja bym powiedział, że cechą charakterystyczną Twojego pisania o literaturze było wtedy używanie go do radzenia sobie z własnym doświadczeniem egzystencjalnym.

Praca nad biografią jest czymś bezwzględnie bardziej obiektywizującym. Chodzi głównie o pracę rzemieślniczą: badanie archiwów, czytanie listów. Ona oczywiście musi być związana z wrażliwością i empatią, ale reflektor zainteresowania kierujemy z naszej duszy na czyjąś.

Jednak filtrujesz wszystko przez własne doświadczenie.

Każdy to robi. Czytamy te same książki w inny sposób. Inaczej odbieramy ten sam krajobraz. Ale nasze doświadczenia sprawiają też, że stajemy się mniej radykalni w ocenach innych. Herbert wprawdzie z czasem stawał się – przeciwnie – bardziej pryncypialny, przywiązany do własnego zdania i do własnej ważności. Zdaje się, że to częste u mężczyzn, ale nie musi być powszechne.

Ty i ja np. mamy prawie 50 lat. Bywały w naszym życiu momenty, o których wiemy, że zachowaliśmy się tchórzliwie czy podle. Jeżeli to sobie uprzątniemy, łatwiej nam o rozumiejący dystans wobec decyzji i postaw innych. Podczas pisania książki o Herbercie zauważyłem, że często używam konstrukcji zdaniowych typu: „weźmy jednak pod uwagę”, „z innej perspektywy moglibyśmy powiedzieć, że”.

Miewałeś dość swojego bohatera?

Niektórzy otrzymywali od niego tylko dobro. Np. Ryszard Krynicki, którym Herbert się na różne sposoby opiekował, a który dziś poświęca mnóstwo energii, żeby wydobyć →

→ z archiwum i odczytać porzucone przez niego utwory. Ktoś inny pamięta jednak Herberta z imprezy, gdzie szybko się upił i komuś obsesyjnie dokuczał. Ktoś, kto z wielkim oddaniem przez 20 lat tłumaczył go na angielski, nagle otrzymał list, że jest oszustem, nieudacznikiem, odpowiedzialnym za załamanie kariery poety na Zachodzie – chodzi mi tu o Johna i Bogdanę Carpenterów, później zresztą przezeń przeproszonych.

Część z takich ekscesów musimy oczywiście wiązać z chorobą psychiczną, ale i bez niej Herbert miał skłonność do wypowiadania twardych osądów. Bywał niesprawiedliwy. Nie przyzwiedzajmy jednak togi moralisty. Np. czytając listy 25-letniego Herberta do zbliżającej się do czterdziestki Haliny Misiólkowej...

...pierwszej miłości, którą porzucił...

...możemy myśleć, że kierował nim lęk przed związaniem się, przed rutyną życia poświęconego wychowaniu dzieci, zarabianiu na utrzymanie rodziny. Może był niepewny miłości, która go związała z tą kobietą, może wcale nie chciał jej ranić, choć ranił ją tym bardziej?

Justyna Dąbrowska zadała świetne pytanie Ryszardowi Horowitzowi: „dlaczego twórcy często są podli”? I jaka padła odpowiedź?

„Bo mogą. A przy tym często są geniuszami i tworzą wspaniałe rzeczy”.

To nie jest odpowiedź, która by definiowała Herberta. Na szczęście.

Postawić kropkę po tym „bo mogą”?

Ale co to znaczy „bo mogą”? To znaczy, że są też inni, którzy im na to pozwalają. Dlaczego? Niekoniecznie dlatego, że ich wielbią jako poetów, ale np. dlatego, że ich kochają. Ktoś mógłby powiedzieć, że pani Katarzyna była w tym związku ofiarą, ale ona sama wielokrotnie podkreślała, że oprócz przygód intelektualnych, poczucia humoru, zawdzięcza mu intensywność przeżywania świata, która w takim natężeniu jest niemal niespotykana. Z pewnością są artyści, którzy mają poczucie, że ich twórczość usprawiedliwia wszystko, ale nie sądzę, żeby to był ten przypadek. Najprościej wierzę, że Herbert naprawdę chciał wybierać dobro.

A co z jego chorobą? Istnieje pokusa, by w niej szukać usprawiedliwienia,

ale jak dostrzec spoza niej człowieka, który przecież tyle razy ją przekracza?

Staralem się to wypóśrodkować. Najsilniej tę pułapkę widzę zresztą w paśmie, nazwijmy je, politycznym. Pod koniec życia Herbert związał się z prawicą, bo opowiadał się za radykalnymi rozliczeniami z komunizmem. Ale ten fakt nie pozwala łączyć go z nacjonalizmem i dlatego przytaczam jego wypowiedzi, że np. państwo jednolite narodowościowo to państwo faszystowskie. Byłby chyba oburzony tym, że nie chcemy przyjmować uchodźców: że ludzie gdzieś są mordowani albo żyją w strasznych warunkach, a my syci i zadowoleni nie chcemy nic zrobić.

A nie jest tak, że poglądy biografa rzutują na bohatera? W jednym z wywiadów powiedziałeś, że Herbert nie napisałby wiersza o katastrofie smoleńskiej – przecież tego nie wiesz. Może jednak znalazłby formułę. Albo powstałoby coś płaskiego, jak napisany przeciwko Miłoszowi „Chodasiewicz”.

Kiedy pisał „Chodasiewicza”, był człowiekiem schorowanym i pełnym goryczy. Miał poczucie, że znalazł się na marginesie. Nie zmienia to faktu, że jego poglądy zawsze były inne od poglądów Miłosza. Jeżeli dla Herberta w latach powojennych kontakt z redakcją katolickiego „Tygodnika” był naturalny, to Miłosz uważał go za strategicznie ryzykowny – mimo przyjaźni z Jerzym Turowiczem. Kiedy Herbert pierwszy raz wyjechał na Zachód, to owszem: odwiedził Maisons-Laffitte, ale nawiązał też kontakt z młodzieżówką chadecką. Lewicowość kojarzyła mu się z Sowietami – inaczej niż Miłoszowi, dla którego to była opozycja wobec antysemityzmu, endecji i nacjonalizmu w latach 30.

Bliższy był Ci Miłosz.

W paśmie prywatnym – niewątpliwie. Boże drogi, przecież obaj go znaleźmy i orbitowaliśmy gdzieś w odległych zakamarkach jego świata. Z Herbertem takiej relacji nie miałem. Jako przedstawiciel „Tygodnika” wysłałem do niego parę listów i tyle. Jednak w paśmie poezji, w paśmie wielu postaw życiowych – tu już wybory byłyby trudniejsze. Wydaje mi się czasem, że Herbert był człowiekiem bardziej prostolinijnym, mniej przywiązany do samego siebie od Miłosza.

A poza tym, pisząc o Miłoszu byłem trochę innym człowiekiem.

Jak byś opisał tę różnicę?

Myślę, że tamta książka jest napisana bardziej od wewnątrz, z perspektywy bohatera. To nie znaczy, że nie miałem żadnych trudności, np. pamiętam moment, kiedy skończyłem wątek jego powojennej współpracy z rządem komunistycznym i poczułem ulgę, że teraz będzie ucieczka do Maisons-Laffitte i „Kultura”.

Znów mówisz o wyborach ideowych.

Proszę bardzo: w przypadku Herberta przeszkadzał mi sposób, w jaki traktował kobiety. Że odżegnywał się od miłości Haliny Misiólkowej, ale w tym samym liście przyjmował od niej książkę, a na koniec prosił, by przepisała na maszynie kilka wierszy.

Ała.

Nie doczytałeś.

Nie boli Cię to? Poświęciłeś temu wiele lat, a teraz przychodzi do Ciebie kolega, który nie doczytał.

Nie, nie boli. Nie wydaje mi się, żebym pisał jedynie po to, by być masowo czytany. Oczywiście fascynuje mnie postać, którą opisuję, jakoś czekam na odzew czytelników, ale istotne jest również, że sprawia mi to przyjemność.

Jaką?

Choćby taką, że można z chaosu uczynić porządek. Mój sposób pracy polega na tym, że najpierw zbieram olbrzymią ilość materiałów, co mi zajmuje sporo czasu – w przypadku Herberta było to dwa-trzy lata. Potem, co w przypadku tej książki zajęło mi chyba pół roku, staram się stworzyć jej plan, jakbym pisał wypracowanie.

Na biurku? Na kolorowych fiszkach?

W komputerze, na biurku by się już nie zmieściło.

Czytam tom korespondencji, powiedzmy, Herberta z Tadeuszem Chrzanowskim, i zauważam mnóstwo ciekawych rzeczy. Wszystkie te rzeczy wypisuję, powstaje kilkudziesięciostronicowy plik z notatkami. Każdy z cytatów pasuje do jakiegoś innego miejsca książki, zadanie polega na ich poroździelaniu. W dawnych czasach pewnie wycinałbym je nożyczkami i przyklejał do gigantycznej tablicy.

Czyli przy takim cytacie wstawiasz sobie numer rozdziału?

Raczej mam pliki z rozdziałami gotowe.

Wpisujesz np., „Chrzanowski 17”?

Dokładnie. I kiedy w końcu to mam, zaczynam pisać.

W przypadku biografii Herberta pisanie zajęło mi jakieś półtora roku. Takie, że wstajesz rano, stukasz w klawiaturę, masz dość, idziesz na spacer, coś zjesz, później ciągniesz do wieczora, już ci jest niedobrze od tego, ale rano znowu zaczynasz.

8 godzin dziennie?

10-12 raczej.

Przez półtora roku 10 godzin dziennie pisanie?

Tak. Ale pamiętaj, że w olbrzymim stopniu opieram się na cytatach. Nie jestem reporterem, jak np. Magda Grzebałkowska.

Niewiele rozmawiasz ze świadkami.

Bo nie pamiętają zbyt wiele. I niezbyt wielu jest tych, co potrafią mądrze mówić.

Dziękuję w imieniu wszystkich przyjaciół Zbigniewa Herberta.

Kiedy Kasia Kubisiowska pisała biografię Jerzego Pilcha, poprosiła o rozmowę na temat naszego życia redakcyjnego.

Uważałem, że jestem świetnie przygotowany, ale kiedy zacząłem opowiadać, poczułem obrzydzenie do samego siebie, bo wszystko zaczęło mi się rozmywać w podrzędnych anegdotach, a o chronologii nie miałem zielonego pojęcia. Tutaj też mi się zdarzało, że siedłem do kogoś, kto zapowiadał, że opowie fantastyczne rzeczy o Zbyszku, a okazywało się, że chodzi o jedną anegdotę i ogólne stwierdzenie, że „on był naprawdę nadzwyczajnym człowiekiem”. Oczywiście są wyjątki: Barbara Toruńczyk, Adam Zagajewski, Zdzisław Najder, a przede wszystkim Katarzyna Herbert.

W archiwum nie będziesz miał sceny, tembru głosu, zapachu, światła.

Dawniej ludzie pisali listy i dzienniki. Któregoś dnia pijany Herbert szedł z Janem Józefem Szczepańskim przez Warszawę. Ciągłe kogoś zaczepiał, zagadywał do ludzi, a w końcu dotarli do siedziby Czytelnika, gdzie pożyczył od redaktorek trochę ciuchów, umalował się i przebrał za tzw. kokotę, a potem przysiadł do stolika jakichś reżyserów i z pijacką gwałtownością dopytywał „ale czy panom chodzi o sztukę, czy o pieniądze?”. Szczepański to opisał na bieżąco. To nie jest wyklątkę wspomnienie sprzed wielu lat.

Pisanie biografii Herberta zajęło mi półtora roku. 10-12 godzin dziennie.



Jakbym miał być biografem Andrzeja Franaszka, tobym jednak napisał, że woli siedzieć w archiwach, bo ma trudność z rozmawianiem z ludźmi.

Czy przypadkiem nie mówisz bardziej o sobie, „mój przyszły biografie”? Na potrzeby książki odbyłem ze 20 spotkań. Obiektywnie jednak uważam, że – z wyjątkiem wspomnianych – nie były kluczowe.

Dobrze zrozumiałem, że pisałeś przede wszystkim dla siebie?

Nie przede wszystkim, ale także – no bo chce się coś stworzyć przecież. Jestem jednak pewien, że nie wykorzystywałem materii biografii Herberta dla siebie. Kiedy mnie ktoś pyta, czego nie ma w tej książce, odpowiadam, że jest wszystko. Nie stosowałem autocenzury. Sam proces tworzenia był jednak dla mnie istotny także na osobistym poziomie: stwarzania, a mówiąc ostrożniej – konstruowania.

Zawsze można czegoś nie dostrzec, nie zrozumieć, przeczytać lub wyprzeć. Zapytam kontrolnie: czy dziś poprawiałbyś bardzo książkę o Miłoszu?

Trochę się pojawiło nowych materiałów, byłaby więc pewnie grubsza. Ale na pewno nie musiałbym niczego zmieniać dlatego, że kiedyś działał we mnie wewnętrzny cenzor.

Chodzi o dwie rzeczy. O możliwie najuczciwszy obraz bohatera. I poczucie, że nie robisz czegoś gorzej, niż możesz: że robisz to porządnie. Z tego drugiego zamierzenia może nawet wynikać, że mówisz o nim więcej rzeczy trudnych, niżbyś z początku zamierzał. Nie stajesz się bezwzględny, ale bardziej ci zależy na prawdzie niż na czyichś uczuciach. Oczywiście fakt, że bohater nie żyje, sprawę ułatwia.

Żyje wdowa.

Przestrzegałem granic intymności i unikałem epatowania drastycznymi szczegółami. Ale na pewno nie przykrawałem niczego pod kątem emocji rodziny. Poza wszystkim: znając polskie życie kulturalne, mogę zaryzykować hipotezę, że druga całościowa biografia Herberta czy Miłosza prędko nie powstanie. To nie ma nic wspólnego z moim „geniuszem”, chodzi o realia rynkowe, inne niż np. we Francji, gdzie może powstać pięć biografii Prousta. Innymi słowy: pisać coś takiego, naprawdę nie można myśleć doraźnie.

Kiedy powiedziałeś, że piszesz dla siebie, chciałem zapytać: a dla niego?

Mam nadzieję, że mógłbym spojrzeć w oczy zarówno Czesławowi Miłoszowi, jak Zbigniewowi Herbertowi, i powiedzieć: „Zrobiłem najuczciwiej, jak potrafiłem, wydaje mi się, że jestem w porządku”.

Nie było w tych życiorysach czegoś, co Cię głęboko poruszyło?

Biograf nie jest od tego, żeby się wzruszał, ale – skoro nie przeczytałeś – opowiem ci historię podróży Herbertów do Madrytu. Jest druga połowa lat 80., poeta marzył o niej od 30 lat, ale nie miał wizy. Już po upadku Franco, kiedy jego wiersze ukazały się w Hiszpanii, pod wpływem nagłego impulsu mówi do żony: „Jedziemy”. Pakują się, idą na dworzec, mają jakieś perturbacje na granicy, ale w końcu docierają. Późny wieczór, nie mają noclegu. On ma astmę, jest opuchnięty, chodzi z trudem. Wsiadają do taksówki, proszą, żeby ich zawieźć do jakiegoś hotelu. Tam, gdzie są miejsca, jest dla nich zbyt drogo. Po kilku godzinach poszukiwań zesperowany Herbert mówi, by jechać do szpitala. Jest noc, trafiają na izbę przyjęć. Lekarze go badają, widzą, że →

→ faktycznie jest chory, ale nie wymaga natychmiastowej hospitalizacji, poza tym nie jest ubezpieczony. Pozwalają mu dościsnąć do rana w poczekalni, na plastikowych, twardych krzesłkach. Pani Katarzyna co jakiś czas zasypia, Herbert ją szturcha, bo ciągle się boi, że ich wyrzucą, więc ona wstaje, chodzi do łazienki, płucze twarz zimną wodą. Rano jadą do Prado, gdzie ona wypożycza wózek inwalidzki i następnie pcha go przez kolejne sale pod „Przódki” Velázqueza, bo chciał napisać esej o malarstwie hiszpańskim. Pod „Przódkami” Herbert czuje się bardzo źle. Trzeba wezwać pogotowie. Resztę pobytu spędza w pokoju hotelowym, wysyłając żonę na miasto i prosząc, by opowiadała, co widzi.

I co o tym myślisz?

Wzruszające. Straszne. Kondensujące wiele wątków z jego życia. Próbował nie poddać się chorobie. Był zdeterminowany. Zafascynowany obrazem, którego dotąd nie widział, a który był dla niego tak ważny, że wszystko przestało się liczyć.

Ja tu widzę przede wszystkim spontaniczność. I to, że oni są w tym razem.

No ale przecież nie wtedy, kiedy nie mają pieniędzy i ryzykują tak bardzo.

Może właśnie wtedy. Widzisz, jak pisząc biografię, piszesz przez siebie?

Mnie się wydaje, że ty patrzysz na to z perspektywy rozpoczynania takiej wyprawy, a ja z perspektywy końca. Przecież pani Katarzyna przez cały czas mogła się zamartwiać, że on umrze.

Może nie było mu obojętne, jak umrze.

W jednym z listów napisał, że tak się zachowywał, jakby miał umrzeć przed obrazem Velázqueza. Racja, że można na to różnie patrzeć. Można w tym widzieć rojenia chorego człowieka, który nie liczy się z uczuciami najbliższych, a można dostrzegać heroizm i niepoddawanie się śmierci. Ja tu nie stawiam kropki nad i.

Jak panujesz nad ogromem materiału?

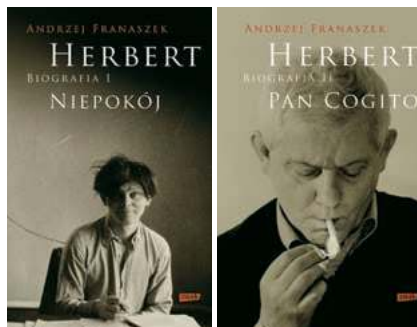
Być może za cenę umiarkowanego panowania nad mnóstwem bieżących kwestii z własnego życia. Dziś zastanawiam się np., jak się nazywał aktor w filmie, który niedawno widziałem, ale kiedy pracowałem nad biografią byłem jednak w stanie pamiętać, że historia ze strony osiemsetnej tomu drugiego pasuje bardziej na stronę trzechsetną pierwszego. Z początku

zresztą wydawało mi się, że książka będzie dużo mniejsza niż biografia Miłosa.

Ta objętość to też argument za „pisałem dla siebie”. Jeśli Twoją misją miałyby być spopularyzowanie postaci, dzieło powinno być krótsze.

Wiesz, ja nie wierzę, że ludzie potrafią czytać tylko krótkie teksty i że mam w związku z tym skrócić jakiś esej o połowę, żeby mógł się ukazać. Nie ja jeden zresztą, bo chyba mamy tu też wytłumaczenie ostatnich wzrostów sprzedaży „Tygodnika”.

Nie chodzi więc o to, że lubię mieć na półce wielkie cegły z moim nazwiskiem. Chodzi o zadowolenie, że zawarłem tu mniej więcej to, co chciałem. Nie dla zaspokojenia własnego ego, ale dania świadectwa prawdzie. Napisz, że to jest bardzo „Tygodnikowa” książka.



Napiszę, że się uśmiechasz złośliwie. I zapytam Cię, à propos „Tygodnika”, o pewną plotkę powtarzaną przez archiwistów: że pożarłeś optatek, który Józefa Hennelowa dołączyła do listu wysłanego do Herberta w latach 50.

Oczywiście nie zjadłem optatka, który pani Józefa (wówczas Golmontówna, bo list pisany był przed jej zamążpójściem) wysłała Herbertowi. A owa plotka przykrywa bardzo piękną historię. Otóż kiedy na początku lat 50. młody poeta otrzymuje propozycję pracy na Wiślniej, wiąże go nić emocjonalna z panią Józefą – nić, którą trudno zdefiniować i której być może sami nigdy nie zdefiniowali. On jest szarmancki, o niej koledzy mówią, że się w nim podkocha. Tym, co zwraca moją uwagę, jest jej absolutna powściągliwość w próbie narzucenia mu swojej osoby, a później list, w którym pisze, że podjęła ważną decyzję życiową: że poznała kogoś i chce wyjść za mąż. Złowi dalej, że zdaje sobie sprawę, iż ten związek nie będzie może pełen aż tak intensywnych emocji, ale dzięki niemu ona uzyska coś, co pozwoli się jej spełnić

w tym, co dla niej najważniejsze: robienia czegoś dla innych. Idę w tę stronę, bo tu jest więcej dobra, nie tylko dla mnie – pisze mniej więcej pani Józefa.

Chyba drugi raz w tej rozmowie pada fraza o wyborze dobra.

Bardzo lubię cytować Simone Weil, którego sens jest taki, że zło, o którym czytamy w literaturze, przyciąga uwagę i wydaje się piękne, podczas gdy zło, które spotykamy w życiu, jest podłe, odstręczające i nie ma w sobie żadnej wzniosłości. Inaczej dobro: w literaturze bywa mdłe, w życiu jednak zachwyca absolutnie.

Herbert przywdziewa maski, używa głosów różnych prokonsulów, żeby powiedzieć coś o sobie. A biograf?

Do głowy by mi nie przyszło, by poprzez życie Herberta opowiadać o własnym. Jeśli nie powiedziałem tego dostatecznie jasno, to powtórzę: biograf jest medium czy, mówiąc skromniej, pośrednikiem. Jak Herbert mówił o wierszu: powinien być niczym okno otwarte na rzeczywistość, nie zwracać uwagi na siebie, ale na świat.

Jest przy tym mnóstwo okoliczności zewnętrznych. Ktoś zamawia u ciebie książkę. Postać cię interesuje. Masz poczucie, że ten zamysł ma sens. No i co masz lepszego do zrobienia w tym życiu?

Życie.

I co to znaczy? To, że piszesz książkę, nie oznacza, że przestajesz żyć i przeżywać.

Półtora roku pisania po 10 godzin dziennie, przypominam.

Wiem, że nie chodząc do redakcji tracę dużo dobrych, codziennych relacji. Ale zawsze jest coś za coś. Jedni wolą robić dużo rzeczy mniejszych, ja wolę pracować w długiej perspektywie i szalenie mnie irytują ciągle zmiany. Chcę poznać jeden temat, ale za to naprawdę, a nie pisać co tydzień o czymś innym. Lubię czytać stare listy, jeździć do archiwów, zamykać się tam przed naporem współczesności. Postaci, którymi się zajmuję, są dla mnie ważne. Mam ochotę przebywać w ich cieniu.

Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Zawód: biograf.

Nie mogę wykluczyć. Podpisałem umowę na biografię Czapskiego. Czy będę umiał ją napisać, to inna sprawa – akurat tu nie ma we mnie cienia pychy.

© © Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI



ROGER WOOD / THE HENRY MOORE FOUNDATION ARCHIVE

Henry Moore, ok. 1954 r.

Tajemne formy człowieczeństwa

PIOTR KOSIEWSKI

W Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku po raz pierwszy od wielu lat można zobaczyć dzieła Henry'ego Moore'a, kluczowego dla naszych czasów artysty.

HENRY MOORE TO JEDNA Z NAJWAŻNIEJSZYCH postaci XX wieku, rzeźbiarz, który wpłynął na kolejne pokolenia artystów, nie tylko brytyjskich. Edukację artystyczną rozpoczął w 1919 r. w Leeds School of Art. Trafił tam, bo otrzymał stypendium dla byłego żołnierza – podczas I wojny światowej jako 18-latek na ochotnika zaciągnął się do wojska. Na uczelni poznał Barbarę Hepworth, rzeźbiarkę, jedną z najwybitniejszych brytyjskich artystek XX wieku – przez lata współpracowali i konkurowali ze sobą.

Inne myślenie o rzeźbie

W Leeds po raz pierwszy styka się ze sztuką nowoczesną. Dwa lata później trafia na studia do prestiżowej Royal College of Art w Londynie. Poznaje sztukę archaiczną i pozaeuropejską: od neolitycznych figurek, rzeźb sumeryjskich, egipskich czy chińskich, po dzieła Majów i Indian Ameryki Północnej. Odwiedzając londyńskie muzea nie zapomina o antycznej sztuce Grecji czy włoskiego renesansu, ale śledzi też twórczość Jacoba Epstein'a czy Henriego Gaudiera-Brzeski, których nowator-

skie rzeźby nieco wcześniej zaszokowały brytyjską publiczność. Zaczyna coraz bardziej odchodzić od tradycyjnego myślenia o sztuce. W tekście „Uwagi o rzeźbie” będzie pisał o „zdjęciu okularów greckich”. O porzuceniu rzeźby tworzonej „na własne podobieństwo”.

Rezygnacja z klasycznego rozumienia rzeźbiarstwa pozwala – przekonywał – odkryć „wewnętrzne emocjonalne znaczenie form, zamiast dostrzegać w nich główne wartości przedstawieniowe”, oraz – co nie mniej istotne – ponownie uświadomić sobie znaczenie materiału. „Rzeźbiarz nowoczesny będzie pragnął, by prace jego były kreacjami, nowymi w swej istocie, a nie tylko rezultatami kopiowania czy działania pamięci, posiadającymi jedynie życie z drugiej ręki, jak realistyczne figury woskowe” – podkreślał.

Szybko zostaje dostrzeżony. W 1928 r. w londyńskiej Warren Gallery ma swą pierwszą indywidualną wystawę. W kolejnym roku przeprowadza się do Hampstead – swoją pracownię zakłada przy ulicy Parkhill Road. W tej położonej trochę na uboczu, na pół wiejskiej dzielnicy szybko powstaje niewielka kolonia artystów awangardowych. Zamieszkała tam Barbara Hepworth i jej mąż – malarz Ben Nicholson. Nieopodal znalazł się inny ważny artysta tego pokolenia Paul Nash, ale także przybysz z Rosji, jeden z głównych przedstawicieli konstruktywizmu Naum Gabo, artysta, historyk i poeta Roland Penrose czy wpływowy krytyk sztuki Herbert Read.

Wszyscy oni stworzyli środowisko, które głęboko zmieniło brytyjską sztukę, wprowadzając ją w nowoczesność i jednocześnie w międzynarodowy obieg, a Moore w 1936 r. był jednym z organizatorów Międzynarodowej Wystawy Surrealistów w Londynie.

Coraz odważniej eksperymentuje. Szuka własnej formuły rzeźby. Ciekawi go surrealizm. Odkrywa też naturę. „Przestrzeń, odległości, pejzaż, rośliny, kamienie, kości – wszystko to oddziałuje na mnie i daje mi nowe pomysły” – podkreśla. Jego rzeźby stają się coraz bardziej abstrakcyjne. Zawsze jednak można rozpoznać w nich zarysy zwierzęcej czy też ludzkiej istoty. I to człowiek, pojedyncza postać lub grupa, staje się dla Moore'a najważniejszym tematem. Nieustannie sięga po różne materiały, od drewna po brąz. Eksperymentuje także z wielkością prac. Te same rzeźby bywają wykonywane ➔

→ w niewielkiej skali i powiększane do olbrzymich rozmiarów.

Rzeźba, człowiek, przestrzeń

Na wystawie w Orońsku można zobaczyć 23 dzieła Moore'a, w tym kilka monumentalnych. W większości powstały one po wojnie, ale pozwalają dostrzec różne oblicza jego twórczości. Zarówno te najbardziej znane, ze słynnymi przedstawieniami postaci leżącej czy matki z dzieckiem, jak też np. rzeźby zwierząt. Jedne z rzeźb znalazły się w galeryjnych salach, inne zaś ustawiono w parku otaczającym pałacik należący niegdyś do Józefa Brandta, dziś stanowiący siedzibę Centrum Rzeźby Polskiej.

Różnorodność otoczenia, w którym umieszczono rzeźby Moore'a, jest bardzo ważna, bo tworzył on dzieła zarówno wystawiane w zamkniętych pomieszczeniach, czasami bardzo niewielkie, wręcz intymne, jak i przeznaczone do umieszczenia w miejskich przestrzeniach, w parkach czy w wiejskim krajobrazie. A za jedno z najważniejszych wyzwań w pracy rzeźbiarza – poczynając od swego pierwszego publicznego zamówienia w 1928 r. na kamienny relief do londyńskiego metra – będzie uważał znalezienie odpowiednich relacji między jego pracami a otoczeniem, w tym architekturą.

Do niektórych tematów nieustannie powraca. I to te rzeźby pokazują zarówno wielość jego inspiracji – od rzeźby azteckiej po figurę Dionizosa z ateńskiego Partenonu – jak i różnorodność stosowanych przez niego rozwiązań formalnych. Świetnym przykładem są rozliczne przedstawienia leżącej postaci, wspartej na łokciach, z uniesionym torsem, ugiętymi nogami i zwróconą na bok głową (to one, obok przedstawień matki z dzieckiem, staną się jego znakiem rozpoznawczym). Ludzkie ciało bywa sprowadzone do kilku biologicznych, sumarycznych form, w innych pracach odzyskuje zaś naturalny, niemalże realistycznie oddany kształt. Moore nie waha się kawałkować ciała. Mieszać czy łączyć w jedno postaci. Wyjaśniał: „z punktu widzenia rzeźbiarskiego, gdy jedna forma mieści się w drugiej, wywołuje to wrażenie tajemnicy, czegoś niewytłumaczalnego w prosty sposób”.

Intryguje go przestrzeń otaczająca rzeźbę. Czyni ją częścią swych prac, stosując przewiercenia czy pozostawiając w figurach dziury. „Możliwe staje się rzeźbienie powietrza, gdy kamień zakreśla tylko przestrzeń otworu, który jest właściwą zamierzoną formą” – oznajmia. Praca i jej otoczenie – czego świetnym przykładem jest ustawiona w orońskim parku monumentalna rzeźba „Oval with Points” z lat 1969-70 – stają się jednością.

Wszystkie te zabiegi sprawiły, że Moore przywrócił rzeźbie znaczenie materiału, jego możliwości, naturalne cechy. Zmienił myślenie o formie, ale – jak celnie zauważył w 1960 r. Jerzy Stajuda, krytyk i ar-

tysta – „Moore nie rzeźbi w prozaicznych materiałach, ale w stężonej ekspresji. Wywołuje wzruszenie, rzadkie, bo nie zmysłowe, wywodzące się z poczucia człowieczeństwa”. Być może właśnie ta umiejętność wpisania w rzeźbę egzystencjalnego doświadczenia sprawiła, że artysta zajął szczególne miejsce w powojennej historii sztuki.

W 1948 r. na Biennale w Wenecji Moore otrzymuje pierwszą nagrodę za rzeźbę. W tym samym roku z jego inicjatywy zostaje zorganizowana pierwsza londyńska Plenerowa Wystawa Rzeźby, którą odwiedziło ponad 170 tysięcy osób. Artysta staje się ikoniczną postacią brytyjskiej kultury, człowiekiem instytucją, a jego prace trafiają do najważniejszych muzeów i są umieszczane w prestiżowych miejscach. W latach 1957-58 tworzy marmurową rzeźbę dla nowej siedziby UNESCO w Paryżu, jego „Knife Edge Two Piece” (1962-65) zostaje ustawiona nieopodal Pałacu Westminsterskiego, a „Mirror Knife Edge” z 1977 r. przed waszyngtońską National Gallery. W 1977 r. zostaje powołana Henry Moore Foundation, która ma się opiekować dorobkiem artysty. Moore umiera w 1986 r.

Polskie spotkania

„Moc natury” jest też wystawą o obecności artysty w Polsce. Obecność ta ma różne oblicza. Twórcy ekspozycji przypominają polskie pokazy jego twórczości oraz ich odbiór. Po raz pierwszy prace Moore'a



15 *Working Model
for Two Piece Reclining Figure,
brąz, 1978-79*

zaprezentowano na zorganizowanej w 1947 r. w Warszawie wystawie „Współczesne malarstwo brytyjskie z Tate Gallery”. Na wystawie znalazły się jego dzieła z cyklu „Rysunki ze schronów”, jedno z najbardziej przejmujących przedstawień grozy wojny w XX wieku.

Od jesieni 1940 do lata 1941 r. artysta wykonał ponad 300 prac przedstawiających chroniących się przed nalotami w tunelach londyńskiego metra. Te obrazy przerażonych, wtulonych w siebie ciał to nie tylko zapis ówczesnych przeżyć, także samego artysty – jego londyński dom został zniszczony w czasie niemieckich nalotów. „Rysunki ze schronów” są też rozliczeniem z własną młodzieńczą fascynacją wojną jako heroicznym, męskim doświadczeniem. Jak sam podkreślał, zaciągając się do wojska w 1916 r. próbował zostać bohaterem. Jednak – wyznał po latach – „rok lub dwa lata po [I wojnie światowej] widok munduru w kolorze khaki zaczął oznaczać wszystko to w życiu, co było złe, marnotrawne i jemu przeciwne. I wciąż mam to uczucie”.

W 1958 r. został członkiem jury konkursu na Międzynarodowy Pomnik Ofiar Faszyzmu w Auschwitz-Birkenau. W kolejnym roku w warszawskiej Zachęcie została zorganizowana obszerna indywidualna wystawa Moore’a (pokazana następnie w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Szczecinie). O wystawie pisali ważni krytycy, m.in. Aleksander Wojciechowski, Jacek Woźniakowski czy Jerzy Stajuda. Jego rzeźbom uważnie przyglądali się artyści, a Henryk Tomaszewski stworzył dla tej ekspozycji jeden ze swych naj-

wybitniejszych plakatów. Mimo dużego zainteresowania twórczością Moore’a dopiero w 1995 r. Bunkier Sztuki w Krakowie oraz Zamek Ujazdowski w Warszawie zorganizowały jego drugą indywidualną wystawę w Polsce.

Najważniejszy jednak jest inny wymiar obecności Moore’a w Polsce. Jerzy Stajuda, po obejrzeniu zorganizowanej w warszawskiej Zachęcie przeglądowej wystawy „Rzeźba polska 1945–1960”, z przekąsem zanotował: wciąż natykam się na „cytaty z Moore’a”. To prawda, wpływ angielskiego artysty na polską sztukę przełomu lat 50. i 60. był ogromny. Jednak – co pokazują dzieła zebrane w Orońsku – nie zawsze ograniczał się on do prostego naśladownictwa. Przejmujący „Ekshumowany” Aliny Szapocznikow z 1957 r., będący hołdem dla zamordowanego w 1949 r. węgierskiego komunisty László Rajka (i próbą poradzenia sobie artystki z własną wojenną traumą), „Rodzina” Aliny Ślesieńskiej z 1958 r., w której ludzkie figury zredukowano do kilku najprostszych form, czy niewielka i jednocześnie monumentalna „Kompozycja II” Magdaleny Więcek – to bardzo osobiste odczytania twórczości Moore’a (i pewna wspólnota poszukiwań).

Dlaczego ten angielski rzeźbiarz tak bardzo zafascynował polskich twórców? Przełom lat 50. i 60. to wielkie odkrycie nad Wisłą, wręcz zauroczenie rozmaitymi formami abstrakcji. Twórczość mająca związki z realnym światem, przywiązana do figuratywnego obrazowania, po czasach socrealizmu budziła nieufność, często była po prostu odrzucana. Tymczasem Moore pokazał, że możliwe jest pogodzenie figuracji i abstrakcji. Podobnie jak pogodzenie eksperymentów formalnych, szacunku dla rzeźbiarskiego materiału z oddaniem emocji, przeżyć, a nawet egzystencjalnych lęków. Uczynienie z rzeźby – nie odrzucając jej wielowiekowej tradycji – nowoczesnej formy artystycznego przekazu i przywrócenie jej ważnego miejsca w sztuce.

© PIOTR KOSIEWSKI

MOC NATURY, HENRY MOORE W POLSCE

Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, kuratorka Eulalia Domanowska, wystawa czynna do 9 września.

Wystawa będzie też pokazana w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, Pawilon Czterech Kopuł (29 września 2018 – 23 stycznia 2019) oraz w Muzeum Narodowym w Krakowie (23 lutego – 30 czerwca 2019).

THE HENRY MOORE FOUNDATION ARCHIVE



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DEBATY KLUBÓW TYGODNIKA POWSZECHNEGO

CYKL „WARTOŚCI CHRZEŚCJAŃSKIE
W SPOŁECZEŃSTWIE OBYWATELSKIM”



DEBATA

CZY W POLSCE UMIERA CHRZEŚCJAŃSTWO?

Goście debaty:

Zuzanna Radzik

ks. prof. Michał Czajkowski

o. Paweł Gużyński OP

Ignacy Dudkiewicz

Prowadzenie debat:

Konrad Stanglewicz

Sobota

12 maja 2018 r.

godz. 17.00

Zielona Góra,
Piekarnia Cichej Kobiety
(ul. Fabryczna 13)



KlubTygodnika.pl



Konrad
Adenauer
Stiftung



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



Bob Marley wraca do Zimbabwe

WOJCIECH JAGIELSKI

Guru muzyki reggae i rastafarian będzie miał pomnik w Harare, gdzie przed laty zagrał jeden z najważniejszych koncertów.

POMNIK CHCE WYSTAWIĆ RZĄD ZIMBABWE w dowód wdzięczności za występ, którym Marley uświetnił uroczystość ogłoszenia niepodległości kraju (był to jeden z jego ostatnich koncertów). Ma stanąć przed stadionem Rufaro, na którym w kwietniu 1980 r. Jamajczyk zagrał dla kilkudziesięciotysięcznej widowni, zgromadzonej na trybunach, by świętować przemianę Rodezji w Zimbabwe. Dzień niepodległości był zwieńczeniem wojny domowej, którą przeciwko białym władzom prowadziła od połowy lat 60. czarna partyzantka.

Africa Unite

Marley sympatyzował ze wszystkimi ruchami wyzwolenческими Afryki, a temu z Zimbabwe poświęcił nawet jeden ze swoich utworów. Pieśń „Zimbabwe”, z wydanej w 1979 r. płyty „Survival”, stała się niemal triumfalnym hymnem zwycięskich partyzantów, którzy najpierw zmusili biały rząd do negocjacji i ustępstw (m.in. powołania rządu tymczasowego, z czarnoskórym biskupem Ablem Muzorewą jako premierem), a w końcu do zgody na pierwsze wolne wybory, w których głos czarnych miał się liczyć tak

samo jak białych. W tych wyborach udział wzięli już partyzanci, a dzięki zwycięstwu w wyborach przejęli władzę w kraju.

Ale to nie nowi przywódcy państwa z Robertem Mugabem na czele wpadli na pomysł, by niepodległościowe uroczystości uświetnić koncertem Marleya. Zaprośili go jedynie do Harare, wraz z żoną Ritą, jako honorowych gości. Dopiero dwóm zimbabweńskim przedsiębiorcom, Jobowi Kadengu i Gordonowi Muchanyuce przyszło do głowy, że skoro Marley zjedzie do Harare, to może zgodzi się też zaśpiewać. Choćby tę jedną pieśń – „Zimbabwe”.

Menadżer Marleya, Chris Blackwell, nie chciał nawet o tym słyszeć. Jamajczyk był u szczytu sławy, wydana właśnie płyta „Survival” cieszyła się ogromnym powodzeniem, a muzyk z zespołem koncertował w Europie. Pomysł występu w Afryce nie podobał się Blackwellowi tym bardziej, że emisariusze zimbabweńskich władz przyznawali z rozbijającą szczerością, iż nie stać ich ani na gażę dla muzyka, ani na opłatę za transport sprzętu nagłaśniającego. Mimo protestów menadżera Marley bez wahania nie tylko postanowił przyjąć zaproszenie, ale też zapowiedział,

że przyjedzie z całym zespołem i wystąpi za darmo.

Już w środowe popołudnie 16 kwietnia, kiedy Marley z zespołem przyleciał z Londynu do Harare (wówczas jeszcze noszącego nazwę Salisbury), w zimbabweńskiej stolicy omal nie doszło do zamieszek. Na lotnisku muzyka witał sam Joshua Nkomo, jeden z przywódców zimbabweńskiej partyzantki, który po ogłoszeniu niepodległości miał zostać ministrem policji w nowym rządzie. Przed lotniskiem zebrał się nieprzeliczony tłum. Pilnująca porządku policja nigdy wcześniej nie miała do czynienia z takim mrowiem.

Technicy z zespołu Marleya natychmiast zabrali się za budowanie na stadionie sceny i instalowanie 21 ton sprzętu naświetlającego i oświetleniowego, przywiezionego z Londynu na koszt muzyka. Marley zaś spędził pierwszy wieczór na rozmowach z byłymi partyzantami w niewielkim hoteliku Skyline na przedmieściu stolicy. Wszystkie pokoje w lepszych hotelach zajęli już dziennikarze, którzy przybyli na koncert i niepodległościowe uroczystości. Nazajutrz Marley z zespołem wybrali się w 150-kilometrową podróż do hodowców konopi indyjskich z Mutoko, uznawanych przez wielbicieli marihuany za rarytas.

Ambush in the Night

Wieczorem na stadion Rufaro na czarnym przedmieściu Mbare przybyli zagraniczni goście – afrykańscy prezydenci i premierzy, premier Indii Indira Gandhi, szef brytyjskiej dyplomacji lord Carrington (Rodezja, której samowznaczej niepodległości z 1965 r. nie uznawano, pozostawała formalnie brytyjską kolonią) i 30-letni następca tronu, książę Walii Karol, który wkrótce miał zakochać się w Dianie. Czwartek 17 kwietnia miał być ostatnim dniem Rodezji, która o północy przemieniła się w Zimbabwe.

Rodzimi i zagraniczni dygnitarze ogłosili już przemówienia, Robert Mugabe złożył przysięgę jako nowy premier, a wielobarwna flaga zimbabweńska zastąpiła na maszcie „Union Jacka”, gdy na scenę wyszedł Bob Marley i jego zespół The Wailers. Już okrzyk konferansjera: „Panie i Panowie! Bob Marley!” sprawił, że na stadionie i wokół niego zapanowało poruszenie. A gdy z głośników zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki, poprzedzone zawołaniem Marleya „*Viva Zimbabwe!*”, na stadionie wybuchło pandemonium.

Ludzie, którzy dotąd zajmowali miejsca na trybunach, ruszyli na murawę, jak najbliżej sceny. Ci zaś, którzy nie zostali wypuszczeni na stadion i koczowali wokół niego, żeby chociaż wysłuchać koncertu, zaczęli szturmować stadionowe bramy. Na niepodległościową fetę wpuszczono 40 tysięcy ludzi z zaproszeniami, ale wokół stadionu zebrało się ich dwa, a nawet trzy razy więcej. Koncert trwał, gdy stadionowe zapory sforsował oddział niedawnych partyzantów, których na koncert nie zaproszono. Policja wpadła w panikę i zaczęła strzelać w napierający tłum granatami z gazem łzawiącym. Muzycy przerwali występ i jeden po drugim, zasłaniając się przed chmurą gazu, uciekali ze sceny. Pozostał na niej tylko Marley, który akurat śpiewał odwrócony plecami do widowni. Wyglądało na to, że w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje na stadionie.

Wiedział jednak dobrze i przyznał potem, że brutalność policji dopiero co powstałego państwa pogłębiła jego rozczarowanie Afryką, która nie przypominała wymarzonego Syjonu. Gdzie niepodległość nie zawsze oznaczała wolność, a przywódcy ruchów wyzwoleniczych, niedawni bohaterowie, często przepoczwarzali się w nowych tyranów i ciemieżców.

Tamten koncert na stadionie Rufaro był jednym z najkrótszych występów Marleya: trwał tylko nieco ponad pół godziny. Kiedy wiatr rozwiał chmurę gazu łzawiącego i Wailersi wznowili występ, na stadionie zapanował spokój. Bob Marley ogłosił, że nazajutrz wystąpi znowu, i znowu za darmo. Na ten drugi koncert przyszło ponad sto tysięcy ludzi.

So Much Trouble in the World

Dla zaangażowanego w politykę Marleya koncerty w Harare były najważniejsze obok dwóch koncertów z jamajskiego Kingston. W grudniu 1976 r. muzyk wystąpił na koncercie „*Smile Jamaica*”, mimo rany postrzałowej, będącej skutkiem zamachu na jego życie zorganizowanego przez członków jednego z gangów sprzymierzonych z rywalizującymi ze sobą o władzę Partią Narodową i Partią Pracy.

W geście protestu przeciwko wojnie domowej rozpętywanej na Jamajce przez polityków i gangsterów Marley wraz z zespołem wyjechał z Kingston do Londynu. Na powrót dał się namówić dopiero wiosną 1978 r., gdy w Londynie odwiedzili

go szefowie trzech najsilniejszych jamajskich gangów i poprzysięgli, że zakopią topór wojenny. Marley zgodził się wrócić i wystąpić na darmowym koncercie „*One Love*”, który miał przyczynić się do zgody i jedności. To podczas tego koncertu wywołał na scenę rywalizujących polityków, Michaela Manleya i Edwarda Seage, i zmusił ich, by publicznie podali sobie ręce na zgodę.

Trzydzieści miesięcy po występie w Harare, 11 maja 1981 r., chory na nowotwór Marley zmarł w wieku zaledwie 36 lat. Początkiem choroby okazała się kontuzja odniesiona podczas meczu piłki nożnej, której piosenkarz był pasjonatem. Wiosną 1977 r. podczas europejskiej trasy koncertowej Marley wziął udział w charytatywnym meczu, w którym zagraли też m.in. piłkarze z reprezentacji Francji. Podczas gry zranił duży palec u nogi, stracił paznokcie. Kiedy zaniepokojony długo nieogajając się raną odwiedził w Londynie lekarzy, ci stwierdzili zmiany nowotworowe i zalecili pilną amputację. Marley, jako zagorzały rastafarianin, odmówił – jego wiara zabraniała naruszania zasady jedności ciała. W 1980 r. nowotwór zaatakował wątrobę, płuca i mózg.

Babylon System

Zimbabweński artysta Martin Chemhere, pomysłodawca wystawienia Marleyowi pomnika przed stadionem Rufaro, twierdzi, że zdobył już zgodę rodziny muzyka. Stawia ona tylko jeden warunek: posąg ma stanąć w miejscu dostępnym dla wszystkich.

Ale na pomnik w Harare zasłużył też sobie inny muzyk, Johnny Clegg, z sąsiedniej RPA. Nie tylko mieszkał w Zimbabwie w dzieciństwie, ale mając kłopoty z występami w RPA za czasów apartheidu, chętnie przyjeżdżał koncertować w Zimbabwie. Kłopoty w RPA wiązały się z białym kolorem skóry Clegga, który upodobał sobie kulturę Zulusów i uparł się wraz z nimi grać w zespole. Zyskał przezwisko „*Białego Zulusa*” i ściągnął sobie na głowę represje ze strony władz (miał 15 lat, kiedy po raz pierwszy został aresztowany za złamanie apartheidowskich przepisów). W wieku 65 lat Clegg postanowił zakończyć muzyczną karierę, a z pożegnalnym koncertem wystąpić na początku maja właśnie w Harare. ©

Śródtytuły w tekście są tytułami piosenek Boba Marleya z albumu „*Survival*”.

Polityka w pierwszej osobie

ANITA PIOTROWSKA

Od czasów „Dzikich nocy” i „Filadelfii” kino coraz odważniej mierzy się z tematyką AIDS, a osiągnięcia medycyny odczarowały związane z nim tabu. „120 uderzeń serca” nie idzie już na żadne kompromisy.

SILENCE = MORT”, CZYLI: „MILCZENIE Oznacza śmierć”. Plakat do filmu Robina Campillo przedstawia bohatera z takim napisem na koszulce. Chłopak jest roześmiany, wręcz euforyczny, jakby z całych sił chciał wykrzyczeć światu swoje prawo do życia. Towarzyszący tym słowom różowy trójkąt odsyła natychmiast do hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ale „120 uderzeń serca”, zwycięzca Grand Prix na ubiegłorocznym festiwalu w Cannes, przypomina o innym historycznym momencie, kiedy ów symbol nabrał nowego znaczenia.

Pod koniec lat 80. XX w. zaczęli go wykorzystywać działacze międzynarodowej grupy ACT UP, która podjęła walkę o prawo chorych na AIDS do rzetelnej in-

formacji, o dostęp do najnowszych leków i opieki medycznej. Wypowiedziała też wojnę stereotypom, wedle których wirus HIV miał być „karą” zesłaną na mniejszości seksualne. W swoim drugim filmie fabularnym Campillo, twórca znakomitych „Eastern Boys”, opowiada, w jaki sposób wywodzący się z USA ruch społeczny – pokazany m.in. w nominowanym do Oscara dokumencie „Jak przetrwać zarazę” (2012) – zaczął również we Francji zmieniać powszechną świadomość tej choroby.

Film Campillo sprawia chwilami wrażenie, jakby reżyser przeniósł się w czasie o trzy dekady wstecz i nakręcił „na gorąco” dokument – zaangażowany, a zarazem niezwykle osobisty. Stężenie emocji, tych politycznych i erotycznych, jest w „120 uderzeniach serca” tak duże, że trudno złapać oddech. Tytuł filmu doskonale oddaje ów stan podwyższonego tętna, które towarzyszy działaniom desperackim. Wszyscy bohaterowie, zarówno ci całkiem zdrowi, jak i zarażeni HIV czy zmagający się z chorobą,



TP

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA” SPECJALNY DODATEK:

XX Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego

a w nim:

rozmowa z Joanną Orlik, dyrektorką Małopolskiego Instytutu Kultury, fragmenty książki Jakuba Kornhausera poświęconej nieodkrytym skarbowi Małopolski, a także opis niektórych atrakcji, które będzie można zwiedzać podczas imprezy (19-20 oraz 26-27 maja).



Zapraszamy do lektury i do Małopolski!



Kadr z filmu „120 uderzeń serca”

zachowują się tak, jakby nie mieli już nic do stracenia. Za to bardzo dużo do wygrania. Bo, jakkolwiek górnolotnie to zabrzmiało, stawka może być tu pojedyncze ludzkie życie, ale przede wszystkim jest nią prawda, czyli ogólnie dostępna wiedza na temat choroby, jej zapobiegania i leczenia.

Działacze ACT UP ruszają więc przeciwko politykom i koncernom farmaceutycznym, szturmują konferencje naukowe, sale lekcyjne i kościoły. Metody, które stosują, rozwieszając drastyczne plakaty, rzucając w decydentów prezerwatywami wypełnionymi sztuczną krwią czy zamieniając pogrzeby kolejnych ofiar AIDS w polityczne demonstracje, bywają kontrowersyjne, niestroniące od bezpośredniej przemocy. Ale o tym również traktuje wprost film Campillo. Jako scenarzysta pracujący przez lata dla reżysera Laurenta Canteta stał się mistrzem prowadzenia na ekranie gęstego, wielowarstwowego dyskursu. Niezależnie czy opowiadał o mężczyźnie, który ukrywa przed bliskimi utratę pracy („Time Out”), o dojrzałych seksturystkach w kraju ogarniętym nędzą i przemocą („Na południe”) czy o współczesnej szkole jako metaforze wieloletniego społeczeństwa

(„Klasa”), czuło się w tym zarówno społeczny pazur, jak i intymne dotknięcie.

Żeby nie było zbyt romantycznie, reżyser, który w latach 90. sympatyzował z paryskim ruchem ACT UP, w „120 uderzeniach serca” do znudzenia odtwarza niekończące się nasiadówki z udziałem paryskich działaczy. Pokazuje, jak w bólach, pośród rozmaitych racji, uciekała się strategia działania grupy. Negocjować czy szokować? Lobbyować czy atakować? Potencjał filmu wykracza jednak poza społecznikowski *procedural* i polityczny manifest, spuentowany – jakżeby inaczej – piosenką „Smalltown Boy” zespołu Bronski Beat, czyli jednym z hymnów ruchu LGBT tamtego czasu. Decydując się na bohatera zbiorowego, Campillo jednocześnie dba, by każda z postaci miała indywidualny rys i osobną historię. By funkcjonowała nie tylko poprzez swoje zaangażowanie w „sprawę”, na tle zebrań i pikiet, ale także w wymiarze prywatnym – w bliskich relacjach z innymi czy w transie szalonej zabawy. Miłość, która rodzi się jakby na przekór AIDS pomiędzy zarażonym Seanem a seronegatywnym Nathanem, przenosi opowieść w najtrudniejsze do opisanego rejony.

Od czasów francuskich „Dzikich nocy” (1992) Cyrila Collarda i hollywoodzkiej „Filadelfii” (1993) Jonathana Demme’a kino coraz odważniej mierzy się z tematyką AIDS, a osiągnięcia medycyny w dużej mierze odczarowały związane z nim tabu. „120 uderzeń serca” nie idzie już pod tym względem na żadne kompromisy. Bez cienia pruderii filmuje seksualność, bez znieczulenia rejestruje postępujące wyniszczenie ciała i umieranie. Niektóre sceny ryzykownie przeciąga, inne namiętnie celebrytuje, by kosztem narracyjnej płynności czy tzw. dobrego smaku odtworzyć cały brud i nieubłagany rytm choroby. Film staje się przez to równie anarchistyczny, ideowo zdeterminowany oraz emocjonalnie i zmysłowo łączący, jak jego bohaterowie. Będąc artystą Campillo uprawia bowiem tę samą „politykę w pierwszej osobie” i nie dba przy tym o jakikolwiek umiar czy zasady *decorum*. ©

120 UDERZEŃ SERCA (*120 battements par minute*) – reż. Robin Campillo. Prod. Francja 2017. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 11 maja.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [12 – 18 V]

1. Manifesto



Dramat, reż. Julian Rosefeldt, Niemcy 2015, Cineman VOD

Ten niezwykle film, oparty na powstającej wcześniej wielo-

ekranowej instalacji, jest czymś więcej niż repetytorium z historii sztuki XX w. Cate Blanchett w trzynastu bardzo różnych przebraniach i sytuacjach przywołuje największe manifesty artystyczne, od sytuacjonistów po konceptualistów, by zrewidować ich niegdysiejszy potencjał.

2. Dzikie róże



Dramat, reż. Anna Jadowska, Polska 2017, Canal+, 12 V, 22.15

W jednym z najciekawszych i najbardziej

niedocenionych polskich filmów ubiegłego roku rodzima prowincja pokazana została z perspektywy młodej kobiety. Ewa (znakomita Marta Nieradkiewicz), której mąż pracuje za granicą, szuka pocieszenia w ramionach miejscowego nastolatka, co staje się początkiem tragedii.

3. Arytmia



Dramat, reż. Borys Chlebnykow, Finlandia/ Niemcy/Rosja 2017, Cinemax 2, 12 V, 20.30, 13 V, 12.15, 16 V, 20.30, 17 V, 13.30, 18 V, 23.30

Reżyser, znany z takich filmów, jak „Koktebel” czy „Długie i szczęśliwe życie”, tym razem opowiada o młodym, oddanym swojej pracy sanitariuszu, któremu życie, zarówno osobiste, jak i zawodowe, wymyka się spod kontroli. Kolejny mocny film zanurzony w realiach współczesnej Rosji.

4. Patrick Melrose



Miniserial, reż. Edward Berger, Wielka Brytania 2018, odc. 1, HBO GO, 14 V

Wielbiciele powieści Edwarda St. Aubyna długo

czekali na ten moment. Dwa dni po światowej premierze w serwisie internetowym HBO będzie można zobaczyć adaptację wściekle ironicznej historii o byciu brytyjskim arystokratą. W tytułową rolę wciela się Benedict Cumberbatch, jego rodziców grają Jennifer Jason Leigh i Hugo Weaving. Premiera telewizyjna na kanale Cinemax zapowiadana jest na 7 lipca.

JAN

Klata: Nic śmiesznego



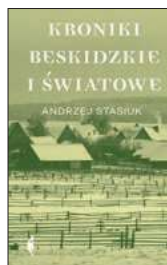
CO SIĘ STAŁO ZE ŚMIECHEM Z PUSZKI? TOWARZYSZYŁ komediowym serialom od zarania telewizyjnych dziejów (jakieś 60 lat temu). Nie tylko sitcomy, ale też „Monty Python” i „M.A.S.H.” okraszone były chichotliwym soundtrackiem. A teraz – alienacja. Nie

chcemy rechotać chóralnie. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem, śmieję się na własną rękę. Każdy rechocze w samotności, przy laptopie, ze słuchawkami na uszach. I to ma być postęp? Gdzież czasy wspólnych uniesień generowanych dzięki wynalazcy Charlesowi Douglassowi i jego ustrojstwu Laff Box? Dzięki Laff Boksowi zdolny instrumentalista mógł kreować akordy komicznych reakcji, do wyboru spośród 320 różnego rodzaju śmiechów pojedynczych. Rezultaty słyhać choćby u samego Altmana. Wyrafinowane? Niewątpliwie. A teraz co? Samotność w sieci?

Śmiech z puszki dyskwalifikuje w dzisiejszych czasach, trąci myszką. Moje córki nie są w stanie oglądać „Latającego Cyrku Monty Pythona”, bo ktoś śmieje się za nie. Więc się blokują. Opre-syjność z góry zadekretowanego rechotochichotu, puentującego składniad niezłe żarty, zdaje się nie do pogodzenia z deklarowaną niezależnością młodego pokolenia. Geneza śmiechu z puszki jest oczywista: nagrywano dla telewizji występy na żywo, z publicznością, która reagowała, więc brak reakcji publiczności byłby odebrany amputacyjnie. Teraz zachodzi mechanizm odwrotny: chcemy występu tylko dla siebie, cudzy serialowy śmiech w moje uszy jest ingerencją w prywatność. Aseptyczna alienacja à la „sam wiem, kiedy się śmiać, a kiedy zachować powściągliwie”.

Na szczęście po śmierci śmiechu z puszki można jeszcze pójść do teatru, zwłaszcza na premierę. Pójść i dać koncert. Reaguję, więc jestem. Pokazuję, że reaguję, więc pokazuję, że jestem. Jestem bystry, bo złapałem dowcip – w ciemno, na widowni, nie-słuchanie w punkt. Biorę udział w konkursie „Jak oni się śmieją”, od razu jako laureat. Moim inteligentnym śmiechem solistycznego insidiera mrugam okiem, żem pojął aluzję, żem intelektualnie żwawszy od sąsiada na widowni. Żem nie w ciemni bity, że ja akurat śmieję się tropem Bergsona i Bystronia co najmniej, nie przymierzając. Najlepiej w takich momentach, kiedy nikt inny głośno nie reaguje. Oni na scenie grają dla mnie, ja się śmieję dla siebie, dystynktywnie, premierowo. Niech mnie usłyszą. Solowo, nie w chórze. ©

Lektor: Świat z dystansu



■ Andrzej Stasiuk
KRONIKI BESKIDZKIE I ŚWIATOWE
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2018, ss. 334.

CZY POWINNO SIĘ TUTAJ PISAĆ o książce, którą ułożono z tekstów drukowanych wcześniej w „Tygodniku”? W tym przypadku na pewno, bo czytane w całości „Kroniki beskidzkie i światowe” odsłaniają wewnętrzną spójność, stają się ciągłą opowieścią, której rozdziały oświetlają się nawzajem, tworząc, by tak rzec, wartość dodaną. Równocześnie

każdy z nich ma mocne wejście („Wszyscy piszą, pomyślałem, to i ja napiszę. Co mi szkodzi”; „Całą noc śniła mi się kultura”; „Podobał mi się ten kraj od pierwszego wejścia. Na lotnisku śmierdziało”; ech, cytowałoby dom i owcze pastwisko są tutaj punktem centralnym, z którego wyrusza się w rozmaite strony, częściej

na Wschód (kazachskie stepy i Astana, Pamir, Ałtaj, Mongolia), czasem też na Zachód (ten cytat z lotniskiem nie dotyczy żadnego z krajów post-sowieckich, tylko Ameryki), najchętniej w pozbawioną planu wędrowkę po Polsce. I obserwuje się bieżące wydarzenia z pozycji outsidera, ironicznie celebrowanej („Kraj w ogniu, a ja zamiast gasić albo do ognia dokładać, z boku siedzę”). Do tego nieco lektur, np. „Kronos” Gombrowicza albo „Ziemia! Ziemia!...” Máraiego. Nieco spotkań z bliźnimi – na przykład z potężną postacią w szerokich spodniach w niebieską kratkę, która zajeżdża przed dom w Wołowcu zielonym autem i okazuje się być Jackiem Kleyffem. Korespondencja z Redaktorem, który nie tylko tematy podsuwa, ale i tytuł cyklu wymyśli. Raz nawet Szatan w osobie własnej się pojawi, bo rozmaite

formy kuszenia nie są przecież autorowi obce, a życie – nawet takie na uboczu – przynosi sporo dylematów. Ostateczną instancją w ich rozwiązywaniu okazuje się owieczka (w dodatku czarna) imieniem Mania; dialogi z nią to mój ulubiony fragment „Kronik...”. Świadoma ograniczeń swojego gatunku, ze stoickim spokojem stara się uśmierzyć niepokój człowieka rozmówcy, by wreszcie, składając mu życzenia świąteczne, sięgnąć po argument najmocniejszy: „– A ja ci życzę, żebyś tak się tym wszystkim nie przejmował. – To znaczy czym? – zapytałem. Przekręciła łepkę i jakby wzruszyła swoimi owczymi ramionami. – No tym, że jesteś człowiekiem. – Postąpiła krok w stronę żłobu i zanim zajęła się sianem, dodała: – To przecież minie”. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Szparagowe dylematy



LENIWE PRZEDPOŁUDNIE W ŚRODKU MAJÓWKI, ale tłok przy wjeździe jak w centrum, chociaż to peryferie Warszawy, w tej strefie organicznego bezładu, gdzie magazyny i nowe osiedla podgryzają to tu, to tam ostatnie pola i cherlawe zarośla. Nikt nam tu na Ma-

zowszu nie odbierze prawa, żeby żyć brzydko i urządzać się pokracznie. Dookoła samochody raczej z tych lepszych, dobrze, że koleżanka podwiozła mnie porządną zachodnią limuzyną, w swoim rumuńskim blaszaku czułbym się jak zawezwany do uszkodzonej rury hydraulik. Parkingowy w odbłaskowej kamizelce koordynuje ruchem. Aż serce rośnie – tylu ludzi przyjechało na Białąkę do Majlertów po szparagi, mimo że mogliby zdobyć jakieś w pierwszym sklepie za rogiem.

Warszawiak mający dość czasu, pieniędzy i ochoty, by zapatrywać się poza masowym systemem dystrybucji, znajdzie sporo miejsc, w których zdobędzie mięso z ekologicznych wołów, które rozpieszczano na pastwisku Mozartem, po czym zabito w sposób, który sprawił im egzystencjalną ulgę. Znam tuzin adresów zapewniających porządne sery z prawdziwego mleka oraz chleby z mąki zmielonej w żarnach pamiętających jeszcze czasy piastowskie. Tylko w kwestii lokalnych warzyw i zieleńnicy właściwie jesteśmy rozdarci pomiędzy dwa bieguny: stoiszko państwa Ziółków w środy w Fortecy oraz właśnie sklepik przy Majlertowych włościach na północnej rubież miasta. To dla mnie kawał drogi, ale – jak głosiły kiedyś mapy turystyczne Michelin – *vaut bien le voyage*, czyli zasługują na osobną podróż.

Zwłaszcza na początku maja, kiedy właściwie wiele poza szparagami świeżego nie ma. Ale świeżość – to znaczy dystans między polem a sklepem liczony zaledwie w setkach metrów – ma podstawowe znaczenie. Tym bardziej że pozwalają tam klientowi wyzwolić się z dyktatu pęczków i kupować, ile akurat się chce i w rozmaitych klasach. Dla kogoś, kto szykuje na przykład kocioł zupy dla komunijnych gości albo risotto dla swojej redakcji po zamknięciu numeru – co nieopatrznie obiecałem koleżankom i kolegom z Wiślny – wygodnie jest móc dobrać sobie cały kosz pooblamywanych, nieco tańszych szparagów, za krótkich czy koślawych, by dały się związać w zgrabne pęczki. Kto zaś potrzebuje tylko dwie garści główek do sałatki, może je sobie kupić osobno, bez marnowania reszty łodyg (choć trudno mi sobie wyobrazić, co to znaczy zmarnować łodygę: można z niej ugotować wywar i zachować na potem, kiedy właśnie przyjdzie ochota na zupę).

Kiedy za dwa-trzy tygodnie zacznie się prawdziwie „zielona” część roku, szparagi ustąpią miejsca temu, za co naprawdę Majlertów cenię, czyli rozmaitym jadalnym listkom i sałatom, których mają tu zatrzęsienie. Najbardziej im jestem wdzięczny za cykorię odmiany zuckerhut – wbrew nazwie wcale nie jest słodka; przeciwnie, jest tak gorzka, że nadaje się tylko do ob-

róbki termicznej – ale wrócimy do niej (i do mojej obsesji, jaką jest przyrządzanie na ciepło liści), kiedy przyjdzie na to czas. Byli też jednymi z pionierów uprawy i sprzedaży kwiatów cukinii, a w kwestii dyni – wszystko, co wiem i czego z każdą nową jesienią się uczę, zawdzięczam ich śmiałości, z jaką wyduszają z warszawskiej gleby kolejne, najbardziej fantastyczne ich odmiany.

Właśnie, warszawska gleba. Z racji sąsiedztwa dróg, kolei i miasta w ogóle gospodarstwo nie mogłoby mieć ekologicznego certyfikatu, ale dla mnie znacznie ważniejszy jest stempel troski i znawstwa. Ta rodzina dłubie nieprzerwanie w tej ziemi już bez mała 150 lat. I przez ten czas miasto dopełzło do niedgdyś oddalonych bezpiecznie włości. Dziś Majlertowie alarmują, że bliskie realizacji stały się – znane od kilkunastu lat – plany przeprowadzenia przez ich pola trasy odblokowującej dostęp do miasta okolicznych dzielnic, coraz gęściej zabudowanych domami. Proszą o interwencję, sami przygotowali propozycję kompromisu, to znaczy zmniejszenia przepustowości planowanej drogi (tak by zagarnęła mniej ziemi) i lekkiej korekty jej przebiegu. Rozwój miasta czy zachowanie dziedzictwa? Czy sześciopasmówka to jeszcze rozwój, czy ideologiczny triumf betonu? A czy ogrodnictwo w granicach miasta to jest takie dziedzictwo, które równoważy potrzeby ludzi będących ofiarami deweloperów, którzy sprzedali im osiedla bez dojazdu? Przecież i tak *gros* warzyw, jakie zjada dwumilionowa aglomeracja, pochodzi z dalekich upraw... Podpisałem petycję, świadom, jak trudny to wybór. W sam raz na długą, cywilizowaną dyskusję, której – niestety – nie spodziewam się po panach Jakim i Trzaskowskim. ©P

*O szparagach napisałem już, będąc z wami przez cztery lata, bodaj wszystko, co wiem – ale przypomnę pewne sensowne triki, które przydadzą się, gdy znudzi się wam jedzenie ich po prostu z solą. Po pierwsze tarty świeży korzeń chrzanu – niewielka ilość cienkich wiórków posypana na wyjęte z pieca czy garnka szparagi robi naprawdę zaskakujące gości show – przy czym wysiłek sto razy mniejszy niż przy kręceniu sosów holenderskich, do których zmuszają was bez sensu książki kucharskie. Podobnie jak kropelka oleju gorczycznego rozprowadzona w neutralnym oleju. A jeśli gotujecie **zupę** – spróbujcie ją bardzo delikatnie zakwaszyć **sokiem z cytryny**, dobrze się to razem łączy. Podobnie jak dobrze się łączy z bardzo maślanymi grzankami – pokrojoną w kostkę **bułkę** rumienimy w piecu na brytfance, którą szczodrze – ale naprawdę! śmiało! kilka łyżek! – posmarowaliśmy **masłem** z odrobiną **pieprzu**.*



ISTOCK / GETTY IMAGES

ŁOŚ JAK ZOMBIE

To wielki sukces, że uratowaliśmy
polskiego łosia po wojnie.
Na zachodzie Europy łosia nie ma wcale.
Niemcy uwierzyli w kłamliwy stereotyp,
że albo łoś, albo las.

ADAM ROBIŃSKI



Na Bagnach Biebrzańskich, 2016 r.

PROFESOR MIROSLAW RATKIEWICZ PARKUJE AUTO NA SKRZYŻOWANIU polnych dróg w sąsiedztwie drogi krajowej z Grajewu na Białystok. Wysiadamy.

– Stoi gdzieś w tym lasu. To stara klempa, od kilku dni łązi tam i z powrotem po tych krzakach i polu. Jeszcze o trzeciej nad ranem był sygnał z jej obroży telemetrycznej – mówi.

Ów laszek to placek zieleni, który na mapie niknie pod najmniejszym z palców. Kolonia nazywa się Żodzie, ale to już jej północny skraj. Jedno gospodarstwo i linia kolejowa przez Mońki w kierunku stolicy Podlasia. Po miedzy, nie depcząc oziminy, idziemy w kierunku drzew: – Wskazania GPS-u przychodzą z parogodzinnym opóźnieniem, nie mamy więc podglądu na bieżąco, ale na pewno gdzieś tu jest. Nie powinniśmy mieć problemu z jej znalezieniem. Pewnie leży i przeżuwa.

Ale im dłużej sondujemy zagajnik, tym więcej mamy wątpliwości. Łosia nie ma ani za niedużą wydumą, ani w szeregu zagłębień, ani w sosnowym młodniku. Tropów i śladów jest bez liku. Jedne odchody są już wyschnięte na wiór, inne błyszczą sugerując, że zwierzę wydzieliło je nie dalej niż wczoraj.

Odczyty z GPS-u się nie mylą: jakiś łoś na pewno się tu zadowił, przy okazji objadając kilkanaście, może kilkadziesiąt sosenek. Igliwie sosny, świerka i jałowca to główny składnik zimowej diety łośa, która skutkuje szkodami w uprawach leśnych. Notujemy wokoło te szkody, jednak samego zwierzęcia ani widu, ani słychu.

Biebrzański relikw

„W połowie kwietnia łosie ruszają na bagna, gdzie niełatwo wtedy dotrzeć i jeszcze trudniej je zaobserwować. Teren będzie wtedy zalany, przejście nawet dwustu metrów będzie wyzwaniem. Teraz, póki jest chłodno, trzymają się borów” – mail od prof. Ratkiewicza zachęcał, by z przyjazdem nad Biebrzę

nie zwlekać. Ale niskie temperatury zniknęły z dnia na dzień, zaczęło się przedwiośnie, więc rychło i tak okazało się za późno. Z bagien zszedł ostatni lód, odsłaniając morze soczystej roślinności, która stanowi z kolei podstawę żerową łośa w ciepłej połowie roku. Nad Biebrzę za skrzydłatą wiosenną migracją zjeżdżali się już ptasiarze. Jedna z zaobrożowanych przez naukowców z Instytutu Biologii Uniwersytetu Białostockiego klemp dawała nadzieję na obserwację łośa bez wkładania kaloszy czy woderów. Ale po pół godziny przeczesywania

zagajnika w Żodziach wracamy do samochodu na tarczy. Cóż, łosie lubią zaskakiwać.

Badania nad jeleniowatymi – w szczególności łośami – to duża część naukowej kariery profesora. Z Białegostoku najbliższej zresztą spośród wszystkich dużych ośrodków nad Biebrzę, gdzie do dziś przetrwała unikatowa populacja tego ssaka, będąca reliktem dawnego, polodowcowego zasięgu jego występowania. Żyjące na Podlasiu łosie to osobna linia, która wyodrębniła się kilkanaście tysięcy lat temu i nigdy nie wyginęła.

– Fakt, że w Skandynawii łosie są zwierzętami tak pospoliczymi, najwyraźniej przyczynił ogromny sukces uratowania polskiego łośa po II wojnie światowej. Bo na zachodzie Europy łośa nie ma wcale. Na przykład Niemcy go po prostu nie chcą.

Najwyraźniej uwierzyli w kłamliwy stereotyp, że albo łoś, albo las – tłumaczy biolog.

Łoś od zawsze wchodził w konflikt z człowiekiem, a wahania liczebności jego polskiej populacji w czasach powojennych są świetną ilustracją tej burzliwej relacji. Wojnę gatunek ledwo w Polsce przetrwał – pozostało raptem kilkanaście osobników nad samą Biebrzę. Na kilka lat wzięto go pod ochronę, potem została ona zniesiona, ale populacja łośa i tak się odbudowywała.

– W latach 60. trochę do niego strzelano, ale było to pozyskanie śladowe, którego nie można nazwać gospodarką łowiecką. Prawo do pozyskania miało kilkunastu, może kilkudziesięciu prominentów, a efekt tego działania był niezauważalny. Całe lata 70. były czasem intensywnego wzrostu populacji. W 1981 r. z tych kilkunastu powojennych osobników dobiliśmy według oficjalnych danych do 6,5 tys. – mówi prof. Ratkiewicz. – Potem zaczęła się transformacja ustrojowa, zawyżanie stanów, wzrost szkód w lasach, wprowadzono politykę redukcji zwierzyny, a co za tym idzie nadmiernego pozyskania. Przestano słuchać naukowców, ignorowano surowe zimy, które dla zwierzyny potrafią być tragiczne w skutkach. Nie wiadomo było, czy w nowej Polsce właściciel lasu będzie też właścicielem zwierzyny, więc strzelano na zapas.

To wszystko doprowadziło do katastrofy. Z 6,5 tys. osobników zrobiło się mniej niż 2 tys. Według Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody redukcja o 70 proc. czyni gatunek zagrożonym.

– Zaczynał się XXI wiek, Polska szła do Unii Europejskiej, a tu nagle drugi po żubrze duży gatunek ssaka zaczął wymierać. Nikt tego nie chciał. Minister środowiska wprowadził więc w 2001 r. moratorium na odstrzał łośa, które trwa do dziś – kontynuuje naukowiec. Choć łoś wciąż jest formalnie zwierzyną łowną, nie wolno do niego strzelać przez cały rok. Występuje głównie na wschód od Wisły. Wyjątek stanowi populacja w Puszczy Kampinoskiej, skutecznie reintrodukowana w latach 50. z kilku białoruskich osobników, oraz mało liczne populacje wyspowe w innych regionach kraju.

Szyszko też był z łośiem?

Wszystko wskazywało na to, że w październiku ubiegłego roku moratorium zostanie zniesione, ale w ostatniej chwili własną decyzję odwołał ówczesny minister Jan Szyszko.

– Być może wpływ na tę decyzję miał sam Jarosław Kaczyński, podobno na jego ręce trafił list od obrońców przyrody z koalicji #jestemzłosiem. A może trzeba po prostu docenić fakt, że Szyszko uznał naukowe przesłanki i po prostu zmienił zdanie? – mówi Ratkiewicz.

Wracamy na trasę białostocką, by chwilę później zatrzymać się na przycmentarnym parkingu nieopodal wsi Downary. W relacji mojego przewodnika Las Downarski to jedno z najbardziej łośiowych miejsc w kraju. Na niedużym obszarze ok. 300 ha zimą przebywa nawet 30 osobników. To zagęszczenie stu sztuk na tysiąc hektarów terenów bagiennych i leśnych.

– Tyle ich tu faktycznie jest. Każde liczenie to potwierdza, gdybyśmy byli tu w styczniu, widzielibyśmy łośa za co drugim drzewem. Sęk w tym, że potem z tych 30 łośi robi się 1,8 tys. sztuk w całym nadleśnictwie Knyszyn, bo wynik z tego i kilku podobnych obszarów brany jest jako ogólna średnia – tłumaczy naukowiec.

– To ile jest dziś łośi w Polsce?

→ – Tego nikt nie wie. Oficjalne statystyki Lasów Państwowych mówią o 20 tys. osobników, innym razem pojawia się liczba 28 tys. Tylko że to liczenie odbywa się właśnie w ten sposób. Tzw. pędzenia próbne prowadzi się na wybranych obszarach. Tylko na terenie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie wybiera się je losowo. Białystok robi to odgórnie, licząc w miejscach takich jak np. Las Downarski. My od dwóch lat stosujemy inną metodę.

– Jaką?

– Jedziemy samochodem przez daną okolicę i rozglądamy się za zwierzyną. Jeśli widzimy łosia, wyciągamy dalmierz, ustalamy odległość, a potem nanosimy to miejsce na mapę GPS-u. Bez wysiadania z samochodu. Przejeżdżamy tak nawet 300 km. Kiedy zaobserwujemy ich wystarczająco dużo, specjalne oprogramowanie wylicza nam prawdopodobieństwo zaobserwowania zwierzyny wraz z rosnącą odległością i na tej podstawie podaje zagęszczenie.

– To są wiarygodne wyniki?

– Oczywiście pojawiają się zarzuty, że metoda ta może nie dośzacować liczby łosi, bo nie wszystkie widzimy. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale kiedy nasze dane porównujemy z danymi z pędzeń RDLP Lublin, gdzie powierzchnie wybiera się losowo, to obie metody dają porównywalne wyniki. W Biebrzańskim Parku Narodowym nam wychodzi 7 łosi na tysiąc hektarów, a parkowi 6,6. Wyniki też są więc zbliżone. Dwie różne metody, a liczby podobne. Więc jak to możliwe, że kiedy porównujemy nasze dane z danymi z nadleśnictw w Knyszynie czy Rajgrodzie, to nam wychodzi trzy do pięciu razy mniej łosi niż im? Od lat wspólnie braliśmy udział w pędzeniach w tych nadleśnictwach i wyniki pędzeń z tych miejsc, gdzie razem z leśnikami i myśliwymi liczyliśmy łosie, są rzetelne w odniesieniu do tych miejsc. Ale wyłącznie tych, bo jeśli do liczenia wytypowane zostały tylko miejsca, w których jest dużo łosi, w żaden sposób nie mogą być użyte jako średnia dla nadleśnictwa, a tak niestety się dzieje.

Przypadek estoński

Idąc przez Las Downarski, próbujemy choćby zacząć liczenie, ale nie widzimy ani jednego łosia. Najwyraźniej opuściły już i tę zimową ostoję. Kiedy wracamy do samochodu, Ratkiewicz zwraca uwagę na odkrzaczane pobocze drogi. Po obu stronach przylegają do niej szerokie na kilkanaście metrów pasy pozbawione roślinności. Za to białe-czerwone słupki jest dużo więcej niż zwykle. Na każdym znajduje się tzw. wilcze oczko, których zadaniem jest odbijanie światła nadjeżdżających aut.

– Na otwartym terenie kierowca szybciej zobaczy łosia i zdąży wyhamować. Być może też łos zobaczy nocą migotanie i będzie ostrożniejszy – mówi Ratkiewicz. Tłumaczy, że rozwiązanie zaczerpnięto z Estonii, gdzie ten typ naziemnych przejść dla zwierząt jest standardem. Oznakowuje się w ten sposób miejsca, gdzie stwierdzono występowanie szlaków migracyjnych zwierząt przecinających szosy. Estonia to zresztą bardzo specyficzny kraj, jeśli chodzi o łosie. Żyje tam kilkanaście tysięcy osobników,

a kilka tysięcy jest rocznie pozyskiwanych. Ale zwierzęta rozmieszczone są niemal równomiernie na obszarze całego kraju, a gospodarka tym gatunkiem bazuje na wieloletnich doświadczeniach, co doprowadziło do jej pełnej racjonalizacji.

– Roślinność na poboczach karczuje się także po to, by przy drodze łosie nie przebywały. Zwierzę obgryzające pędy na gałęziach drzew czy zlizujące sól z szosy to zimą częsty widok. Zdarza się, że łos nic sobie nie robi z przejeżdżających dwa lub trzy metry dalej samochodów.

Kiedy na wokandę weszła sprawa zniesienia moratorium, zwolennicy tego rozwiązania często powoływali się na wzrost liczby kolizji i wypadków drogowych, których sprawcą jest łos. Odstrzał miał więc poprawić bezpieczeństwo kierowców. Organizacje obrońców przyrody zwracały z kolei uwagę na to, że policja nie prowadzi szczegółowych danych dotyczących konkretnych gatunków ssaków wchodzących na drogę.

– Jeleń jest bardziej płochliwy od łosia, a sarna dużo mniejsza. Sarna idzie pod koła, powoduje zniszczenia, ale niemal nigdy nie ma ofiar. Ale to przecież nie łos jest sprawcą kolizji, tylko nadmierna prędkość. Raczej nie ginie się od samego zderzenia z łosiem, tylko od jego skutków, czyli np. uderzenia w drzewo wskutek utraty kontroli nad pojazdem – zauważa biolog.

– Ale wiadomo, ile jest takich wypadków?

– Co roku mamy w Polsce ponad 3,5 tysiąca śmiertelnych ofiar wypadków drogowych, w jednym lub dwóch przypadkach w zdarzenie zamieszany jest łos. Czasem ofiar śmiertelnych nie ma wcale. Wie pan, kiedy wiele lat temu na listę gatunków chronionych miała trafić żmija zygzakowata, pojawiły się głosy sprzeciwu, że skoro żmija bywa przyczyną śmierci ludzi, to nie można jej chronić. Wtedy jakiś naukowiec, podchodząc bardzo poważnie do sprawy, zaczął robić statystyki śmiertelności ludzi spowodowanej przez zwierzęta. Brał pod uwagę wszystkie gatunki, choćby myszy czy jastrzębie. Okazało się, że największym zabójcą jest koza.

Prof. Ratkiewicz zwraca też uwagę, że strzelanie do łosi wcale nie zmniejszy liczby zderzeń na drogach. Płoszona zwierzyna może intensywniej migrować. Poza tym przy ograniczonej populacji samce będą musiały pokonywać większe odległości, by znaleźć rujne samice.

Resort prosi o poradę

Na koniec wycieczki wjeżdżamy do serca Biebrzańskiego Parku Narodowego. Po cichu liczymy na spotkanie z łosiem na wybudowanej ponad sto lat temu równolegle do rzeki Carskiej Drodze. Bywa, że przejazd 33-kilometrowym odcinkiem od mostu na Narwi do twierdzy w Osowcu skutkuje nawet kilkunastoma obserwacjami. Ale teraz, jak na złość, nie widzimy ani jednego zwierzęcia.

Drzewa są jeszcze łyse, olsy i bory wokół drogi widne, jednak nie widać w nich życia.

W położonym w połowie drogi dworze w Dobarzu przygotowują się do wesela, ale obsługa pozwala przysiąść na kawę. Chcę pytać o „Strategię ochrony i gospodarowania populacją łosia w Polsce”, dokument opracowany w 2011 r. przez zespół ekspertów pod kierunkiem mojego rozmówcy. Inicjatywa wyszła w 2009 r. z resortu środowiska, które uznało, że moratorium spełniło już swoją funkcję i pora poszukać nowych rozwiązań. Chętnych do przygotowania takiego dokumentu było kilka ośrodków, ostatecznie ministerstwo powierzyło zadanie Bia-

łystokowi. W skład zespołu weszli przedstawiciele Lasów Państwowych, Polskiego Związku Łowieckiego, Państwowej Rady Ochrony Przyrody oraz akademicy. Razem 12 osób. Prace trwały dwa i pół roku. Gotowa strategia zakładała m.in. powołanie stałej grupy eksperckiej ds. łosia, a także dwa rozwiązania, które mogłyby zastąpić moratorium: objęcie łosia częściową ochroną na okres od trzech do pięciu lat, przy czym redukcja populacji byłaby możliwa tylko w niektórych nadleśnictwach, w których zagęszczenie łosia jest równe lub większe niż pięć osobników na tysiąc hektarów powierzchni leśnej i bagiennej i gdzie udokumentowano wysoki poziom szkód od łosia. W drugim rozwiązaniu nie było mowy o częściowej ochronie, jednak strzelanie do łosia miało być możliwe wyłącznie na terenie czterech regionalnych dyrekcji Lasów Państwowych (Białystok, Lublin, Warszawa i Olsztyn), tylko tam, gdzie jego zagęszczenie jest odpowiednio wysokie (przy czym liczenie odbywałoby się według odgórnie narzuconych metod).

– To wszystko można podsumować angielską zasadą *Think global, kill local* (Myśl globalnie, zabijaj lokalnie). Widziałem niedawno ten cytat na plakacie filmu o zombie, to zabawne, ale idealnie pasuje do sytuacji łosia – mówi Ratkiewicz. I dodaje, że moratorium nie może trwać wiecznie: – Coś z łosiem trzeba zrobić. Zmiany są nieuniknione. Nie może być tak, że nie strzelamy do nich wcale i wszystko będzie dobrze.

– Nie będzie?

– Wystarczy, że wzrośnie presja pasożytów, a wtedy przegęszczona populacja może się załamać bez jednego wystrzału. Albo sroga zima. Taka sytuacja miała miejsce w Parku Narodowym Isle Royale w Stanach Zjednoczonych. Wytworzył się w nim niezwykle prosty łańcuch pokarmowy: sosna balsamiczna–łoś–wilki. Wszystkie elementy mają się dobrze. Ale nagle przychodzi długa, ostra zima, w przegęszczonej populacji pojawiają się pasożyty i 70 proc. łosi pada.

– Czyli, jak dobrze rozumiem, jest pan zwolennikiem polowań na łosia.

– To ja wnioskowałem w 2010 r. o odstrzał stu osobników do celów naukowych. Wylano wtedy na mnie kubły pomyj. Zginęły wówczas 52 łosie.

– Tylko 52?

– Zgoda była na sto, ale udało się pozyskać połowę. W Gostyńsko-włocławskim miały być strzelone trzy osobniki, a nie zabito ani jednego.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć. Myśliwi mieli na to miesiąc. Leśnicy przecież już od lat twierdzili, że mają bardzo dużo łosia i mnóstwo szkód przez nie powodowanych. A kiedy dostali możliwość strzelania, nie udało się. To może wcale nie ma w Polsce tak dużo łosia, jak się oficjalnie podaje?

Łopatacz za 80 tysięcy

Kiedy strategia trafiła do ministerstwa, leśnicy wchodzący w skład zespołu roboczego zgłosili zdanie odrębne. Krzysz-



ARCH. PRYWATNE

MIROSŁAW RATKIEWICZ:

To, że myśliwi zaczną strzelać do łosia w Dolinie Biebrzy, nijak nie wpłynie na szkody wyrządzane przez nie w sadach nad Narwią czy w okolicach Grójca.

tof Morow pisał z kolei w „Braci Łowieckiej”: „Autorzy [strategii] w swoich rozważaniach i zaleceniach nie biorą (lub nie chcą brać) pod uwagę faktu, że na większości obszarów naszego kraju, gdzie bytuje łos, występuje także jeleń szlachetny. Jeżeli do sugerowanej optymalnej wielkości zagęszczenia (...) dodamy optymalne, proponowane (i obowiązujące) w ramach zasad gospodarowania populacjami zwierząt łownych zagęszczenie do 35 jeleni na tysiąc hektarów powierzchni leśnej, to żaden nadleśniczy nie podoła sumarycznej presji tych zwierząt roślinożernych”. Może właśnie dlatego ostatecznie wdrożono tylko niektóre elementy strategii, jak wspomniane już naziemne przejścia.

Na koniec pytam jeszcze o skutki ewentualnego zdjęcia moratorium bez wprowadzenia jakichkolwiek rozwiązań systemowych.

– Zmarnować efekty ponad 16 lat moratorium będzie bardzo łatwo. Dwa, trzy lata wolnoamerykanki i znowu będziemy musieli ratować się moratorium. W ubiegłym roku mówiło się o przestrzeleniu populacji łosia. Takie przestrzelenie wyeliminuje przede wszystkim dorodne byki łopatacze, za które biura polowań wezmą po 80 tys. zł – mówi Ratkiewicz. – Jeśli nie wiemy, ile tak naprawdę łosia żyje w Polsce, to może warto być ostrożnym? Przyjąć tę niższą liczbę jako punkt wyjścia? Jeśli mamy ich trzy razy mniej, niż twierdzą Lasy Państwowe, to odstrzał 20 proc. zawyżonego stanu populacji zakończy się katastrofą.

– Ta cisza wokół łosia po utrzymaniu moratorium jest chwilowa?

– Z różnych stron tak słyszę. Ja się zgadzam, że potrzeba zmian. Musimy wypracować jakiś model gospodarowania gatunkiem, ale taki, który oparty będzie na wynikach badań naukowych i będzie prowadzić do zachowania dobrze funkcjonujących populacji łosia. Przy stole znowu powinni usiąść wszyscy zainteresowani, włącznie z przedstawicielami urzędów wojewódzkich, które płacą rolnikom za szkody wyrządzone przez łosie w sadach. Bo to, że myśliwi zaczną strzelać do łosia w Dolinie Biebrzy, nijak nie wpłynie na szkody wyrządzane przez nie w sadach nad Narwią czy w okolicach Grójca. W sadach, uprawach aronii czy borówki, które nie są naturalnym środowiskiem bytowania łosia, nie mają one prawa być.

Ruszam w kierunku Warszawy. Zatrzymuję się jeszcze przy wieży obserwacyjnej, ustawionej na skraju rozległego bagna Ławki. Z jej szczytu widać bezkres podmokłych łąk, które w ciepłych miesiącach czynią z Biebrzańskiego Parku raj dla migrujących ptaków. Rozglądam się z lornetką przy oczach. Dwa, może trzy kilometry dalej widzę drobne sylwetki parzystokopytnych z pyskami zanurzonymi w soczystej, bagiennej roślinności. W sam raz na pointę.

© ADAM ROBIŃSKI

PROF. DR HAB. MIROSŁAW RATKIEWICZ (ur. 1966) jest profesorem Instytutu Biologii Uniwersytetu Białostockiego. Pracownik Zakładu Zoologii Molekularnej. Kierownik zespołu, który w 2011 r. na zamówienie Ministerstwa Środowiska opracował „Strategię ochrony i gospodarowania populacją łosia w Polsce”.

STANISŁAW

Mancewicz:

Wołanie o trzeźwość



OD LAT, TUŻ PRZED MAJOWĄ KANIKULĄ, ZASTANAWIAMY SIĘ, CZY W OGÓLE WYCHODZIĆ Z DOMU. Studiując policyjne statystyki wyciągamy z nich mniemanie takie oto, że szanse na przeżycie podróży szosą polską w czasie przedłużonych weekendów są umiarkowane. Uznaliśmy już dawno temu, że śmierć z ręki pijanego rodaka, który nie nosił do nas urazy, nie dyszał chęcią krwawej pomsty, nie wyznawał żadnego ze skomplikowanych systemów wartości, nie planował zabójstwa z premedytacją, a jedynie wypił wino deserowe w cenie dwunastu złotych za litr bądź piw sześć – nie ma żadnego sensu.

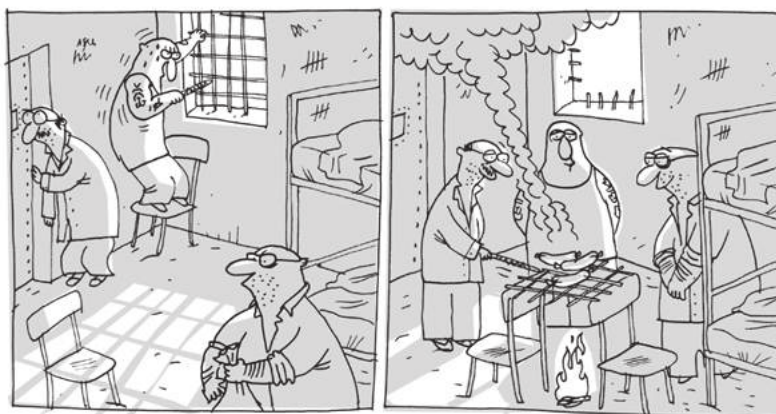
W czasie owych trudnych dni wolnych nasza owcza ufność w sens działalności tutejszych rządów na rzecz zwiększenia dzietności narodu, pohamowania emigracji, a tym samym poprawienia sytuacji demograficznej kraju ulega zawsze szalonnemu skłębnięciu. Co bowiem rząd udzietni bądź odemigracyjny, co zachęci bądź co w nagrodę za poród wypłaci, podczas przydługich weekendów się marnuje. Trup ściele się gęsto, a areszty się zapęnlają, tamże, jak wiadomo, realizowanie państwowych projektów prokreacyjnych nie jest priorytetem, bo młodzież w kwiecie wieku miast myśleć o szkodliwości antykoncepcji leży jałowo na pryczach. Choć – to nawias – jest to jakiś pomysł, by mianowicie zmuszać aresztantów do rozmnażania, wychodząc z założenia, że co owi z tzw. substancji uszczuplą, winni państwu polskiemu zwrócić. Wydaje się, że pomysł ten jest co najmniej dobry, zważywszy na mnogość pomysłów złych. No więc jeszcze się nie spotkaliśmy z refleksją kogokolwiek, zwłaszcza pośród ludzi odpowiedzialnych za szeroko pojętą edukację, by zamiast próżnych apeli o propanstwo wspólnoty, powiedzieć masom, by te mniej chlały.

Po tej porcji okrutnych oświatowo banałów przejdziemy teraz do pożywnych rozważań na temat burzenia Pałacu Kultury. Wielu Czytelników – jak sądzimy – mniema, że można to zrobić tylko po pijanemu, tak jak tylko na bani można prowadzić serio rozmowy na temat tego zamiaru. W tym sensie, i nie jest to parabola, zaczęliśmy się zastanawiać, czy w kraju jest jeszcze ktokolwiek trzeźwy. Uderza jednak w zdaniach powyższych szalona naiwność złączona z brakiem wiary. Naturalnie, że pomysł zburzenia Pałacu Kultury wynika z trzeźwego myślenia, trzeźwego zamyślu i jest bardzo serio. Stąd zapewne ostatnia szarża prezydenta Polski w sprawie warszawskiego zamczyska, które – jak usłyszeliśmy z jego ust malinowych podczas pijanego weekendu – zostało odbudowane przez lud miast i wsi przy sprzeciwie *ancien regime'u*.

Szyderstwa na temat tej wypowiedzi rozlały się szeroko, ale nikt nie zadał sobie elementarnego trudu, by wniknąć w jej sens. Oto prezydent wie więcej niż my, to jasne, i daje nam wszystkim wskazówkę, a może wręcz naucza, jak skutecznie obronić kolejną nieruchomość przed decyzją o wyburzeniu. Bardzo podobnie – teraz to wiemy – prezydent mówił podczas święta setnej rocznicy polskiej awangardy. Rzekł on wówczas słowa szokujące, że mianowicie polska awangarda czerpała pełnymi garściami z tradycji młodopolskiej i bodaj romantycznej. Skąd ten absurd? Ano stąd, że bez tego zabezpieczenia sztukę awangardową można by pokazywać wyłącznie pod szyldem sztuki zwyrodniałej, a biogramy jej twórców zostałyby wpisane na listę noszącą zgrubny tytuł „Śmierć wrogom ojczyzny”. Prezydent w sprytny sposób odebrał dzisiejszym zwolennikom neosocrealu oręż, tłumacząc, że polska awangarda była produktem twórców głęboko zanurzonych w estetykę dzisiejszych sanktuariów, rzeźby ulicznej i rekonstrukcji historycznej. Po co zatem śmiać się z prezydenta i wytykać mu, że decyzję o odbudowie zamku warszawskiego podjął *in corpore* Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej? Chcecie mieć w mieście zamek i muzeum, solidną, ogrzewaną nieruchomość o sensownej kubaturze, czy kolejną trzystumetrowej wysokości kolumnę z figurą dzierżącą gorejący miecz na czubku?

Ludzie, bądźcie trzeźwi, tak jak pan prezydent podczas przedłużonego majowego weekendu. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



MAJÓWKA POLSKA 2018

Copernicus Festival '18 22—27.05 przypadek



Robert H. Frank
Daniel Gilbert
Jean-Pierre Lasota
Adam Zagajewski
Michał Heller

Organizatorzy:



Copernicus
Center





Kraków

kbf★



najpiękniejsza muzyka filmowa

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej
do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na www.rmffclassic.pl



Słuchaj nas on-line:
www.rmfon.pl



Słuchaj nas w telefonie. Pobierz aplikację w AppStore,
Google Play, Microsoft Marketplace.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM

Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM

Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM

Poznań 103,9 FM
Płock 93,1 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM

Warszawa 98,3 FM
Wrocław 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM